

# Ania z Wyspy



LUCY MAUD MONTGOMERY<sup>1</sup>

# Ania z Wyspy<sup>2</sup>

DALsze DZIEJE *Ani z Zielonego Wzgórza* i *Ani z Avonlea*<sup>3</sup>

TŁUM. MARCELI TARNOWSKI

## ROZDZIAŁ I. CIENŹ ZMIANY

— Żniwa skończone i lato minęło — rzekła Ania Shirley, spoglądając z rozmarzeniem ponad zżętymi polami. Ona i Diana Barry zrywały jabłka w sadzie Zielonego Wzgórza, teraz zaś odpoczywały po pracy w słonecznym zakątku, gdzie w dole wonne fale ostów na pagórkach szumiały pod tchnieniem wiatru, ciągle jeszcze przynoszącego zapach lata od paproci z Lasu Duchów.

Lecz w otaczającym je krajobrazie wszystko mówiło już o jesieni. Morze szumiało głucho w oddali, pola były gołe i wyschłe, powleczone nawłocią, dolina strumienia pod Zielonym Wzgierzem porośła była astrami o eterycznej purpurze, a Jezioro Lśniących Wód było niebieskie — niebieskie — niebieskie; nie błękitem wiosny, ani bladym lazurem nieba letniego, lecz przejrzystym, trwałym, wesołym błękitem, jak gdyby woda zapomniała o wszelkich przeżytych wzruszeniach i zapadła w spokój, nieprzerywany zmiennymi marzeniami.

— Piękne było to lato — rzekła Diana, dotykając z uśmiechem nowego pierścionka na lewej ręce. — A ślub panny Lawendy wydaje mi się koroną tego. Przypuszczam, że państwo Irving bawią teraz na wybrzeżu Pacyfiku.

— Zdaje mi się, że podróżują już dość długo, aby zwiedzić cały świat — westchnęła Ania — trudno mi uwierzyć, że od tygodnia dopiero są po ślubie. Wszystko się zmieniło. Panny Lawendy i pani Allan nie ma. Jak ponuro wygląda plebania z pozamykanymi okiennicami. Przechodziłam tam wczoraj wieczór i doznałam wrażenia, jakby tam wszystko wymarło.

— Nigdy nie będziemy mieli tak miłego pastora, jak pan Allan — rzekła Diana ze smutną pewnością. — Przypuszczam, że tej zimy będziemy mieli tylko zastępców, a połowa niedziel minie w ogóle bez kazań. A ciebie i Gilberta nie będzie... bardzo będzie smutno.

— Alfred tu będzie — napomknęła Ania.

— Kiedy się pani Linde wprowadzi? — zapytała Diana, jakby nie dosłyszawszy uwagi Ani.

— Jutro. Cieszę się, że przyjeżdża. Ale zajdzie jeszcze jedna zmiana. Maryla i ja przytątnęliśmy wszystko z gościnnego pokoju. Przyznam się, że robiłam to z niechęcią. Rzeczywiście, to było głupio, ale miałam wrażenie, jakbyśmy popełniały profanację. Ten poczciwy pokój gościnny wydawał mi się zawsze ołtarzem. Jako dziecko uważałam go za najpiękniejszą komnatę na świecie. Przypominasz sobie, jakie mnie trawiło pragnienie, aby spać kiedy w łóżku takiego pokoju, ale nie w pokoju gościnnym Zielonego Wzgórza.

Przemijanie,  
Świętokradztwo,  
Dzieciństwo

<sup>1</sup>Lucy Maud Montgomery — w wydaniu źródłowym z 1930 roku jako tłumacz został podany Andrzej Mański. Pod tym pseudonim swoje dzieła publikował Marceli Tarnowski. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Ania z Wyspy — w oryg. ang. motto powieści stanowi czterowiersz rozpoczynający utwór *The Arrival* Alfreda Tennysona (1809–1892): *All precious things discovered late / To those that seek them issue forth, / For Love in sequel works with Fate, / And draws the veil from hidden worth.* [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Dalsze dzieje Ani z Zielonego Wzgórza i Ani z Avonlea — w oryg. ang. autorka dedykuje powieść dziewczętom z całego świata, które domagały się kontynuacji przygód Ani (ang. *to all the girls all over the world who have "wanted more" about Anne*). [przypis edytorski]

O nie, nigdy tam! Tobo było zbyt przejmujące... nie potrafiłabym zmrużyć oka. Kiedy Maryla posyłała mnie po coś, nigdy nie przechodziłam przez ten pokój... Nie, rzeczywiście, przemykałam się na palcach z powstrzymanym tchem, jakbym się znajdowała w kościele i odczuwałam ulgę, gdy go opuściłam. Wisiały tam portrety Jerzego Whitefielda<sup>4</sup> i księcia Wellingtona<sup>5</sup>, po obu stronach lustra, i przez cały czas spoglądały na mnie tak surowo, zwłaszcza, jeśli się odważyłam zajrzeć do lustra, jedyne w domu, które mojej twarzy nie zniekształcało. Zawsze się dziwiłam, jak Maryla może sprzątać ten pokój. A teraz nie tylko jest sprzątnięty, ale zupełnie opróżniony. Jerzy Whitefield i książę Wellington są na strychu. Tak mija chwala świata — zakończyła Ania ze śmiechem, w którym brzmiała nutka żalu — niemiła to rzecz, gdy dawne nasze ołtarze są sprofanowane, nawet wtedy, gdyśmy je przerośli.

— Tak pusto tu będzie, gdy odjedziesz — westchnęła Diana po raz setny. — I pomyśleć, że odjeżdżasz już w przyszłym tygodniu!

— Ale jesteśmy jeszcze razem — rzekła Ania wesoło. — Niech dzień jutrzejszy nie mąci nam radości dzisiejszego. Nie mogę znieść myśli, że wyjeżdżam sama... tak jestem zaprzyjaźniona z domem. Ty mi mówisz o samotności! Ja właśnie powinnam wzdychać. Ty zostaniesz tu w gronie starych przyjaciół — z Alfredem! Gdy ja będę sama wśród obcych, nie znając nikogo!

— Z wyjątkiem Gilberta i Karola Slone — rzekła Diana, odcinając się za przytyk Ani.

— Karol Slone będzie dla mnie rzeczywiście wielką pociechą — odpowiedziała Ania ironicznie, i obie panienki roześmiały się. Diana wiedziała doskonale, jakie było zdanie Ani o Karolu Slone, ale mimo wielu poufnych rozmów nie była pewna, co myśli Ania o Gilbercie Blythe. Ania sama tego z pewnością nie wiedziała.

— O ile wiem, będą oni zresztą mieszkali w innym końcu Kingsportu — ciągnęła Ania. — Jestem zadowolona, że jadę do Redmondu<sup>6</sup>, i jestem pewna, że po pewnym czasie polubię go. Ale podczas pierwszych paru tygodni będę się czuła bardzo źle. Nie będę miała nawet tej pociechy, aby mieć nadzieję odwiedzenia w niedzielę domu, jak to było, gdy uczęszczałam do Seminarium. Boże Narodzenie będzie mi się wydawało odległe o tysiąc lat.

— Wszystko się zmienia albo zmieni się — rzekła Diana smutno — mam wrażenie, że dawne czasy już nie wrócą, Aniu.

— Zdaje się, że nasze drogi muszą się rozejść — rzekła Ania w zadumie. — Musiało do tego dojść. Czy sądzisz, Dianu, że wiek dojrzały jest istotnie tak piękny, jak sobie wyobrażałyśmy, gdyśmy jeszcze były dziećmi?

— Nie wiem... wiele pięknych rzeczy łączy się z tym — odpowiedziała Diana, pieszcząc znowu swój pierścionek z uśmiechem, który powodował zawsze, że Ania czuła się niedoświadczoną i opuszczoną<sup>7</sup>. — Ale bywają też rozmaite tak oszałamiające rzeczy. Niekiedy mam wrażenie, że lękam się być dorosłą<sup>8</sup>... w takich chwilach dałabym wiele, aby być znowu małym dzieckiem.

— Mam nadzieję, że przyzwyczaimy się jeszcze do tego, by być dorosłymi — pocieszyła ją Ania wesoło. — Później nie będziemy się spotykały z tyloma niespodzianymi rzeczami, chociaż wyobrażam sobie niekiedy, że rzeczy niespodziane stanowią cały urok życia. Mamy po osiemnaście lat, Dianu. Za dwa lata skończymy dwadzieścia. Gdy miałam dziesięć lat, wyobrażałam sobie, że dwudziestka jest zaśniedziałym, starym wiekiem. Niedługo już ty będziesz stateczną matroną w średnim wieku, a ja starą ciotką Anną, która na wakacje przyjedzie do was w odwiedziny. Zawsze znajdziesz dla mnie kącik,

Kariera, Pozycja społeczna

<sup>4</sup>Jerzy Whitefield, właśc. George Whitefield (1714–1770) — duchowny anglikański, założyciel ruchu metodystów. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>książę Wellington — tytuł ten otrzymał w 1814 r. za zasługi wojenne Arthur Wellesley (1769–1852), a po nim dziedziczyli go jego potomkowie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Redmond — Redmond College, uniwersytet zlokalizowany na kanadyjskim półwyspie Nowa Szkocja. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>czuła się niedoświadczoną i opuszczoną — dziś popr.: czuła się niedoświadczona i opuszczona. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>być dorosłą — dziś popr.: być dorosła. [przypis edytorski]

prawda, Diano, kochanie? Oczywiście nie pokój gościnny — stare panny nie mogą sobie rościć pretensyj<sup>9</sup> do gościnnego pokoju. Zadowolnię<sup>10</sup> się zupełnie skromną facjatką.

— Jakie głupstwa wygadujesz, Aniu! — zaśmiała się Diana. — Wyjdiesz doskonale za mąż — za przystojnego i bogatego chłopca, a najpiękniejszy nawet pokój gościnny w Alvonlea nie będzie dość piękny na przyjęcie ciebie.

Wobec wszystkich przyjaciół młodości będziesz zadzierała nosa.

— Szkoda by było, mój nosek jest dość ładny i zdaje mi się, że zadzieranie zniekształciłoby go — rzekła Ania, głaszcząc ten kształtny organ. — Nie mam tak wielu ładnych rysów, aby sobie pozwolić na szpecenie tych, które mam. Gdybym więc nawet wyszła za króla wysp kanibalów, przyrzekam ci, że wobec ciebie nie zadzierałabym nosa, Diano.

Z ponownym wesołym śmiechem dziewczęta rozstały się, Diana wróciła do Pochyłego Sadu, Ania skierowała się do urzędu pocztowego. Czekał tam na nią list, a gdy Gilbert Blythe spotkał ją przy moście ponad Jeziorem Lśniących Wód, oczy jej błyszczały z radosnego podniecenia.

— Priscilla Grant jedzie także do Redmondu — zawołała Ania. — Czy to nie cudownie? Spodziewałam się tego, ale ona nie liczyła, że jej ojciec pozwoli. Pozwolił jednak i będziemy razem mieszkały. Czuję, że mając u boku taką koleżankę, jak Priscilla, mogłabym stawić czoła całej armii ze sztandarami — lub wszystkim profesorom Redmondu w bojowej falandze.

— Sądzę, że polubimy Kingsport — rzekł Gilbert. — Opowiadano mi, że jest to piękne, stare miasteczko i posiada najpiękniejszy naturalny park<sup>11</sup> na świecie. Słyszałem, że są tam wspaniałe widoki.

— Ciekawam<sup>12</sup>, czy będą — czy mogą być — ładniejsze niż ten — odpowiedziała Ania, rozglądając się dokoła rozmiłowanym, zachwycanym wzrokiem ludzi, dla których dom jest zawsze najpiękniejszym miejscem w świecie, bez względu na to, jakie czarowne kraje mogą się jeszcze znajdować pod obcymi gwiazdami.

Oparli się o poręcz pomostu nad starym stawem, wdychając głęboko aromat zmierzchu, w tym samym miejscu, gdzie Elaina wyratowała się niegdyś z barki<sup>13</sup>. Czarujący szkarłat kłoniącego się słońca barwił jeszcze zachodnią połąć nieba, ale księżyc wzeszedł już i woda spoczywała w jego blasku niby wielki, srebrny sen. Wspomnienie spowiło dwie młode istoty w słodki i subtelny czar.

— Taka jesteś milcząca, Aniu — rzekł wreszcie Gilbert.

— Boję się mówić lub poruszać się, z obawy, aby ten cały cudowny urok nie rozwiął się niby zmacone milczenie — szepnęła Ania.

Gilbert położył nagle rękę na białej, delikatnej dłoni, spoczywającej na poręczy pomostu. Jego piwne oczy tonęły w mroku, jego chłopięce jeszcze wargi rozchyliły się, aby wypowiedzieć marzenia i nadzieje, przenikające jego duszę, ale Ania szybko cofnęła rękę i odwróciła się. Czar zmroku prysnął dla niej.

— Muszę już wracać do domu — zawołała z przesadną nieco obojętnością. — Marylę bolała dziś po południu głowa, a bliźniętom mogłoby się coś stać. Doprawdy nie powinnam była odejść na tak długo.

Paplała nieustannie i bez związku przez cały czas, aż doszli do dróżki, wiodącej ku Zielonemu Wzgórzcu. Biedny Gilbert nie miał okazji wtrącić słowa. Ania czuła się nieco swobodniejsza, gdy się rozstali. Od przelotnej chwili wyznania w ogrodzie Chatki Ech do serca jej zakradła się nowa, tajemna świadomość w stosunku do Gilberta. Coś obcego wdarło się do dawnego, doskonałego stosunku koleżeńskiego z ławy szkolnej — coś, co temu stosunkowi groziło zniszczeniem.

„Dawniej nigdy nie cieszyłam się, gdy Gilbert odchodził”, pomyślała na wpół ze skrucho, na wpół z z troskaniem, wkraczając sama na dróżkę. „Przyjaźń nasza zostanie zbu-

Miłość niespełniona

<sup>9</sup>pretensyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: pretensji. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>zadowolnić się — dziś popr.: zadowolić się. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>naturalny park (ang. *nature park*) — park dostępny publicznie, w którym główną atrakcją jest flora lub fauna. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>ciekawam — dziś raczej: jestem ciekawa. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>w tym samym miejscu, gdzie Elaina wyratowała się niegdyś z barki — wypadek ten opisany jest w powieści *Ania z Zielonego Wzgórzca*. [przypis tłumacza]

rzona, jeżeli będą się go nadal trzymały te głupstwa. A ja nie chcę dopuścić, żeby została zburzona. O, dlaczego chłopcy nie potrafią być rozsądni!”

Ania doznawała przykrego uczucia, że tak samo „nierozsądnym” było, iż czuła jeszcze na rękę gorące dotknięcie dłoni Gilberta, i to tak wyraźnie, jak czuła je w owej krótkiej chwili, gdy dłoń jego leżała na jej rękę; a tym mniej rozsądnym, że świadomość ta bynajmniej nie wydawała się jej przykra — zupełnie odwrotnie, niż przy podobnym ruchu ze strony Karola Slone, gdy siedzieli razem przez ciąg jednego tańca na zabawie w Białych Piaskach przed trzema dniami.

Ania wzdrygnęła się na to niemiłe wspomnienie. Ale wszystkie te myśli o zadurzonych młodzieńcach rozwiały się, gdy wkroczyła w znajomą, niesentymentalną atmosferę kuchni na Zielonym Wzgórzu, gdzie ośmioletni chłopiec gorzko płakał na kanapie.

— Co się stało, Tadzio<sup>14</sup>? — zapytała Ania, obejmując go. — Gdzie Maryla i Tola?

— Maryla kładzie Tolę spać — łkał Tazio — a ja płaczę, bo Tola<sup>15</sup> spadła ze schodów piwnicy i zdrapała sobie skórę na nosie i...

— No, dobrze już, nie płacz, kochanie. Naturalnie, martwi cię to, ale płacz nikomu nie pomoże. Jutro będzie znowu zdrowa. Płacz nikomu nie pomaga, Tadziku, i...

— Ja nie dlatego płaczę, że Tola spadła ze schodów — zawołał chłopiec jeszcze głośniej, przerywając kazanie Ani — ale, że ja tego nie widziałem. Każda miła zabawa zawsze mnie omija!

— O, Tadzio! — Ania stłumiła nieodpowiedni w tej chwili wybuch śmiechu. — Czyżby to była dla ciebie zabawa widzieć, jak mała Tola spadła ze schodów i poraniła się?

— Nie zraniła się bardzo — rzekł Tazio zaczepnie. — Gdyby się zabiła, byłbym naprawdę smutny, Aniu. Ale Keithowie nie tak łatwo się zabijają. Zupełnie jak Blewettowie. Herbert Blewett spadł zeszłej środy ze sterty siana i stoczył się do przegrody, gdzie stał bardzo dziki koń, prosto pod jego kopyta. A jednak wygrzebał się żywy, tylko z trzema złamanymi zębami. Pani Linde powiada, że bywają ludzie, których by się toporem nie zabiło. Czy pani Linde przyjedzie jutro, Aniu?

— Tak, Tadzio, a spodziewam się, że będziesz wobec niej zawsze grzeczny.

— Będę grzeczny, ale czy będzie mnie kładła co wieczór do łóżka, Aniu?

— Może. Dlaczego?

— Bo — oznajmił Tazio stanowczo — przy niej nie będę potrzebował zmwiać pacierzy, jak przy tobie, Aniu?

— Dlaczego nie?

— Bo myślę, że nie byłoby to tak ładnie mówić do Boga wobec obcych, Aniu. Tola, jeżeli chce, może się modlić przy pani Linde, ja nie będę. Zaczekam, aż odejdzie, i później się pomodłę. Czy tak nie będzie dobrze, Aniu?

— Tak, jeżeli jesteś pewien, że nie zapomnisz o tym, Tadziku.

— O, już ja nie zapomnę. Dla mnie pacierz to wielka przyjemność. Ale samemu go odmawiać nie będzie to tak wielka przyjemność, jak z tobą. Wolałbym, żebyś została w domu, Aniu. Nie rozumiem, dlaczego odjeżdżasz i opuszczasz nas.

— Nie robię tego dlatego, że chcę, tylko że muszę, Tadzio.

— Jeżeli nie chcesz, to nie musisz. Jesteś dorosła. Gdy ja będę dorosły, Aniu, nie zrobię niczego wbrew swojej woli.

— Przez całe życie, Tadzio, będziesz musiał robić rzeczy, których byś robić nie chciał.

— Nie — rzekł Tazio stanowczo. — Ani mi się śni! Teraz muszę robić rzeczy, które mi się nie podobają, bo w przeciwnym razie ty i Maryla posyłacie mnie do łóżka. Ale kiedy będę dorosły, nie będziecie tego mogły robić; nikt mi wtedy nie będzie mógł rozkazywać. Nie pozwolę na to! Wiesz, Aniu, Emilek Boulter mówi, że jego matka powiedziała, że ty jedziesz do uniwersytetu, żeby złapać męża. Czy to prawda, Aniu? Muszę to wiedzieć.

Na chwilę Ania zapłonęła gniewem. Potem roześmiała się, przypomniawszy sobie, że pani Boulter nie mogła jej swoją brutalnością myśli i mowy zaszkodzić.

— Nie, Tadzio, to nieprawda. Jadę studiować, kształcić się, uczyć się rozmaitych rzeczy.

— Jakich rzeczy?

<sup>14</sup>Tazio — w oryg. ang.: Davy (David) Keith. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Tola — w oryg. ang.: Dora (Theodora) Keith. [przypis edytorski]

— Rozmaitych — odpowiedziała Ania.

— Ale gdybyś chciała złapać męża, jak byś to zrobiła? Muszę to wiedzieć — upierał się Tadzio, którego przedmiot ten widocznie szczególnie interesował.

— Zapytaj o to lepiej pani Boulter — odpowiedziała Ania bez namysłu. — Sądzę, że wie ona o tym procesie więcej, niż ja.

— Zrobię to, kiedy ją znowu zobaczę — rzekł Tadzio poważnie.

— Tadzio! Jeżeli to zrobisz! — zawołała Ania, spostrzegając swój błąd.

— Przecież sama powiedziałaś — zaprotestował Tadzio urażony.

— Czas już, żebyś się położył spać — zdecydowała Ania, ratując się z kłopotliwej sytuacji.

Ułożywszy Tadzia do snu, Ania ruszyła ku Wyspie Wiktorii, gdzie siedziała samotnie, zalana poświatą księżyca, podczas gdy wody szemrały dokoła niej w czarownym duecie fali i wiatru. Ania lubiła zawsze ten potok. Niejedną nić marzenia snuła dawniej nad jego wodami. Zapomniała teraz o zakochanych młodzieńcach i o zgryźliwych słowach złośliwych sąsiadów, i o wszystkich zagadnieniach swego dziewczęcego życia. W wyobraźni żeglowała przez dalekie morza, obmywając odległe, lśniąco wybrzeża „nieznanej ziemi”, gdzie leżą opuszczona Atlantyda i Elizjum, żeglowała pod wieczorną gwiazdą przewodnią ku Krainie Tęsknoty Serca. I w marzeniach tych była bogatsza, aniżeli w rzeczywistości; gdyż rzeczy widzialne przemijają, niewidzialne zaś trwają wiecznie.

## ROZDZIAŁ II. GIRLANDY JESIENI

Następny tydzień minął szybko, pod natłokiem niezliczonych „ostatnich spraw”, jak je Ania nazywała. Trzeba było składać i przyjmować wizyty pożegnalne, miłe lub niemiłe, zależnie od tego, czy goście lub odwiedzani odnosili się do nadziei Ani życzliwie, czy też uważali, iż pyszni się zanadto spodziewanym wyjazdem do uniwersytetu i poczytywali sobie za obowiązek „przykrócić jej cugli”.

K. M. A.<sup>16</sup> urządziło wieczorową zabawę pożegnalną na cześć Ani i Gilberta w domu Józi Pay; miejsce to wybrano z jednej strony dlatego, że dom pana Pay był bardzo obszerny i wygodny, z drugiej strony, ponieważ obawiano się, że córki pana Pay nie chciałyby wziąć w zabawie udziału, gdyby nie zgodzono się na zaofiarowane przez nie miejsce uroczystości. Był to bardzo miły wieczór, zwłaszcza, że panny Pay zachowały się uprzejmie, nie mówiąc ani czyniąc niczego, co mogłoby zepsuć harmonię zabawy, co nie zgadzało się z ich nawykami. Józia była niezwykle uprzejma, tak dalece, że rzekła nawet wyrozumiale do Ani:

— Wcale ci nieźle w nowej sukni, Aniu. Rzeczywiście, wyglądasz w niej *prawie ładnie*.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony — odpowiedziała Ania z roześmianymi oczyma. Jej zmysł humoru rozwinął się, a słowa, które w czternastym roku byłyby ją uraziły, teraz stanowiły pożądaną strawę dla jej wesołości. Józia podejrzewała, że Ania śmiała się z niej za jej złymi oczyma, ale ograniczyła się do szepnięcia Bercie, że Ania Shirley jeszcze bardziej zdrze teraz nosa, niż dawniej, gdyż jedzie przecież na uniwersytet — zobaczysz!

Zebrała się cała „stara paczka”, pełna radości i humoru i młodzieńczej swawolności. Diana Barry, różowa, z dołeczkami, w towarzystwie swego wiernego Alfreda; Janka Andrews, miła, rozsądna i szczerą; Ruby Gillis, w swej najstrojniejszej kremowej bluzce jedwabnej z czerwonymi geraniami w złotych włosach; Gilbert Blythe i Karol Slone, obaj starając się trzymać jak najbliżej wymykającej się Ani; Carrie Slone, blada i melancholijna, gdyż — jak opowiadano — ojciec jej nie pozwalał Oliverowi Kimballowi zbliżać się do niej; Moody Spurgeon Mac Pherson, którego okrągła twarz i odstające uszy były tak samo okrągłe i odstające jak zwykle; i Bill Andrews, który przez cały wieczór siedział w kącie, chichotał, gdy ktoś do niego mówił, i z uśmiechem na szerokiej, piegowatej twarzy śledził wzrokiem Anię Shirley.

Ania wiedziała zawczasu o zabawie, ale nie wiedziała, że to ona i Gilbert, jako założyciele Koła, mieli być obdarzeni bardzo pochlebnym „adresem”<sup>17</sup> i „dowodem uznania” w postaci tomu tragedji<sup>18</sup> Szekspira dla niej i wiecznego pióra dla Gilberta. Była tak za-

<sup>16</sup>K. M. A. — Koło Miłośników Avonlea (por. *Ania z Avonlea*). [przypis tłumacza]

<sup>17</sup>adres — tu: list zbiorowy. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>tragedyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: tragedii. [przypis edytorski]

skoczona i uradowana miłymi słowami, wypowiedzianymi w adresie, odczytanym przez Moody Spurgeona głosem tak uroczystym i patetycznym, że lzy zgasiły iskry w jej wielkich, szarych oczach. Pracowała dla K. M. A. ciężko i wiernie, toteż sprawiło jej istotną radość, że członkowie tak szczerze ocenili jej wysiłki. A wszyscy byli tak mili i uprzejmi, i weseli — nawet panny Pay przyczyniły się do tego. W tej chwili Ania kochała cały świat.

Wieczór spędziła niezmiernie miło, ale zakończenie zepsuło prawie wszystko. Gilbert znowu popełnił błąd i przy kolacji na werandzie, pod blaskiem księżyca, powiedział Ani coś sentymentalnego. Aby go ukarać, Ania była bardzo uprzejma dla Karola Slone i pozwoliła odprowadzić się przez niego do domu. Przekonała się jednak, że zemsta nikogo tak bardzo nie rani, jak tego, kto jej dokonywa. Gilbert odszedł wesoło z Ruby Gillis, a Ania słyszała ich głośny śmiech, gdy szli powolnie w cichym, świeżym powietrzu jesiennym. Spędzali widocznie czas bardzo miło, podczas gdy ona nudziła się śmiertelnie z Karolem Slone, który mówił nieustannie, ale nigdy nie powiedział ani słowa, które by warte było słuchania. Ania od czasu do czasu wtrącała bez związku „tak” lub „nie” i myślała o tym, jak pięknie wyglądała Ruby dzisiejszego wieczora, jak wybaluszone były oczy Karola w świetle księżyca, bardziej jeszcze niż za dnia, i że świat nie był jednak tak pięknym miejscem, jak sądziła przedtem podczas zabawy.

„Jestem zanadto zmęczona, to właśnie wszystko”, pomyślała, gdy się wreszcie z radością znalazła sama w swoim pokoju. I szczerze wierzyła, że tak jest.

Ale strumień radości, jakby z nieznanego, ukrytego źródła, trysnął z jej serca, gdy następnego wieczoru ujrzała Gilberta, jak mocnym, szybkim krokiem nadchodził z Lasu Duchów, mijając starą kładkę. Więc Gilbert nie chciał jednakże spędzić ostatniego wieczora z Ruby Gillis!

— Wyglądasz zmęczona, Aniu — rzekł.

— Jestem zmęczona, gorzej jeszcze, jestem zniechęcona. Jestem zmęczona, ponieważ przez cały dzień pakowałam swoją walizkę i szylam. Jestem zniechęcona, ponieważ sześć kobiet złożyło mi dzisiaj pożegnalne wizyty, a każda z nich starała się powiedzieć mi coś takiego, co odbierało życiu jasne barwy i pozostawiało je tak szarym, posępnym i bezzadostnym, jak ranek listopadowy.

— Złośliwe staruchy! — wyjaśnił Gilbert wytwornie.

— O nie, to nie złośliwość — odparła Ania poważnie. — I to jest właśnie najgorsze. Gdyby były złośliwe, nie zważałabym na nie. Ale wszystkie one są poczciwymi, uprzejmymi, macierzyńskimi duszami, które mnie lubią i które ja lubię, i właśnie dlatego wszystko, co mówiły lub napomykały, miało tak wielką wagę. Dawały mi do zrozumienia, że uważają za nierozumne z mojej strony wyjeżdżać do Redmondu, aby zdobyć stopień naukowy. Od tej chwili zastanawiam się, czy rzeczywiście nie jestem głupia. Pani Piotrowa Slone westchnęła i oświadczyła, iż ma nadzieję, że zdrowie moje wytrzyma do końca studiów; i nagle ujrzałam się jako beznadziejną ofiarą nerwowego przygnębienia pod koniec trzeciego roku nauki; pani Ebenowa Wright oznajmiła, że pobyt w Redmondzie przez cztery lata musi moc kosztować; i natychmiast zrozumiałam, że błędem nie do przebaczenia było z mojej strony trwonić pieniądze Maryli i moje własne na takie szaleństwo; pani Kacprowa Bell wyraziła nadzieję, że nie dam się przez uniwersytet zepsuć, jak się to z wieloma ludźmi staje; i uczułam natychmiast w kościach, że pod koniec czwartego roku pobytu w Redmondzie stanę się niemożliwą istotą, wmawiającą sobie, że wie i umie wszystko i spoglądającą z góry na wszystko i wszystkich w Avonlea; pani Eliza Wright oznajmiła, że jej zdaniem wszystkie dziewczęta z Redmondu, zwłaszcza z Kingsportu, stroją się bardzo, i domyślała się, że nigdy nie będę się czuła dobrze między nimi; i natychmiast ujrzałam się w duchu jako odtrąconą, zaniedbaną, pokorną dziewczynę wiejską, kroczącą po wykładowych salach Redmondu w podkutych trzewikach.

Ania zakończyła ze śmiechem, pomieszanym z westchnieniem. Wobec jej wrażliwej natury wszelkie zarzuty miały zawsze wagę, nawet zarzuty ludzi, z których zdaniem mało się liczyła. W tej chwili życie nie miało dla niej uroku, a amibcja zgąsła jak świeca.

— Z pewnością nie liczysz się z tym, co powiedziały — zaprotestował Gilbert. — Wiesz doskonale, jak ciasne są ich poglądy na życie, chociaż są poczciwymi istotami. Uczynić coś, czego one nigdy nie robiły, to dla nich grzech śmiertelny. Jesteś pierwszą dziewczyną w Avonlea, jadącą na uniwersytet. A wiesz przecież, że wszystkich pionierów uważa się za szaleńców.

— O, wiem. Ale *uczucie* jest tak odmienne od *wiedzy*. Zdrowy rozsądek mówi mi wszystko, co możesz powiedzieć, ale niekiedy zdrowy rozsądek traci nade mną moc. Zdrowy rozsądek owłada zupełnie moją duszą. Po odejściu pani Elizy nie miałam już niemal odwagi zakończyć pakowania.

— O to właśnie idzie, że jesteś zmęczona, Aniu. Zapomnij teraz o wszystkim i chodź się ze mną przejść — pospacerujemy po lesie nad bagnem. Będzie tam pewnie coś, co ci chcę pokazać.

— Pewnie? Nie wiesz na pewno, czy tam będzie?

— Nie. Wiem tylko, że powinno tam być, wnosząc z tego, co widziałem wiosną. Chodź. Będziemy udawali, że jesteśmy znowu parą dzieci i pobiegniemy jak wicher.

Ruszyli radośnie. Ania, pamiętając o przykrości poprzedniego wieczora, była dla Gilberta bardzo uprzejma; zaś Gilbert, który nauczył się rozumu, wystrzegał się powiedzenia czegokolwiek, coby wykraczało poza stosunek koleżeństwa szkolnego. Pani Linde i Maryla obserwowały ich z okna kuchennego.

— Będzie z nich kiedyś dobrana para — rzekła pani Linde zadowolona.

Maryla wzdrygnęła się lekko. W głębi serca miała nadzieję, że tak będzie, ale bolało ją, gdy pani Linde mówiła o tym swym zwykłym plotkarskim tonem.

— To jeszcze dzieci — odpowiedziała krótko.

Pani Linde roześmiała się dobrodusznie.

— Ania ma osiemnaście lat, w jej wieku byłam już zamężna. My starzy, Marylo, jesteśmy zbyt skłonni przypuszczać, że dzieci nigdy się nie stają dorosłe; o to właśnie idzie. Ania jest panienką, a Gilbert młodzieńcem, każdy zaś widzi, że uwielbia on ślady jej stóp. Miły to chłopiec, a Ania nie znajdzie lepszego. Mam nadzieję, że w Redmondzie nie wbije sobie jakiegoś romantycznego głupstwa do głowy. Nigdy nie pochwalałam tych koedukacyjnych zakładów naukowych. Nie sądzę — zakończyła pani Linde uroczyście — aby studenci w takich uniwersytetach zajmowali się czymś innym, jak flirtem.

— Trochę muszą też studiować — odpowiedziała Maryla z uśmiechem.

— Bardzo mało — skostatowała pani Małgorzata<sup>19</sup>. — Spodziewam się jednak, że Ania będzie się uczyła. Nigdy nie była flirciarką. Ale nie docenia ona Gilberta, o to właśnie idzie. O, ja znam dziewczęta! Karol Slone także za nią biega, ale nigdy bym jej nie radziła poślubić żadnego Slona. Slonowie są oczywiście pocziwymi, rzetelnymi, czcigodnymi ludźmi, ale mimo wszystko pozostają zawsze *Slonami*.

Maryla skinęła głową. Osobie obcej skostatowanie, że Slonowie są Slonami, niewiele by powiedziało, ale ona zrozumiała. Każda wieś ma taką rodzinę. Pocziwymi, rzetelnymi, czcigodnymi ludźmi mogą być, ale Slonami są i będą, choćby mówili językami ludzkimi i anielskimi.

Gilbert i Ania, szczęśliwie nieświadomi, że przyszłość ich w ten sposób zadecydowana została przez panią Małgorzatę, wałęsali się wśród cieniów Lasu Duchów. W dali połyskiwały zżęte wzgórza w promieniach zachodzącego słońca pod bladym, różowo-błękitnym niebem. Długie cienie drzew w alei sosen odgraniczały wyżej położone łąki. Lekki wiatr świszczał wokół nich, w odgłosie jego brzmiała nuta jesieni.

— Ten las rzeczywiście jest teraz pełen duchów... starych wspomnień — rzekła Ania, schylając się, aby zerwać źdźbło paproci, wyblakłe od chłodu. — Mam wrażenie, jakby dwie małe dziewczynki, Diana i ja, bawiły się tu jeszcze ciągle, siedząc o zmroku nad Fontanną Driad na schadzce z duchami. Czy uwierzysz, że nie mogę nigdy przejść tą drogą, aby nie odczuć odrobiny dawnego dreszczu i lęku? Stworzyłyśmy sobie pewną szczególnie przeraźliwą zjawę — był to duch zamordowanego dziecka, który skradał się do człowieka z tyłu, kładąc swe zimne palce na jego rękach. Przyznam, że do dzisiejszego dnia nie potrafię pozbyć się złudzenia, że słyszę za sobą te małe, szybkie kroczyki, gdy wchodzę tu po zapadnięciu zmroku. Nie lękam się Białej Pani, ani człowieka bez głowy, ani szkieletów, ale pragnęłabym, abym sobie była nigdy nie wyobraziła istnienia tego dziecka. Jakże się Maryla i pani Barry gniewały o to — zakończyła Ania ze śmiechem.

---

<sup>19</sup>pani Małgorzata — w oryg. ang. pani Lynde nosi imię Rachel. W polskim tłumaczeniu imię zostało zmienione prawdopodobnie ze względu na kontekst kulturowy: Anglosasi i Amerykanie używali powszechnie imion ze Starego Testamentu, które w Polsce przedwojennej były nadawane niemal wyłącznie w społeczności żydowskiej. [przypis edytorski]



Poprzez drzewa, okalające bagno, przeświecało purpurowe niebo; dokoła snuło się babie lato. Za grupą nagich sosen, w rozgrzanej od słońca dolince otoczonej klonami znaleźli owo „coś”, czego szukał Gilbert.

— A, oto jest! — zawołał młodzieniec z zadowoleniem.

— Jabłoń... w takim ustroniu! — wykrzyknęła Ania z zachwytem.

— Tak, prawdziwa rodząca jabłoń, tutaj, pomiędzy sosnami i bukami, o milę od najbliższego sadu. Byłem tu pewnego dnia wiosną i zastałem ją ubieloną od kwiecica. Postanowiłem więc powrócić jesienią, aby się przekonać, czy będzie miała jabłka. Patrz, ugina się pod owocem. I jabłka wydają się nawet dobre, rumiane, z ciemnymi policzkami. Większość dzikich płodów bywa zielona i nieapetyczna.

— Przypuszczam, że jabłoń ta musiała przed laty wyrosnąć z przypadkowo zgubionego nasienia — rzekła Ania z zadumą. — I jak to dziejne, zuchwałe drzewko wyrosło tu, rozwinęło się, samotne pośród obcych!

— Oto wywrócone drzewo z poduszką z mchu. Usiądź, Aniu, posłuż ci ono za tron leśny. Wdrapię się po kilka jabłek. Rosną wszystkie bardzo wysoko, drzewo musiało dotrzeć do światła słonecznego.

Jabłka okazały się doskonałe. Pod brunatną skórką był biały, biały miąższ z rzadkimi czerwonymi żyłkami; a prócz zwykłego smaku jabłek odznaczały się one szczególnym dzikim posmakiem, jakiego nie posiada żadne jabłko, wyhodowane w ogrodzie.

— Złowieszcze jabłko Edenu nie mogło mieć lepszego smaku — oświadczyła Ania. — Ale czas już, abyśmy wracali. Spójrz, zmrok zapadł przed trzema minutami, a teraz świeci już księżyc. Jaka szkoda, że nie zdołaliśmy uchwycić chwil tego przejścia. Ale zdaje się, że takich chwil nigdy nie można uchwycić.

— Okrążmy bagno i chodźmy do domu Aleją Zakochanych. Czy ciągle jeszcze czujesz się tak zniechęcona, jak wychodząc z domu?

— Nie. Te jabłka były manną dla mojej głodnej duszy. Czuję, że będę kochała Redmond i spędzę tam wspaniałe cztery lata.

— A po tych czterech latach?

— O, stanę jeszcze nieraz na rozstajnych drogach — odpowiedziała Ania swobodnie. — Nie zastanawiam się nad tym, co może się stać. Nie chcę tego wiedzieć — ładniej jest nie wiedzieć tego.

Aleja Zakochanych była tego wieczora cicha i tajemniczo mroczna w bladych promieniach poświaty księżyca. Szli wolno, zadowoleni z koleżeńskiego milczenia, nie usiłując go przerwać.

„Gdyby Gilbert był zawsze taki, jak tego wieczora, jak pięknym i prostym byłoby<sup>20</sup> wszystko”, zastanawiała się Ania.

Gilbert spoglądał za oddalającą się Anią. W swej jasnej sukni, przy swym delikatnym wdzięku, sprawiała na niego wrażenie białego kosaćca.

„Ciekaw jestem, czy zdołam kiedy zająć jej myśli”, zadał sobie pytanie z bolesną niewiarą.

### ROZDZIAŁ III. POŻEGNANIE

Karol Slone, Gilbert Blythe i Ania Shirley następnego ranka poniedziałkowego opuścili Avonlea. Ania liczyła na ładny dzień. Diana miała ją odprowadzić na stację, miała to być ich ostatnia miła przejażdżka na długi czas. Ale gdy Ania w niedzielę wieczór kładła się spać, wschodni wiatr jęczał wokół Zielonego Wzgórza ze złowieszczą przepowiednią, która się nazajutrz spełniła. Ania zbudziła się i ujrzała, że krople deszczu smagały jej okno, a szara powierzchnia stawu pokryta była rozszerzającymi się kręgami; wzgórze i morze spowite były w mgłę, a cały świat wydawał się posepny i smutny.

Ania już o brzasku była ubrana, gdyż trzeba było zdążyć na prom; zmagala się ze łzami, które wytrysnąć *chciały* z jej oczu wbrew jej woli. Opuszczała dom, który jej był tak drogi, a coś jej mówiło, że opuszczała go na zawsze, z wyjątkiem przyjazdów na święta. Powracając na ferie, nie zastanie tu już takiego samego życia, jak dawniej. O, a jakie to było wszystko drogie i kochane — mała, biała facjatka, uświęcona marzeniami dziewczęcymi, Królowa Śniegu za oknem, strumyk w dolinie, Fontanna Driad, Las Duchów,

<sup>20</sup>pięknym i prostym byłoby — dziś popr.: piękne i proste byłoby. [przypis edytorski]

Aleja Zakochanych — wszystkie te tysięcy i jedno drogich miejsc, gdzie żyły wspomnienia dawnych lat. Czy rzeczywiście mogła być szczęśliwa gdzie indziej?

Śniadanie było tego ranka na Zielonym Wzgórzu dość smutne. Tadzio nie mógł jeść, zapewne po raz pierwszy w życiu, lecz bezwstydnie beczał nad talerzem. Nikt w ogóle nie miał wielkiego apetytu prócz Toli, która spokojnie zjadała swoją porcję. Tola należała do owych szczęśliwych istot, które rzadko wytrąca coś z równowagi. Nawet o ósmej wiele było trzeba, aby wyrwać Tolę ze stanu zadowolenia. Była smutna, że Ania odjeżdżała, oczywiście, ale czy to było powodem, aby wzgardzić swoim jajkiem na miękko i bułką? Bynajmniej. A widząc, że Tadzio nie może jeść, Tola zjadła i jego porcję.

Punktualnie zjawiała się Diana z koniem i kabrioletem, wytknąwszy różową twarzyczkę z deszczowego płaszcza. Nadeszła chwila pożegnania. Pani Linde wyszła ze swego pokoju, aby serdecznie uścisnąć Anię i ostrzec ją, by dbała o zdrowie. Maryla pogłaskała policzek Ani szorstko i bez łez i powiedziała, iż spodziewa się, że otrzyma od niej wiadomość, gdy tylko Ania się urządzi. Przypadkowy widz wynioskowałby z tego może, że odjazd Ani mało ją wzruszał, gdyby widz ten nie zajrzał dobrze w jej oczy. Tola gorąco ucałowała Anię i wylała dwie należyte łzy. Zaś Tadzio, który od odejścia od śniadania płakał na schodach tylnego ganku, zupełnie nie chciał się z nią pożegnać. Na widok zbliżającej się Ani zerwał się, wbiegł po tylnych schodach i ukrył się w garderobie, z której nie chciał wyjść. Stłumione jego łkanie było ostatnim dźwiękiem, jaki słyszała Ania, opuszczając Zielone Wzgórze.

Przez całą drogę padało mocno, aż do Szerokiej Rzeki, do której to stacji musieli jechać, ponieważ kolejka z Carmody nie miała połączenia ze statkiem.

Gdy przybyli do przystani, Karol i Gilbert już tam byli, a statek gwizdał. Ania zdążyła zaledwie wykupić bilet i nadać bagaż, rzucić Dianie krótkie słowa pożegnania i skoczyć na pokład. Chciało jej się wracać z Dianą do Avonlea; wiedziała, że umrze z tęsknoty za domem. O, i gdybyż przynajmniej ten przekłety deszcz przestał padać, jakby cały świat płakał nad ubiegłym latem i minionymi radościami! Nawet obecność Gilberta nie przynosiła jej pociechy, gdyż Karol Slone był także, a Slonów można było znieść tylko przy pięknej pogodzie. W czasie deszczu nie można ich było ścierpieć.

Gdy statek wypłynął z portu Charlottetown<sup>21</sup>, sprawy przyjęły pomyślniejszy obrót. Deszcz ustał, słońce poczęło się przedzierać od czasu do czasu poprzez gęste chmury, rumieniąc szare zwały miedzianymi promieniami i rozjaśniając przesłaniającą czerwone brzegi wyspy mgłą promiennym blaskiem przepowiedni pięknego dnia, który miał po tej szarudze nastąpić. Na domiar Karol Slone zapadł w tej chwili na chorobę morską i zmuszony był zejść pod pokład, zaś Ania i Gilbert pozostali sami.

„Jestem bardzo zadowolona, że wszyscy Slonowie, gdy tylko znajdą się na wodzie, dostają morskiej choroby”, pomyślała Ania niemilosiernie. „Jestem pewna, że nie potrafiłabym pożegnać się z wyspą, gdy Karol Slone stał obok mnie i udawał, że także patrzy na nią sentymentalnie”.

— Więc odjechaliśmy — rzucił Gilbert obojętnie.

— Czuję się jak *Childe Harold* Byrona, chociaż w istocie nie spoglądam na swój „brzeg rodzinny” — rzekła Ania, mrużąc szare oczy. — Jest nim Nowa Szkocja. Ale prawdziwym brzegiem rodzinnym jest ten kraj, który się najbardziej kocha: a tym jest dla mnie poczciwa Wyspa Księcia Edwarda. Trudno mi wprost uwierzyć, że nie mieszkałam tu zawsze. Owe jedenaście lat, zanim tu przyjechałam, wydają mi się niby zły sen. Siedem lat mija, jak przybyłam tutaj tym samym statkiem — owego wieczora, gdy mnie pani Spencer przywiozła z Hopetown. Widzę siebie samą w owej starej, ciasnej sukience i spłowiiałym marynarskim kapeluszu, jak ciekawie kręciłam się po pokładach i kajutach. Piękny to był wieczór; i jak owe czerwone wybrzeża wyspy błyszczwały w promieniach słońca! Teraz płynę znowu tą drogą. O, Gilberte, mam nadzieję, że pokocham Redmond i Kingsport, ale jestem pewna, że tego nie pragnę!

— Gdzież się podziła cała twoja filozofia, Aniu?

— Zatonęła w olbrzymiej fali osamotnienia i tęsknoty za domem. Przez trzy lata marzyłam o wyjeździe do Redmondu — a teraz jadę i pragnęłabym nie jechać! Ale to nie! Odzyskam znowu swoją wesołość i filozofię, gdy się dobrze wypłaczę! Jest mi to *konieczne*,

<sup>21</sup> Charlottetown — stolica Wyspy Księcia Edwarda. [przypis edytorski]

ale będę musiała czekać, aż się dziś wieczór znajdę w swoim łóżku w pensjonacie. Wtedy Ania będzie znowu sobą. Ciekawam, czy Tadzio wyszedł już ze swojej kryjówki?

Była dziewiąta wieczorem, gdy statek przybył do Kingsportu i podróżni znaleźli się w niebiesko-białym blasku natłoczonej<sup>22</sup> przystani, Ania czuła się bardzo nieswojo, ale w chwilę później znalazła się w objęciach Priscilli Grant, która przybyła do Kingsportu w niedzielę.

— Jesteś nareszcie, kochanie! Jesteś pewnie tak zmęczona, jak ja, gdy przybyłam tutaj w niedzielę wieczorem!

— Zmęczona! Nie mów o tym, Priscillo. Jestem zmęczona i oszołomiona, jak prowincjonalka, i czuję się, jakbym miała dziesięć lat. Zlituj się i zabierz swoją koleżankę do jakiegoś miejsca, gdzie będzie mogła skupić myśli.

— Zaprowadzę cię wprost do naszego pensjonatu. Przed stacją czeka dorożka.

— Co za szczęście, że ty tu już jesteś, Prissy. Gdyby nie ty, zdaje się, że siadłabym na swojej walizce, wylewając gorzkie łzy. Jakaż to pociecha ujrzeć znajomą twarz w zgiełkowej cizbie obcych ludzi!

— Czy to Gilbert Blythe jest tam na górze, Aniu? Jak on wyrósł przez ostatni rok! Kiedy pracowałam w Carmody, był jeszcze chłopczykiem. Na Boga, a to Karol Slone! Nie zmienił się wcale, nie mógł się zmienić! Tak samo wyglądał, kiedy się urodził, i tak samo wyglądać będzie, mając lat osiemdziesiąt. Tędy, moja droga. Za dwadzieścia minut będziemy w domu.

— W domu — westchnęła Ania. — Chciałaś pewnie powiedzieć, że będziemy w jakimś okropnym pensjonacie, w jakiejś jeszcze okropniejszej sypialni, której okna wychodzą na brudne podwórze.

— Nie jest to tak okropny pensjonat, Aniu. Oto nasza dorożka. Wsiadaj, woźnica zajmie się twoją walizką. O, tak, nasz pensjonat jest w istocie bardzo miłym miejscem w swoim rodzaju; przyznasz to jutro sama, gdy po dobrze przespanej nocy odzyskasz rumieńce. Jest to wielka, szara, staroświecka kamienica na ulicy św. Jana, łączącej się bezpośrednio z Redmondem. Była ona dawniej „rezydencją” wielkich ludzi, ale moda opuściła ulicę św. Jana, a domy jej dzisiaj marzą tylko o lepszych dniach. Są one tak wielkie, że ludzie, którzy w nich mieszkają, muszą dzisiaj przyjmować pensjonarzy, aby je wypełnić. Tę przynajmniej przyczynę gospodynie nasze gorliwie nam wmawiają. Wspomniałaś te nasze gospodynie, Aniu!

— Ileż ich jest?

— Dwie, panna Hanna Harvey i panna Ada Harvey. Urodziły się jako bliźnięta mniej więcej przed pięćdziesięciu laty.

— Nie mogę się widocznie pozbyć bliźniąt — uśmiechnęła się Ania. — Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie stają na mej drodze.

— O, teraz już nie są bliźniętami, moja droga. Przekroczywszy wiek trzydziestu lat, przestały nimi być. Panna Hanna zestarzała się, co nie jest zbyt miłe, panna Ada zaś zatrzymała się na trzydziestce, co jest jeszcze mniej miłe. Nie wiem, czy panna Hanna umie się śmiać, czy nie; nigdy jej na tym dotąd nie przyłapałam. Ale panna Ada uśmiecha się cały dzień, i jest to jeszcze gorsze. Ale mimo to są one bardzo miłe i poczciwe; co rok przyjmują dwie pensjonariuszki, gdyż zmysł praktyczny panny Hanny nie może znieść „trwonienia miejsca” w pokojach — ale nie dlatego, żeby im to było potrzebne lub konieczne, jak mnie już panna Ada od niedzieli siedem razy zapewniła. Co do naszych pokojów, to przynajmniej, że są wielkie. Mój wychodzi na podwórze, twój jest frontowy, z widokiem na Stary Cmentarz św. Jana, położony tuż na wprost ulicy.

— To brzmi okropnie — wzdrygnęła się Ania. — Wolałabym już mieć pokój z widokiem na podwórze.

— O nie, nie zgodziłabyś się. Zaczekaj i zobacz. Cmentarz św. Jana to miłe miejsce. Był on tak długo cmentarzem, aż przestał nim niejako być i stał się teraz osobliwością Kingsportu. Przechodziłam tamtędy wczoraj dla zażycia ruchu. Otacza go wielki mur kamienny i szereg wysokich drzew, a szpalery przecinają go; są tam najosobliwsze nagrobki z najosobliwszymi i najdziwniejszymi napisami. Będziesz się tam chodziła uczyć, Aniu, zobaczysz. W istocie nikogo się tam już nie grzebie, ale przed kilku laty wzniesiono tam

<sup>22</sup>natłoczony — dziś: zatłoczony. [przypis edytorski]

piękny pomnik dla uczczenia żołnierzy nowoszkockich, poległych w czasie wojny krymskiej. Pomnik ten znajduje się na wprost bramy wejściowej, i znajdziesz tam wiele „pola dla wyobraźni”, jak mawiasz. Ale oto nadjeżdża twoja waliza, a chłopcy przychodzą ci powiedzieć dobranoc. Czy rzeczywiście muszę się przywitać z Karolem Slone, Aniu? Zawsze ma takie zimne ręce, w dotyku są śliskie jak ryby. Musimy ich poprosić, aby nas niekiedy odwiedzali. Panna Hanna powiedziała mi poważnie, że wolno nam przyjmować wizyty młodzieńców dwa razy w tygodniu, jeżeli będą odchodzili o właściwej porze; zaś panna Ada poprosiła mnie z uśmiechem, abym pilnie baczyła, by nie siadali na jej pięknych poduszczkach. Obiecałam jej czuwać nad tym; ale Bóg wie, gdzie *wolno* im w takim razie siedzieć; chyba na podłodze, gdyż poduszcзки są *wszędzie*. Nawet na pianinie.

Ania musiała się rozeźmiać. Wesoły szczebiot Priscilli osiągnął zamierzony skutek i rozwiął jej przygnębienie. Tęsknota za domem chwilowo znikła i nie powróciła w dawnej sile nawet wtedy, gdy się znalazła w swojej niewielkiej sypialni. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Ulica na dole była ciemna i cicha. Na wprost okna księżyc oświetlał drzewa Starego Cmentarza św. Jana, tuż za wielką, ciemną głową lwa na pomniku. Ania nie mogła uwierzyć, że tegoż ranka dopiero opuściła Zielone Wzgórze. Doznawała wrażenia długiego upływu czasu, jakie daje często jeden dzień zmiany i podróży.

— Ten sam księżyc spogląda teraz pewnie na Zielone Wzgórze — szepnęła do siebie. — Ale nie będę myślała o tym. To prowadzi do tęsknoty. Nie wypłaczę się nawet. Odłożę to na odpowiedniejszą porę, a teraz położę się spokojnie i rozsądnie do łóżka.

## ROZDZIAŁ IV. KINGSPORT

Kingsport jest dziwnym starym miastem, pamiętającym czasy pierwszej kolonizacji i spowitym w swoją dawną atmosferę, niby elegancka stara dama w strojach skrojonych według mody z czasów jej młodości. Tu i ówdzie nakłania się ku współczesności, ale w sercu jest niezaprzeczalne; pełne jest rzadkich relikwii<sup>23</sup> i osławione w pieśniach i legendach o przeszłości. Niegdyś była to tylko stacja graniczna na kresie puszczy, a były to owe dni, gdy Indianie bronili swego życia przez to, że zachowywali się wobec przybyszów obojętnie. Potem stał się Kingsport jabłkiem niezgody między Anglikami i Francuzami i zajmowany był to przez jednych, to przez drugich, a z każdej takiej okupacji wychodził z jakąś świeżą blizną walczącego narodu.

W parku znajduje się wieża strażnicza, całkowicie pokryta autografami turystów, na pagórku wznoszącym się nad miastem widnieje zniszczony stary fort francuski, a na placach publicznych stoją jeszcze stare armaty. Ma Kingsport i inne jeszcze historyczne miejsca, zwiedzane przez ciekawych, ale najosobliwsze i najczcigodniejsze wrażenie sprawia Stary Cmentarz św. Jana, w samym sercu miasta, otoczony z dwóch stron ulicami ze spokojnymi domami z dawnych czasów, a z drugich dwóch ruchliwymi współczesnymi arteriami miejskimi. Każdy obywatel Kingsportu odczuwa na tym Starym Cmentarzu drżenie miłej dumy, gdyż choćby nie był w ogóle ambitny, to każdy jednak ma tam jakiegoś przodka z jakimś osobliwym nagrobkiem, na którym opisane są wszystkie ważniejsze wydarzenia jego życia. Nagrobki te przeważnie nie odznaczają się wybitnym kształtem artystycznym, zbudowane są na ogół z surowo ociosanych brunatnych lub szarych kamieni, i w kilku tylko wypadkach widzi się jakąś próbę upiększenia. Niektóre ozdobione są trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, a ta okrutna dekoracja skojarzona jest często z głową aniołka. Wiele nagrobków zapada się już. Wszystkie niemal tknięte są zębem czasu, aż niejeden napis zupełnie został wytrzebiony, a inne z trudnością tylko można odcyfrować. Cmentarz jest bardzo wypełniony i bardzo cienisty, gdyż otaczają go i przeryniają szeregi wiązków i wierzb, w których cieniu zmarli spać muszą spokojnie, ukołysani na zawsze przez wiatr i listowie, niepokojeni przez wrzawę i ruch ponad nimi.

Pierwsza wycieczka Ani następnego popołudnia prowadziła na Stary Cmentarz św. Jana. Przed południem poszły z Priscillą do Redmondu i imatrykułowały się jako studentki, po czym nic już tego dnia nie miały do roboty. Dziewczęta oddaliły się rade, gdyż niezbyt miło było znaleźć się nagle w otoczeniu tłumu nieznanym, z których większość miała nieco obcy wygląd.

<sup>23</sup>relikwii — dziś powszechniejsza forma D. Im: relikwii. [przypis edytorski]

„Nowicjuszek” stały w oddzielnych grupkach po dwie lub trzy, zerkając z ukosa jedna na drugą; „nowicjusze”, mądrzejsi i doświadczeńsi, skupili się w gromady na wielkich schodach hallu wejściowego, gdzie całą siłą młodych płuc wydawali okrzyki tradycyjnej nieprzyjaźni przeciw starszym studentom, z których kilku przechadzało się wyniośle, spoglądając z rozmyślnym lekceważeniem na „niedojrzałych młodzików” na schodach. Gilberta i Karola nie było widać.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że nadejdzie dzień, gdy będę rada ujrzeć jakiegoś Slona — rzekła Priscilla, kiedy przechodziły przez dziedziniec. — Ale w tej chwili z zachwytem powitałabym wybałuszane oczy Karola. Byłyby to przynajmniej znajome oczy.

— O — westchnęła Ania — nie potrafię opisać, jak się czułam, gdym stała w kolejce, oczekując zarejestrowania — tak niepozorna, jak najmniejsza kropla w największym naczyniu. Dość już przykrym jest czuć się tak niepozorną, ale nie do zniesienia jest piastować przekonanie, że nigdy się nie będzie, nigdy nie zdoła się być czymś innym, jak istotą niepozorną, i dlatego właśnie czułam się tak, jakbym była niedostrzegalna gołym okiem, jakby ktoś z tych starszych studentów mógł na mnie nastąpić. Czułam, że zstąpiłabym do grobu nieopłakana, nieuczczona i niepożegnana śpiewem.

— Zaczekaj do następnego roku — pocieszyła ją Priscilla — a będziesz wyglądała tak samo znudzona i wyniosła, jak który z tych starszych studentów. Bez wątpienia jest rzeczą dość przykrą czuć się niepozorną, ale zdaje mi się, że lepsze to jeszcze, niż czuć się tak wielką i niezdarną, jak ja się czuję, jakbym sterczała nad całym Redmondem. Tak się właśnie czułam — zdaje się dlatego, że jestem o dwa cale wyższa od najwyższego z tego tłumu. Ja się nie bałam, że mnie jakiś starszy student zdepcze, bałam się raczej, że mnie kto weźmie za słonia, albo za wyrośnięty okaz wykarmionego kartoflami wyspiarza.

— Zdaje się, że najgorszym jest<sup>24</sup>, iż nie możemy wielkiemu Redmondowi wybaczyć, że nie jest małym Seminarium — rzekła Ania. — Gdyśmy opuściły Seminarium, znałyśmy każdego i zajmowałyśmy określone stanowisko. Mam wrażenie, iż spodziewałyśmy się nieświadomie podjąć życie w Redmondzie w tym miejscu, gdzieśmy je w Seminarium przerwały, a teraz czujemy się, jakby się nam ziemia wymykała spod stóp. Cieszę się, że pani Linde ani pani Eliza Wright nie wiedzą ani nigdy wiedzieć nie będą, jaki jest obecnie stan mojej duszy. Powiedziałyby oczywiście z egzaltacją: „Od razu ci to mówiłam”, i byłyby przekonane, że jest to początek końca, a tymczasem jest to właśnie koniec początku.

— Racja. To do ciebie podobne. Niedługo się tu zaaklimatyzujemy i wszystko będzie dobrze. Aniu, czy zauważyłaś tę dziewczynę, która całe rano stała sama tam koło drzwi garderoby? Tę ładną, z piwnymi oczyma i kształtnymi ustami?

— Owszem. Widziałam ją. Zwróciłam na nią szczególną uwagę, gdyż była to jedyna istota, która *wyglądała* tak samo samotna i bez przyjaciół, jak ja się *czułam*. Ja miałam przynajmniej ciebie, ona zaś nikogo.

— Zauważyłam kilka razy, że wykonywała nieznaczny ruch, jakby chciała się do nas zbliżyć, ale nie uczyniła tego: widocznie jest zbyt lękliwa. Chciałam, aby podeszła. Gdybym się tak bardzo nie czuła słoniem, zbliżyłabym się do niej. Ale nie mogłam się przedostać przez tę wielką halę z wyjąłymi tłumami chłopców na schodach. Była to najładniejsza nowicjuszka, jaką dzisiaj widziałam, ale prawdopodobnie i piękność zawodzi pierwszego dnia w Redmondzie — zakończyła Priscilla.

— Chciałabym po śniadaniu przespacerować się na cmentarz św. Jana — rzekła Ania. — Nie uważam co prawda, aby Stary Cmentarz był właściwym miejscem, gdzie się odzyskuje humor, ale zdaje mi się, że tylko tam znaleźć można drzewa, a drzewa muszą mieć. Usiądę na jakiejś starej mogile i przytknę oczy, wyobrażając sobie, że jestem w lasach Avonlea.

Nie uczyniła tego jednak, gdyż Stary Cmentarz św. Jana miał dość dla niej powabów, aby szeroko rozierać oczy. Weszły przez wrota wejściowe, minawszy prosty, masywny łuk kamienny, który wznosił się nad wielkim lwem angielskim. Znalazły się na ciemnym, chłodnym, zielonym miejscu, gdzie zawodziły wichry. Przechadzały się powoli po długich porośniętych murawą ścieżkach, odczytując osobliwe długie napisy, wyrte w epoce, rozporządzającej większymi ilościami czasu, niż obecnie.

<sup>24</sup>najgorszym jest — dziś popr.: najgorsze jest; najgorsze. [przypis edytorski]

— „Tu spoczywają zwłoki Alberta Crawforda” — czytała Ania na zniszczonej szarej tablicy — „przez wiele lat inspektor artylerii JKMości w Kingsporcie. Służył w armii aż do pokoju roku 1763, w którym to roku wystąpił ze służby z powodu złego stanu zdrowia. Był walecznym oficerem, najlepszym z małżonków, najlepszym z ojców i najlepszym z przyjaciół. Zmarł 29 października 1792 roku w wieku lat 84”. Oto nagrobek dla ciebie, Prissy. Jest w tym niewątpliwie pewna bujność wyobraźni. Jak pełne przygód musiało być takie życie! A co do jego zalet osobistych, pewna jestem, że pochwała ludzka nie mogła się dalej posunąć. Ciekawam, czy te wszystkie piękne rzeczy mówiono mu za życia.

— A tu jeszcze jeden — rzekła Priscilla. — Słuchaj: „Ku pamięci Aleksandra Rossa, który zmarł 22 września 1840 roku w wieku 43 lat. Nagrobek ten wzniesiony został jako danina przywiązania przez człowieka, któremu zmarły służył przez dwadzieścia siedem lat tak wiernie, że uważany był za przyjaciela i zasługiwał na najzupełniejsze zaufanie i życzliwość”.

— Bardzo dobre epitafium — oznajmiła Ania w zamyśleniu. — Nie pragnęłabym dla siebie lepszego. Wszyscy jesteśmy pewnego rodzaju sługami i jeśli fakt naszej wierności może być uwieczniony na naszych grobowcach, wystarczy to już w zupełności. Spójrz na ten nędzny, mały, szary kamień, Prissy — „na pamiątkę ukochanego dziecka”. A tutaj inny, „wzniesiony ku pamięci człowieka, pochowanego gdzie indziej”. Ciekawam, gdzie się znajduje ten nieznaną grób. Doprawdy, Prissy, dzisiejsze cmentarze nie są tak ciekawe jak ten. Miałas rację, będę tu często przychodziła. Już kocham to miejsce. Widzę, że nie jesteśmy tu same, tam na dole, na końcu tej alei, jest jakaś dziewczyna. Zdaje mi się, że to ta sama, którą widziałyśmy dziś rano w Redmondzie. Obserwuję ją już od pięciu minut. Ruszała w naszym kierunku już kilka razy i tyleż razy zwracała znowu. Albo jest okropnie lękliwa, albo ma coś na sumieniu. Idźmy jej naprzeciw. Łatwiej jest zawrzeć znajomość na cmentarzu, niż w Redmondzie.

Ruszyły długą aleją naprzeciw nieznanym, która siedziała na szarym kamieniu pod wielką wierzbą. Była istotnie bardzo ładna, stanowiła żywy, niepowszedni, czarujący typ urody. Na jedwabiście gładkich włosach leżał orzechowy blask, a okrągłe policzki rumieniły się miękko. Oczy miała wielkie, piwne, aksamitne, pod dziwnie wygiętymi brwiami. Nosila elegancką brązową suknię, modne małe pantofelki i ciemnoróżowy kapelusz słomkowy, stanowiący arcydzieło w swoim rodzaju. Priscilla uświadomiła sobie nagle, że własny jej kapelusz zrobiony był przez wiejską modystkę, a Ania zdawała sobie sprawę, że bluzka jej, którą sama uszyła, a którą przykroila pani Linde, wyglądała bardzo niezdarnie w porównaniu z eleganckim strojem nieznanym.

Przez chwilę miały ochotę zawrócić. Ale już się zatrzymały i zwróciły ku szaremu kamieniowi.

Za późno było wracać, gdyż piwnooka dziewczyna wywnioskowała widocznie z ich zachowania, że przyszły do niej, aby z nią pomówić. Podniosła się z miejsca i zbliżyła się ku nim z wyciągniętą ręką i uśmiechem, w którym nie było ani cienia lękliwości lub onieśmienia.

— O, tak pragnęłam się dowiedzieć, kim jesteście — zawołała nieznaną z zapalem. — Konałam z ciekawości. Widziałam was dzisiaj rano w Redmondzie. Powiedzcie, czy nie było tam okropnie? Przez czas czekania tam żałowałam, że nie zostałam w domu, aby wyjść za mąż.

Ania i Priscilla wybuchnęły na to niespodziane zakończenie hałaśliwym śmiechem, piwnooka dziewczyna zaśmiała się także.

— Pragnęłam tego rzeczywiście. Mogłam tak postąpić. Chodźcie, usiądźmy na tym kamieniu nagrobnym i zapoznajmy się. Nietrudno nam będzie. Wiem, że się serdecznie polubimy wzajemnie. Wiedziałam o tym, gdy tylko ujrzałam was dzisiaj rano w Redmondzie. Taką miałam ochotę, podbiec do was wprost i wyściskać was!

— A dlaczego tego nie uczyniłaś? — zapytała Priscilla.

— Po prostu dlatego, że nie mogłam się na to zdecydować. Zawsze mi jest trudno powziąć jakąś decyzję. Wadą moją jest niezdecydowanie. Gdy postanawiam coś uczynić, czuję zarazem, że inna droga postępowania byłaby właściwsza. Jest to wielkie nieszczęście, ale taką się urodziłam i nie ma sensu ganić mnie za to, jak to niektórzy czynią. Dlatego nie mogłam się zdecydować podejść do was i rozmawiać z wami, choć tego bardzo pragnęłam.

— Myślałyśmy, że jesteś zbyt lękliwa — rzekła Ania.

— Nic, nie, moja droga, łękliwość nie należy do licznych wad czy zalet Filipy Gordon — krótko Fili. Nazywajcie mnie po prostu Filą. A jak się wy nazywacie?

— Ona nazywa się Priscilla Grant — rzekła Ania, wskazując na przyjaciółkę.

— A ona Ania Shirley — oznajmiła Priscilla z kolei.

— I jesteśmy z Wyspy — rzekły obie jednocześnie.

— Ja przybyłam z Bolingbroke w Nowej Szkocji — zakomunikowała Filipa.

— Z Bolingbroke! — wykrzyknęła Ania. — Ja się tam przecież urodziłam!

— Rzeczywiście? Więc i ty jesteś „sinym nosem”<sup>25</sup>?

— Bynajmniej — odpowiedziała Ania. — Czy to nie Dan O’Connell powiedział, że jeśli człowiek urodzi się w stajni, to jeszcze nie staje się przez to koniem? Aż do szpiku kości jestem wyspiarką.

— W każdym razie rada jestem, że urodziłaś się w Bolingbroke. Stajemy się przez to niejako sąsiadkami, prawda? Cieszę się z tego, bo gdy ci zdradzę jakąś tajemnicę, nie zdradzę jej przez to obcemu. A mówić muszę, nie umiem zachować tajemnicy, wszelkie wysiłki byłyby bezcelowe. To moja wada — to i moje niezdecydowanie, o którym już wspominałam. Czy uwierzysz, że pół godziny wahałam się, jaki kapelusz włożyć, idąc tutaj — tutaj, na cmentarz! Początkowo skłaniałam się do brązowego z piórami, ale gdy tylko go włożyłam, wydało mi się, że w różowym z wielkim rondem będzie mi lepiej. Gdy już ten nosiłam, znowu brązowy wydał mi się odpowiedniejszy. Wreszcie położyłam oba na łóżku, zamknęłam oczy i wybrałam na ślepo szpilką od kapelusza. Szpilka utkwiała w różowym, więc włożyłam różowy. Jest mi w nim dobrze, prawda? Powiedzcie mi, co sądzicie o moim wyglądzie?

Na to naiwne pytanie, postawione tonem zupełnie poważnym, Priscilla roześmiała się znowu. Ania zaś rzekła, ściskając silnie dłoń Filipy:

— Skonstatowałyśmy dzisiaj rano, że jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką widziałyśmy w Redmondzie.

Usta Filipy wygięły się do uśmiechu radości, ukazując bardzo drobne, białe zęby.

— I ja to sobie pomyślałam — brzmiała jej zdumiewająca odpowiedź. — Ale potrzeba mi było czyjegós potwierdzenia, aby wesprzeć swój sąd. Nie mogę się nigdy zdecydować nawet co do swego własnego wyglądu. Gdy tylko zadecydowałam, że jestem ładna, poczynam czuć z bólem, że nią nie jestem. Mam przy tym okropną, starą ciotkę, która stale mówi do mnie żalobnym tonem: „Byłaś takim ładnym dzieckiem. Dziwne to, że dzieci tak się zmieniają podrastając”. Lubię ciotki, ale nie znoszę starych ciotek. Mówcie mi, proszę, często, że jestem ładna, jeżeli wam to nie sprawi przykrości. Czuję się znacznie lepiej, jeżeli mogę wierzyć, że jestem ładna. A i ja wobec was będę tak samo uprzejma, jeżeli tego pragniecie — mogę tak wobec was postępować z czystym sumieniem.

— Dziękuję — zaśmiała się Ania — ale Priscilla i ja jesteśmy tak mocno przekonane o swoim pięknym wyglądzie, że nie potrzebujemy żadnych zapewnień, zbyteczna byłaby więc twoja fatyga.

— O, śmiejecie się ze mnie, wiem, sądzicie, że jestem ohydnie próżna, ale tak nie jest, nie ma we mnie rzeczywiście ani odrobiny próżności, i zupełnie bez zazdrości obdarzam inne dziewczęta komplementami, jeżeli na nie zasługują. Cieszę się tak bardzo, że was poznałam! Przyjechałam w sobotę wieczorem i od tej chwili umierałam z tęsknoty za domem. Straszne to uczucie, prawda? W Bolingbroke jest się znakomitą osobistością, w Kingsporcie niczym!... Gdzie mieszkacie?

— Ulica św. Jana 38.

— Coraz lepiej! A ja akurat na rogu ulicy Wallace’a. Ale nie podoba mi się mój pensjonat. Smutny jest i samotny, a pokój mój wychodzi na wstrętne, czarne podwórze. Jest to najbrzydsze miejsce na świecie. A co do kotów, to oczywiście wszystkie koty Kingsportu nie mogą się tam spotykać w nocy, ale połowa przybywa na pewno. Lubię koty, drzemiące na dywanie w pobliżu ognia przed kominkiem, ale koty na podwórzu o północy to bezwarunkowo zupełnie inne stworzenia. Przez całą pierwszą noc po przybyciu płakałam, koty także. Gdybyście widziały nad ranem mój nos! Jakże wtedy pragnęłam, abym nigdy nie opuszczała domu!

<sup>25</sup>sinny nos — przezwisko nadawane mieszkańcom Nowej Szkocji. [przypis tłumacza]

— Nie wiem, jak się zdołałaś po tym wszystkim zdecydować na przyjazd do Redmondu, jeżeli rzeczywiście jesteś tak niezdecydowaną osobą — rzekła Priscilla ubawiona.

— Błogosławione twoje słodkie serce! To nie ja się zdecydowałam. Ojciec się uparł, żebym jechała, nie wiem dlaczego. Śmiesznym się przecież wydaje, że ja mam studiować, aby uzyskać bakalaureat sztuk, prawda? Nie żebym tego nie potrafiła, przeciwnie. Głowę mam niezłą.

— O! — rzekła Priscilla z niedowierzaniem.

— Tak. Ale wielka to praca używać swojej głowy. Nie, ja bym do Redmondu nie przyjechała. Uczyniłam to tylko dla ojca. Taki jest pocziwy! Zresztą wiedziałam, że jeśli zostanę w domu, to będę musiała wyjść za męża. Matka chciała tego stanowczo. Matka jest pełna stanowczości. Ale ja rzeczywiście nie mogłam znieść tej myśli, chciałam jeszcze parę lat poczekać, chciałam zaznać jeszcze rozrywek, zanim założę własny dom. A jeżeli śmiesznym jest być bakalaureatką sztuk, to przecież śmieszniejszym jeszcze jest być starą kobietą, prawda? Mam dopiero osiemnaście lat. Nie, wołałam jednak pojechać do Redmondu, niż wyjść za męża. Zresztą, jak mogłabym się kiedykolwiek zdecydować, za kogo wyjść?

— Czy było ich tylu? — zaśmiała się Ania.

— Tłumy, chłopcy niezmiernie mnie lubią, rzeczywiście. Ale dwóch tylko wchodziło w rachubę. Wszyscy inni byli za młodzi i za biedni. Ja muszę wyjść za męża bogato.

— Dlaczego musisz?

— Słodka moja, jak mogłabyś sobie wyobrazić mnie jako żonę człowieka ubogiego? Nie umiem robić nic pożytecznego i jestem bardzo rozrzutna. O, nie, mój mąż musi mieć moc pieniędzy. I to właśnie zredukowało ich ilość do dwóch tylko. Ale nie mogłam się zdecydować na wybór spomiędzy tych dwóch, tak samo, jakby ich było dwie setki. Wiedziałam doskonale, że gdybym wybrała jednego, żałowałabym przez całe życie, że nie wyszłam za drugiego.

— A czy... żadnego z nich nie... kochałaś? — zapytała Ania wahająco.

Nielatwo jej było mówić do obcej o wielkiej tajemnicy życia.

— Boże wielki! Nie, nie mogłam pokochać żadnego. To nie w moim charakterze. Zresztą nie chciałam. Człowiek zakochany staje się, sędzę, zupełnym niewolnikiem. I dałoby to mężczyźnie możność skrzywdzenia mnie. Bałabym się. Nie, nie, Oleś i Alfons<sup>26</sup> są miłymi chłopcami i lubię ich obu tak bardzo, że doprawdy nie wiem, którego lubię więcej. I to jest najgorsze. Oleś wygląda wprawdzie lepiej, a ja nie mogłabym po prostu wyjść za człowieka, który nie jest przystojny. Ma dobry charakter i miłe, kędzierzawe, czarne włosy. Jest trochę za doskonały, a nie wierzę, abym mogła kochać doskonałego męża, którego bym nigdy nie miała sposobności zganić.

— Więc dlaczego nie wyjdiesz za Alfonsa? — zapytała Priscilla poważnie.

— Zastanów się, wyjść za męża za człowieka, któremu na imię Alfons! — zawołała Fila boleśnie. — Nie wierzę, żebym to zniosła. Ale ma on klasyczny nos, a byłoby pociechą mieć w rodzinie nos, na którym można polegać. Ja na swoim polegać nie mogę. Chwilowo jest według modelu Gordonów, ale obawiam się, że gdy się zestarzeję, zdradzi on tendencje Byrnów. Badam go co dzień skrupulatnie, aby się przekonać, że jest jeszcze gordonowski. Matka była z domu Byrne i posiada nos jak najbardziej byrnowski. Gdybyś go widziała! Przepadam za pięknymi nosami. Ty masz nos niezwykle piękny, Aniu Shirley. Nos Alfonsa niemal przechyliłby szalę na jego korzyść. Ale *Alfons!* Nie, nie mogłam się zdecydować. Gdybym mogła postąpić tak, jak z kapeluszami, postawić ich obok siebie i ugodzić na ślepo szpilką od kapelusza, wtedy sprawa byłaby zupełnie łatwa.

— A jak Oleś i Alfons przyjęli twój wyjazd? — zapytała Priscilla.

— O, mają jeszcze nadzieję. Powiedziałam im, że muszą czekać, dopóki się nie zdecyduję. Zgadniają się na to. Uwielbiają mnie obaj. Przez ten czas zamierzam się trochę zabawić. Spodziewam się, że będę miała w Redmondzie chmary adoratorów. Nie mogę się czuć szczęśliwa, gdy ich nie mam. Ale czy nie uważasz, że wszyscy ci nowicjusze są okropnie niezdarne? Widziałam wśród nich tylko jednego naprawdę przystojnego chłopca! Odszedł, zanim wyście przyszły. Słyszałam, że kolega jego nazywał go Gilbertem.

<sup>26</sup> *Oleś i Alfons* — w orygu. ang.: Alec and Alonzo. [przypis edytorski]



Kolega ten miał oczy takie wybałuszone. Ale nie odchodźcie jeszcze, panienki? Nie odchodźcie.

— Zdaje się, że musimy — oznajmiła Ania dość chłodno. — Późno się robi, a ja mam jeszcze robotę.

— Ale odwiedźcie mnie, prawda? — zapytała Filipa, wstając i obejmując je obie ramionami. — I pozwólcie mi odwiedzić też was. Chciałabym się z wami zaprzyjaźnić. Spodobałyście mi się bardzo. A chyba niezupełnie zraziłam was do siebie swoją trzpiotowatością, prawda?

— Niezupełnie — rzekła Ania, odpowiadając na uścisk Fili serdecznie.

— Wiedźcie, że nie jestem nawet o połowę tak głupia, jak się powierzchownie wydaje. Zaakceptujcie Filipę Gordon, tak jak ją Pan Bóg stworzył, ze wszystkimi jej błędami, a sądzę, że ją jeszcze pokochacie. Czy ten cmentarz nie jest słodkim miejscem? Chciałabym być tutaj pochowana. Jest tu grobowiec, którego pierw nie spostrzegłam. Tam w otoczeniu żelaznej kraty. O, panienki, spójrzcie, patrzcie. Kamień głosi, że jest to mogiła miczmana<sup>27</sup>, który padł w bitwie pomiędzy *Shannon* a *Chesapeake*<sup>28</sup>. Jakie to fantastyczne!

Ania przystanąła przy kracie i spojrzała na stary kamień nagrobny; tętno jej drżało od nagłego podniecenia. Stary cmentarz z chylącymi się drzewami i długimi, cienistymi ścieżkami znikł sprzed jej oczu — widziała przed sobą tylko przystań Kingsportu sprzed stu lat: z mgły zbliżała się wolno wielka fregata, świecąc „gwiazdzista flagą Anglii”. Za nią sunęła druga, spowita we własną flagę, leżąca na tylnym pokładzie. Wskazówka czasu cofnęła się: był to okręt *Shannon*, który triumfalnie wjeżdżał do zatoki, wiodąc *Chesapeake* jako swego jeńca.

— Oprzytomnij, Aniu Shirley, oprzytomnij — zaśmiała się Filipa, ciągnąc ją za rękę. — Oddaliłaś się od nas o sto lat. Oprzytomnij.

Ania oprzytomniała z westchnieniem; oczy jej połyskiwały miękko.

— Zawsze lubiłam tę starą historię — rzekła — chociaż Anglia zwyciężyła wtedy; myślę, że lubiłam ją ze względu na tego starego, dzielnego komendanta. Ten grobowiec przypomniał mi ją znowu i uczynił tak rzeczywistą! Ten mały, biedny miczman miał zaledwie osiemnaście lat. „Zmarł od okropnych ran, które otrzymał w odważnej walce” — tak głosi jego nagrobek. Więcej żołnierz pragnąć nie może.

Zanim Ania odwróciła się od grobowca, rzuciła jeszcze małą wiązanek fiołków na mogiłę młodzieńca, który poległ podczas wielkiego pojedynku morskiego.

— No, co sądzisz o naszej nowej przyjaciółce? — zapytała Priscilla, gdy Fila opuściła je.

— Podoba mi się. Mimo wszystkich głupstw, jakie mówiła, ma w sobie coś miłego. Zdaje mi się, jak sama mówi, że nie jest nawet w połowie tak płytka, jak się wydaje. Jest słodkim dzieckiem, które chciałoby się całować, i wątpię, czy się pod tym względem kiedykolwiek zestarzeje.

— Mnie się tak podoba — rzekła Priscilla stanowczo. — Mówi tak wiele o chłopcach, jak Ruby Gillis. Ale gdy Ruby mówi, wpadam we wściekłość, podczas gdy przy Fili muszę się serdecznie śmiać. Co jest przyczyną tego?

— Jest między nimi różnica — rzekła Ania po chwili namysłu. — Zdaje mi się, iż idzie o to, że Ruby jest rzeczywiście tak *pewna siebie* wobec chłopców. Igra miłością i zakochaniem. Poza tym, gdy chwali się swymi adoratorami, czujesz, że chce cię podrażnić, iż ty nie masz ich tylu. Fila natomiast mówi o swoich amantach zupełnie jak o kolegach. Traktuje chłopców rzeczywiście jako kolegów i rada jest, mając dokoła siebie tuziny, po prostu dlatego, że lubi być popularna i uważana za popularną. Nawet Oleś i Alfons — nigdy nie potrafię już rozdzielić w myślach tych dwóch imion — nawet Oleś i Alfons są dla niej dwoma towarzyszami zabawy, którzy chcieliby bawić się z nią całe życie. Rada jestem, żeśmy ją spotkały i cieszą się, żeśmy się wybrały na cmentarz św. Jana. Mam wra-

<sup>27</sup>miczman a. *midshipman*, ang. *midshipman* — najniższy stopień oficerski w marynarce brytyjskiej, amerykańskiej i in. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>bitwa pomiędzy *Shannon* a *Chesapeake* — fregata marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, zwodowana w 1799 r., w czasie wojny brytyjsko-amerykańskiej w 1813 r. w pobliżu Bostonu została zdobyta przez brytyjski okręt *Shannon* i wcielona do marynarki brytyjskiej. [przypis edytorski]

zenie, że dzisiejszego popołudnia zapuściłam mały korzonek w grunt Kingsportu. Mam nadzieję. Nie znoszę przenoszenia się na nowy grunt.

## ROZDZIAŁ V. LISTY Z DOMU

Przez następne trzy tygodnie Ania i Priscilla czuły się nadal jak obce w obcym kraju. Po tem nagle wszystko skupiło się jakby w jednym ognisku: Redmond, profesorowie, sale wykładowe, studenci, studia i życie towarzyskie. Nowicjusze, dotąd obcy sobie, znaleźli się nagle w jednej klasie, ze wspólnym duchem klasy, wrzawą klasy, interesami klasy, antypatiami klasy i ambicjami klasy. Wygrawszy mecz sportowy ze starszymi studentami, zdobyli sobie od razu poważanie innych klas i wielką pewność siebie. Zasługa tego zwycięstwa przypadała Gilbertowi Blythowi, który ułożył specjalny plan strategiczny, co pomieszało szyki starszych. W nagrodę za to obrany został prezydentem klasy nowicjuszków, a ponadto zaproszono go na członka korporacji „Lamba Theta”, co było rzadkim odznaczeniem dla nowicjusza. Przed ceremonią przyjęcia do korporacji musiał przemarszerować wszystkie ruchliwe ulice Kingsportu w olbrzymim kapeluszu z rondem i w wielkim fartuchu z wzorzystego perkalu. Zrobił to chętnie, z gracją zdejmując wielki kapelusz, gdy spotykał znajome panie. Karol Slone, którego nie zaproszono do korporacji, oznajmił Ani, że nie rozumie, jak Blythe mógł się na to zdobyć; on ze swej strony nigdy by się tak dalece nie poniżył.

— Wyobrazić sobie Karolka Slona w perkalowym fartuchu i kapeluszu od słońca! — zachichotała Priscilla. — Wyglądałby zupełnie jak jego stara babcia Slonowa! Gilbert wyglądał w tym stroju tak samo po męsku, jak we własnym ubraniu.

Ania i Priscilla znalazły się w centrum życia towarzyskiego Redmondu. Że nastąpiło to tak szybko, zawdzięczały w dużej mierze Filipie Gordon. Fila była córką bogatego i znanego człowieka, należącego do starej i ekskluzywnej rodziny „sinych nosów”. W połączeniu z jej pięknnością i urokiem — urokiem, który przyznawali jej wszyscy — otwierało to przed nią drzwi do wszelkich klik, klubów i klas Redmondu, a dokąd szła ona, szły też Ania i Priscilla. Fila „ubóstwiała” Anię i Priscillę, zwłaszcza Anię. Była ona szczerą duszyczką. „Kochaj mnie, kochaj moich przyjaciół” — to była jej nieświadoma dewiza. Ze swobodą wciągała je do kręgu swoich znajomych, a dwie panienki z Avonlea miały przez to niezmiernie ułatwioną drogę towarzyskiego zżycia się z Redmondem, ku zazdrości innych nowicjuszek, które pragnąc przyjaźni Filipy, skazane były jednak na to, że przez pierwszy rok uniwersytecki pozostawały nieco na uboczu. Dla Ani i Priscilli, posiadających poważniejszy pogląd na życie, Fila pozostała rozkosznym, miłym dzieckiem, jakim wydała im się przy pierwszym spotkaniu. Ale, jak powiadała sama, miała „moc” rozumu. Gdzie i kiedy znajdowała czas na studiowanie, było tajemnicą, gdyż zawsze znajdowała się w poszukiwaniu jakiejś „rozrywki”, a wieczory w jej domu pełne były gości. Miała tylu „adoratorów”, ile serce jej mogło zapragnąć, gdyż dziewięć dziesiątych wszystkich nowicjuszków i spory ułamek pozostałych klas rywalizowało o jej uśmiech. Cieszyła się tym naiwnie i promieniała, opowiadając Ani i Priscilli szczegółowo o każdej nowej zdobyczy.

— Oleś i Alfons nie mają zdaje się dotąd poważnego rywala — zauważyła Ania drwiąco.

— Niewątpliwie! — zgodziła się Filipa. — Piszę do nich co tydzień i opowiadam im wszystko o swoich tutejszych młodzieńcach. Jestem pewna, że ich to bawi. Ale istotnie, tego, który mi się najwyżej podoba, nie mogę zdobyć. Gilbert Blythe nie zwraca na mnie uwagi, co najwyżej patrzy na mnie jak na małego, ładnego kotka, którego chciałby pogłaskać. Powód tego znam aż nadto dobrze. Winna ci jestem zazdrość, Królowo Anno. Doprawdy, powinnam cię nienawidzić, a tymczasem kocham cię szalenie i czuję się nieszczęśliwa, gdy cię nie mogę co dzień widzieć. Jesteś tak różna od wszystkich innych dziewcząt, które kiedykolwiek znałam. Gdy spoglądasz na mnie, czuję, jakim jestem niepozornym, małym, swawolnym zwierzątkiem, i pragnę się stać mądrzejsza i silniejsza. I skłania mnie to do dobrych postanowień. Ale pierwszy ładny chłopiec, który staje na mojej drodze, wybija mi te wszystkie postanowienia z głowy. Czyż życie akademickie nie jest wspaniałe? I pomyśleć, że pierwszego dnia nienawidziłam go! Ale gdyby nie to, ni-

gdy bym nie zawarła z tobą znajomości. Aniu, mów mi, proszę cię, często, że mnie lubisz trochę. Tak pragnę to słyszeć!

— Lubię cię bardzo nawet i uważam cię za miłą, słodką, czarującą, aksamitną koteczkę bez pazurków — zaśmiała się Ania. — Ale nie wiem, kiedy masz czas uczyć się.

Fila musiała znajdować na to czas, gdyż robiła w każdym przedmiocie doskonale postępy. Nawet stary, mrukliwy profesor matematyki, który gardził koedukacyjnymi zakładami naukowymi i oponował zaciekle przeciwko przyjmowaniu dziewcząt do Redmondu, nie mógł jej zgnębić. Przodowała we wszystkich przedmiotach, z wyjątkiem języka angielskiego, w którym Ania Shirley pozostawiła ją daleko za sobą. Ani samej nauka w pierwszym roku studiów przychodziła bardzo łatwo, przeważnie dzięki sumiennej pracy, jaką ona i Gilbert wykonali podczas owych ostatnich dwóch lat w Avonlea. Pozostawiało jej to więcej czasu na życie towarzyskie, którego zażywała do woli. Ale ani na chwilę nie zapomniała o Avonlea i swoich tamtejszych przyjaciółach. Najszczęśliwszymi chwilami tygodnia były dla niej dni, gdy nadchodziły listy z domu. Póki nie otrzymała pierwszych listów, ani jej na myśl przyszło, że mogłaby kiedy polubić Kingsport i czuć się tam dobrze. Do nadejścia tych pierwszych listów Avonlea wydawało się odległe o tysiąc mil. Owe listy przybliżyły Avonlea i tak ciasno spoiły nowe życie z dawnym, że oba te okresy wydawały się jednym. Pierwsza posyłka zawierała sześć listów: od Janki Andrews, Ruby Gillis, Diany Barry, Maryli, pani Linde i Tadzia. List Janki był wyczelowany, każde „t” miało w nim piękną kresczkę, a każde „i” staranną kropkę, i nie zawierał ani jednego zajmującego zdania. Nie wspomniała nawet o szkole, o której Ania tak łaknęła wiadomości; nie odpowiadała na żadne z pytań, jakie Ania postawiła w swoim liście. Ale opowiedziała Ani, ile łokci koronek wydziergała ostatnio, jaką mieli w Avonlea pogodę, jaką zamierza sobie sprawić suknię i jak się czuła, gdy ją bolała głowa. Ruby Gillis napisała jej porywczy list, oplakujący nieobecność Ani, i zapewniała ją, że pod każdym względem okropnie odczuwa jej brak, zapytywała, jak wyglądali „chłopcy” redmondzcy, i zakończyła swoje zwierzenia wymianieniem swych licznych nowych zdobyczy. Był to płytki, niewinny list i Ania uśmiełaby się z niego, gdyby nie postskriptum. „Gilbertowi podoba się widocznie w Redmondzie, o ile można wnosić z jego listu”, pisała Ruby, „Nie sądzę, aby Karol czuł się tam gorzej”.

Więc Gilbert pisywał do Ruby! Doskonale. Oczywiście miał do tego zupełne prawo. Ale...! Ania nie wiedziała, że Ruby pierwsza napisała list i że Gilbert tylko z grzeczności odpowiedział na jej list. Niechętnie odłożyła list Ruby. Ale orzeźwiający, wesoły, pełen nowinek list Diany rozwił przykre wrażenie dopisku Ruby. W liście Diany było trochę za dużo Alfreda, ale z drugiej strony pełen był interesujących wydarzeń i Ania, czytając go, czuła się niemal z powrotem w Avonlea. List Maryli prosty i niewymuszony, wolny zupełnie od plotek i sensacji, przyniósł Ani powiew zdrowego i prymitywnego życia na Zielonym Wzgórzu z posmakiem starego spokoju i niezmiennej miłości, jaką tam dla niej piastowano. List pani Linde roił się od nowinek kościelnych. Porzuciwszy gospodarstwo, miała pani Linde więcej czasu na sprawy kościelne i oddała się im całym sercem i duszą. Chwilowo była bardzo zajęta biednymi „zastępcami” na wakującej ambonie w Avonlea.

„Zdaje mi się, że prócz głupców nikt dzisiaj nie wstępuje na drogę duchowną”, pisała z goryczą. „Ci kandydaci, jakich nam przysyłają! Te kazania, jakich musimy wysłuchiwać! Połowa z tego jest kłamstwem, a co gorsza, nie brzmi to jak zdrowa nauka. Ten, którego mamy teraz, jest najgorszy z całej paczki. Przeważnie wybiera jakiś tekst, a każe o czymś innym. I powiada, że nie wierzy, aby wszyscy poganie byli na wieki potępieni. Co za pomysł! Gdyby tak nie było, wszystkie pieniądze, jakie dajemy na misje zagraniczne, byłyby zupełnie stracone! Zeszłej niedzieli wieczorem oznajmił, że w następnym tygodniu będzie kazał o pływającej siekierze. Sądzę, że lepiej by się ograniczył do biblii, a sensacyjne tematy porzucił. Do tego więc doszło, że kaznodzieja nie znajduje w Piśmie Świętem dość tematu do kazań! A jak tam z chodzeniem do kościoła, Aniu? Spodziewam się, że uczęszczasz regularnie. Ludzie lubią zaniedbywać chodzenie do kościoła, gdy są z dala od domu, a rozumiem, że studenci są pod tym względem wielkimi grzesznikami. Opowiadano mi, że wielu z nich właśnie w niedzielę odrabia

swoje ćwiczenia. Mam nadzieję, że Ty nigdy tak nisko nie upadniesz, Aniu. Pamiętaj, jak byłaś wychowana. I bądź przezorna przy wyborze przyjaciół. Nigdy nie można wiedzieć, co za istoty są w tym uniwersytecie. Z zewnątrz mogą wyglądać jak pobielane groby, a wewnątrz są zbutwiałe. Najlepiej nie odzywaj się wcale do młodzieńców, którzy nie są z Wyspy.

Zapomniałam Ci napisać, co się stało owego dnia, gdy nas pastor odwiedził. Była to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Powiedziałam do Maryli: Gdyby Ania tu była, dopieroż by się uśmieła! Nawet Maryla śmiała się. Wiesz przecież, jest to mały, tęgi mężczyzna z krzywymi nogami. Otóż stara świnia pana Harrisona — ta wielka, silna — przyszła znowu tego dnia i wtargnęła na podwórze; doszła aż do tylnego wejścia, czego my zupełnie nie zauważyliśmy. Znalazła się tam właśnie w chwili, gdy pastor wchodził we wrota. Zwierzę rozpędziło się, żeby uciec, ale nie miało innej drogi, jak między jego wygiętymi nogami. Świnia wpadła więc między jego nogi, a że ona była tak wielka, a pastor tak niski, uniosła go po prostu z sobą. Kapelusz jego poleciał w jedną stronę, a laska w drugą, właśnie w chwili gdy Maryla i ja dobiegłyśmy do drzwi. Nigdy nie zapomnę tego widoku. A biedna świnia była śmiertelnie przerażona. Ilekroć przeczytam w biblii przypowieść o świni, która pędziła po stromym stoku ku morzu, będę sobie musiała przypomnieć świnię pana Harrisona, zbiegającą z pagórka z pastorem na grzbiecie. Świnia myślała pewnie, że ma na sobie samego diabła. Na szczęście bliźniąt nie było przy tym. Nie byłby to dla nich odpowiedni widok. Tuż przed strumykiem pastor zeskoczył czy też spadł. Świnia jak oszalała przebiegła przez strumień i wpadła w las. Maryla i ja zbiegłyśmy w dół i pomogłyśmy pastorowi wstać i oczyścić się. Nie był zraniony, ale był wściekły. Uważał najwidoczniej Marylę i mnie za odpowiedzialne, chociaż go zapewniliśmy, że świnia nie należy do nas i przez całe lato dokucza nam. A zresztą po co przychodził przez tylne drzwi? Pan Allan nigdy by tego nie zrobił. Długo jeszcze potrwa, aż dostaniemy takiego pastora jak pan Allan. Ale nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło: od tego czasu nie widzieliśmy już owej świni i mam wrażenie, że nigdy jej już nie zobaczymy.

W Avonlea jest spokojnie. Zielone Wzgórze nie wydaje mi się tak samotne, jak się spodziewałam. Zacznę pewnie tej zimy nową kołdrę, pani Słone ma piękny wzór.

Kiedy czuję, że potrzeba mi trochę podniety, czytam o morderstwach w gazecie bostońskiej, którą przysyła mi moja siostrzenica. Nigdy tego nie robiłam, ale wiadomości te są rzeczywiście bardzo ciekawe. Stany Zjednoczone muszą być okropnym krajem. Mam nadzieję, że nigdy tam nie pojedziesz, Aniu. Ale straszna to rzecz, jak się obecnie dziewczęta włóczą po świecie. Zawsze mi to przypomina szatana w księdze Hioba. Nie leży to chyba w zamiarach Boga.

Tadzio od twego wyjazdu sprawuje się dość dobrze. Kiedyś był niegrzeczny i Maryla ukarała go, każąc mu przez cały dzień nosić fartuch Toli, po czym Tadzio pokroił wszystkie fartuszki Toli. Dałam mu za to klapsa, a on zagnał na śmierć mojego koguta.

Mac Phersonowie sprowadzili się do mojego domu. Ona jest bardzo dobrą gospodynią.

Nie ucz się za wiele, dbaj o siebie i gdy tylko jest chłodniej, wkładaj zimową bieliznę. Maryla bardzo się o Ciebie kłopotczy, ale ja jej perswaduję, że jesteś rozsądną dziewczyną i będziesz się miała na baczności”.

List Tadzia zaczął się rozpaczliwie:

„Kohana aniu, proszę napisz i powieć maryli żeby mnie nie pszywiązywała do bariery jak idę z hłopakami łowić ryby bo się ze mnie śmieją. Bardzo tu smutno bez ciebie, ale fszkole wesoło. janka andrews jest gorsza od ciebie. Wczoraj nastraszyłem panią linde latarkom. Była bardzo wściekła

bo gonilem jej starego kogota po podwuzu aż zdech. Zabić go nje chcialem. Dlaczego zdech aniu musze to wjedziedz. Pani linde žucila go do hlewu chciała go spszedać panu blair a pan blair daje teraz za dobre zabite koguty pięndziesiont centuw. Slyszałem jak pani linde prosila pastora rzeby sie za niom modlił. Ciekaw jestem co ona takiego zlego zrobila aniu? Mam latafca z pięknym ogonem aniu. emilek bolter opowiedzial: mi fczoraj w szkole dlógą chistorję — prawdziwą, stary joe Mosey i leon grali w zeszlym tygodniu w lesie w karty karty lerzaly na pieńjku i durzy czarny czlowiek wyrzszy niz dzewa pszyszedł i zabral karty i pienjek i odszedł z gźmotem. Załorze się że się zlenkli. emilek muwi, że to był diabeł, czy to prawda aniu muszę to wjedziedz. pan Kimball jest bardzo gróby i mósi is do śpitala. Pszepraszam cie na hwile bo mósze się zapytać maryli jak to sie pisze. Maryla muwi że to nie śpital tylko inne miejsce, on myśli że ma w bźóhu rzmije. co to znaczy miedz rzmije w bźóhu aniu musze to wjedzieć. Bźóh pani lawrence tesz jest hory. pani linde muwi że to dla tego że zadurzo dba o swoje wnenczności”.

— Ciekawam — rzekła Ania — odkładając swoje listy — coby też pani Linde pomyslała o Filipie.

## ROZDZIAŁ VI. W PARKU

— Co zamierzacie robic dzisiaj, dziewczęta? — zapytala Filipa pewnego popołudnia niedzielnego, wpadając do pokoju Ani.

— Idziemy na spacer do parku — odpowiedziala Ania. — Wlasciwie powinna bym zostac w domu i wykonczyc sobie bluzkę. Ale w taki dzien jak dzisiejszy nie potrafilabym szyc. Atmosfera dzisiejsza wnika do mojej krwi i stwarza w mej duszy jakis uroczysty nastrój. Palce drzalyby mi i na pewno robilabym krzywe scięgi. Idziemy więc do parku.

— Czy to „my” odnosi się do kogos jeszcze prócz ciebie i Priscilli?

— Tak, do Gilberta i Karola, a bardzo by nas cieszylo, gdyby odnosilo się i do ciebie.

— Ale — rzekła Filipa z ubolewaniem — gdybym poszła, musialabym przez cały czas milczec, a będzie to zupełnie nowym doświadczeniem dla Filipy Gordon.

— Nowe doświadczenia rozszerzają nasze horyzonty. Zabierz się z nami, a nauczysz się współczucia dla tych wszystkich biednych duszyczek, które często zmuszone są do milczenia. Ale gdzież twoje wszystkie ofiary?

— O, zmęczyły mnie już, nie mogłam już dziś po prostu znieść, aby mnie nadal nudzily. A przy tym byłam troszkę nie w humorze. Napisałam w ubieglym tygodniu do Olesia i Alfonsa. Listy te wlozylam do kopert i zaadresowalam, ale nie zalepilam. Tego wieczora zdarzylo się coś zabawnego, a raczej Oleś będzie to uważal za zabawne, ale Alfons najprawdopodobniej nie. Śpieszylam się, więc wyjęłam z koperty — jak mi się zdawalo — list Olesia i dopisałam postskriptum. Następnie odniosłam oba listy na pocztę. Dziś rano otrzyłam odpowiedź od Alfonsa. Panienki, dopisałam to postskriptum w jego liście i Alfons był wściekly. Oczywiście udobrucha się — a jeżeli nie, to mnie to też nie martwi — ale zepsulo mi to nastrój. Postanowilam więc przyjść do was, żeby odzyskac humor. Po otwarciu sezonu piłki nożnej nie będę już miała żadnej niedzieli wolnego popołudnia. Ubóstwiam piłkę nożną. Sprawilam sobie piękną czapkę i switer<sup>29</sup> w barwach Redmondu i będę je nosila na zawodach. Na pewno będę po pewnym czasie wygladala jak chodzaca kukla fryzjerska. Wiesz, że twój Gilbert zostal obrany na kapitana drużyny „nowicjuszy”?

— Tak, powiedzial nam to wczoraj wieczór — odpowiedziala Priscilla, widzac, że urazona Ania nie chce odpowiedziec. — On i Karol byli na dole. Wiedzialyśmy, że przyjdą, więc szybko pochowalyśmy poduszeczki panny Ady. Najpiękniejszą, z haftem, rzucilam na podłoge, do kąta za krzeslem, na którym lezala. Myslam, że będzie tam bezpieczna. Ale czy uwierzysz, Karol Slone podszedł prosto do tego krzesla, spostrzegł leżacą za nim poduszeczkę, wywolil ją uroczyscie i przez cały wieczór siedzial na niej. Jak ta poduszka potem wygladala! Biedna panna Ada zapytala mnie dzisiaj, ciągle jeszcze z usmiechem, ale z takim wyrzutem, dlaczego pozwolilam siedziec na tej poduszeczce. Powiedzialam

<sup>29</sup>switer — dziś popr.: sweter. [przypis edytorski]

jej, że nie pozwoliłam, ale było to dziełem przeznaczenia w parze z zakorzenionym „słownostwem”, a ja nie stałam na wysokości zadania jako przeciwnik tych dwóch sprzymierzonych sił.

— Poduszeczki panny Ady rzeczywiście działają mi już na nerwy — rzekła Ania. — W zeszłym tygodniu wykończyła znowu dwie, a że nie było już miejsca bez poduszek, gdzie by je można było położyć, więc postawiła je naprzeciw ściany klatki schodowej. Przewracają się co chwila, a gdy po ciemku wchodzimy na schody, potykamy się o nie stale. Ostatniej niedzieli, gdy doktor<sup>30</sup> Davis wygłaszał kazanie dla wszystkich, wystawionych na niebezpieczeństwa morza, dodałam w duchu: i dla tych wszystkich, co mieszkają w domach, gdzie poduszki nie są lubiane rozumnie, lecz z przesadą! Ale widzę, że chłopcy nadchodzą już przez Stary Cmentarz św. Jana. Więc zabierzesz się z nami, Filo?

— Pójdę, jeżeli będę mogła spacerować z Priscillą i Karolem. Będzie to najznośniejszy stopień milczenia. Ten twój Gilbert jest kochanym chłopcem, Aniu, ale dlaczego chodzi stale z tym Karolem o wybałuszonych oczach? Ania wyprostowała się. Niezbyt lubiła Karola Slona, ale pochodził on z Avonlea i nikomu obcemu nie wolno było śmiać się z niego.

— Karol i Gilbert zawsze byli przyjaciółmi — odpowiedziała chłodno. — Karol jest ładnym chłopcem. Nie można mu wytykać jego oczu.

— Nie wspominaj mi o tym! Też mi ładny! Musiał w swoim poprzednim wcieleniu uczynić coś okropnego, jeśli ukarany został takimi oczyma. Prissy i ja będziemy się dziś doskonale po południu bawiły w jego towarzystwie. Będziemy mu się śmiały prosto w twarz, a on nigdy tego nie spostrzeże.

Bez wątpienia opuszczone P. i F., jak je nazwała Ania, doprowadziły do skutku swoje miłe zamiary. Ale Slone trwał w błogiej nieświadomości. Zdawało mu się, że tak ładnemu chłopcu przystoi właśnie spacerować z dwiema pięknymi studentkami, zwłaszcza z Filipą Gordon, pięknnością klasy. Musiało to z pewnością wyrzucić wrażenie na Ani. Widziała niewątpliwie, że ludzie potrafili ocenić jego rzeczywistą wartość.

Gilbert i Ania szli w pewnym oddaleniu za resztą towarzystwa, rozkoszując się pod sosnami parku spokojną, cichą pięknnością popołudnia jesiennego; szli drogą wijącą się brzegiem przystani.

— Cicho tu jak w kościele — rzekła Ania, zwracając twarz ku blaskowi nieba. — Jak ja kocham sosny! Mam wrażenie, że zapuszczają one korzenie w romantyzm wszystkich stuleci. Jak to miło od czasu do czasu spacerować pod nimi. Czuję się tu zawsze tak szczęśliwa.

— „Marzę pod czarem boskim,  
Samotnią górską przejęte...  
Opadły z nich wszystkie troski,  
Jak z sosen igły strząśnięte...”<sup>31</sup>

— zacytował Gilbert. — Czy nie uważasz, Aniu, że sprawiają one, iż nasze małe ambicje wydają się jeszcze mniejszymi?

— Sądzę, że gdyby nawiedziło mnie jakieś wielkie strapienie, przyszedłabym do tych sosen po pociechę — odpowiedziała Ania z rozmarzeniem.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miała wielkiego strapienia — rzekł Gilbert, który nie potrafił połączyć wyobrażenia strapienia z ożywioną, wesołą istotą, idącą obok niego, nie wiedząc, że ci, co wznosić się mogą na najwyższe wyżyny, spadają też w najgłębsze niziny, i że te natury, które najsilniej odczuwają rozkosz, najsilniej też doznają bólu.

— Ale kiedyś musi przyjść — zadumała się Ania. — Życie wydaje mi się teraz niby puchar<sup>32</sup> rozkoszy, podniesiony do moich warg. Ale w pucharze tym musi być jakaś gorycz: jest ona w każdym kielichu. I ja będę musiała kiedyś zakosztować goryczy. Mam nadzieję, że będę dość silna i odważna, aby ją powitać, i mam nadzieję, że jeśli się to

<sup>30</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Marzę pod czarem boskim, Samotnią górską przejęte... Opadły z nich wszystkie troski, Jak z sosen igły strząśnięte — fragment wiersza Dickens In Camp, którego autorem był Francis Bret Harte (1836–1902). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>puchar (daw.) — dziś popr.: puchar. [przypis edytorski]

kiedy stanie, to nie z mojej własnej winy. Czy pamiętasz, co doktor<sup>33</sup> Davis mówił ostatniej niedzieli — że te strapienia, które zsyła nam Bóg, muszą nam przynieść pociechę i siłę, podczas gdy te, które sami sobie gotujemy przez głupotę i złość, są najtrudniejsze do zniesienia. Ale nie mówmy o troskach, gdy popołudnie jest tak piękne. Jest ono stworzone dla radosnej rozkoszy życia!

— Gdyby to ode mnie zależało, usunąłbym z twego życia wszystko, prócz szczęścia i radości, Aniu — rzekł Gilbert tonem, który oznaczał: „niebezpieczeństwo zbliża się”.

— W takim razie byłbyś bardzo niemądry — odpowiedziała Ania szybko. — Jestem pewna, że życie ludzkie nie może być pełne i dojrzałe bez doświadczeń i trosk, chociaż przypuszczam, że zgadzamy się z tym wtedy tylko, gdy nam się dobrze wiedzie. Chodź, tamci doszli już do pawilonu i kiwają na nas.

Usiedli wszyscy w małym pawilonie, obserwując wspaniały jesienny zachód słońca.

— Wracając do domu, idźmy przez aleję Spofforda — zaproponował Gilbert. — Obejrzymy sobie wszystkie te „piękne domy”, gdzie mieszkają bogacze. Aleja Spofforda jest najpiękniejszą ulicą w Kingsporcie. Kto nie jest milionerem, nie może na niej budować.

— O, chodźcie — zawołała Fila. — Jest tam cudowne miejsce, które chciałabym ci pokazać, Aniu. Ten domek nie został zbudowany przez milionera. Jest to pierwszy dom po wyjściu z parku i wzrósł zapewne wtedy, gdy Aleja Spofforda była jeszcze drogą wiejską. *Wzrósł*, nie został zbudowany! Nie interesują mnie te wspaniałe domy, zbyt są nowe i zbyt błyszczące. Ale ten mały domek jest marzeniem — a jego nazwa — ale zaczekaj, aż go zobaczysz.

Ujrzeli to miejsce z parku, gdy opuścili porosły sosnami wzgórek. Na skrzyżowaniu ulic stał domek, otoczony z obu stron grupami sosen, które rozpościerały ramiona nad jego niskim dachem. Domek porosły był czerwonym i złotym winem, przez które przeświecały okna z zielonymi okiennicami. Przed domem był mały ogródek, okolony niskim murem kamiennym. Chociaż był to już październik, ogródek pełen był jeszcze pięknych, wonnych kwiatów i krzewów. Wąska brukowana ścieżka prowadziła od furtki do frontowych drzwi. Cały domek wydawał się przeniesiony z jakiegoś innego kraju. Ale było w nim coś, co sprawiało, że najbliższy jego sąsiad, pałac króla tytoniowego, otoczony wielką murawą, wydawał się przez kontrast niezwykle brutalny, nadęty i grubiański. Fila oświadczyła, że jest to różnica między tym, co zrodzone, a zrobione.

— Jest to najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam — rzekła Ania z zachwytem. — Zadaje mi on rozkoszny, drogi ból. Jest on nawet miłszy i osobliwszy niż kamienny dom panny Lawendy.

— Chciałabym, żebyś sobie szczególnie zapamiętała jego nazwę — rzekła Fila. — Patrz, białymi literami wypisane jest na łuku bramy: „Ustronie Patty”. Czy to nie piękne? Zwłaszcza na tej ulicy, gdzie mieszkają ludzie o szumnych nazwiskach? „Ustronie Patty”, zapamiętaj sobie! Jestem tym zachwycona!

— Czy wiesz coś o tym, kim jest Patty? — zapytała Priscilla.

— Patty Spofford to nazwisko starej damy, która posiada ten dom, odkryłam to. Mieszka tutaj; ze swoją bratanicą, a mieszkają tam już przed stu laty, może trochę mniej, może trochę więcej. Pewnie trochę mniej. Przesada jest tylko polotem fantazji poetyckiej. Domyślałam się, że ci bogacze próbowali nieraz odkupić tę posiadłość — teraz jest ona rzeczywiście warta majątek — ale Patty żadną miarą nie chce jej sprzedać. Za domem jest zamiast dziedzińca ogród owocowy, zobaczysz go, gdy odejdziemy kawałek dalej. Prawdziwy ogród owocowy w alei Spofforda!

— Będę tej nocy śniła o „Ustroniu Patty” — rzekła Ania. — Mam wrażenie, jakbym należała do niego. Ciekawam, czy przypadek jaki pozwoli nam kiedyś ujrzeć jego wnętrze.

— Nie jest to prawdopodobne — rzekła Priscilla. Ania uśmiechnęła się tajemniczo. — Nie, nie jest to prawdopodobne, ale wierzę, że się to stanie. Mam jakieś dziwne wrażenie, możesz je nazwać, jeśli chcesz, przecuciem, że „Ustronie Patty” i ja zawrzemy jeszcze bliższą znajomość.

<sup>33</sup>doktor — dziś popr.: doktor. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ VII. ZNOWU W DOMU

Owe pierwsze trzy tygodnie w Redmondzie wydawały się długie, ale reszta semestru upłynęła na skrzydłach wiatru. Zanim się spostrzegli, znaleźli się w okresie wkuwania do egzaminów przed Bożym Narodzeniem, z których wyszli mniej lub więcej zwycięsko. Zaszczyt prymusa w klasie „nowicjuszków” wahał się między Anią, Gilbertem a Filipą; Priscilla zdała bardzo dobrze; Karol Slone przegrzebał się względnie nieźle i zachowywał się tak, jakby przodował we wszystkich przedmiotach.

— Trudno mi wprost uwierzyć, że jutro o tej porze będę na Zielonym Wzgórzu — rzekła Ania w wieczór przed odjazdem. — A jednak tam będę. A ty, Filo, będziesz w Bolingbroke z Olesiem i Alfonsem.

— Tęskno mi za ich widokiem. — przyznała Filipa z ustami pełnymi czekolady. — To rzeczywiście tak mili chłopcy. Będę miała wspaniałe wakacje. Tańce, przejażdżki i inne rozrywki nie będą się kończyły. Nigdy ci nie przebaczę, Królowo Anno, że nie jedziesz ze mną na święta.

— „Nigdy” to u ciebie znaczy trzy dni, Filo. Bardzo to ładnie z twojej strony, że mnie zaprosiłaś i chętnie przyjechałabym kiedyś do Bolingbroke. Ale w tym roku nie mogę — muszę pojechać do domu. Nie możesz sobie wyobrazić, jak mi tęskno.

— Nic spędzisz czasu dobrze — rzekła Filipa pogardliwie. — Ze dwie trzy wieczorki, podczas których wszystkie stare plotkarki będą cię w oczy i za oczyma obgadwały. Umrzesz z samotności, dziecko.

— W Avonlea! — zawołała Ania ubawiona.

— Gdybyś pojechała ze mną, spędziłabyś czas doskonale. Bolingbroke oszałoby na twoim punkcie, Królowo Anno — twoje włosy i twoja uroda, i wszystko inne! Jesteś taka inna. Osiągnęłabyś niebywałe powodzenie — a ja kąpałabym się w odbitym blasku twego słońca — „nie róża, ale blisko róży”. Zabierze się ze mną, Aniu.

— Twój obraz triumfu towarzyskiego jest pociągający, Filo, ale ja ci odmaluję inny, który go zaćmi. Jadę do domu, do starego folwarku wiejskiego, niegdyś zielonego, teraz nieco już wypłowiałego, i znajdującego się między owocowymi sadami. Na dole płynie strumień, a w górze stoi las świerkowy, gdzie słychać, jak wiatr i deszcz grają na harfach. Obok znajduje się staw, który teraz będzie szary i ścięty. W domu będą dwie starsze panie, jedna wysmukła i chuda, druga niska i tęga, oraz dwoje bliźniąt, jedno skończony wzór, drugie to, co pani Linde nazywa „świętą zgrozą”. Jest tam też mała facjatka, gdzie gęstą pajęczyną wiszą dawne marzenia, i wielkie, wspaniałe puchowe łóżko, które po materacu pensjonatowym wyda mi się niemal szczytem przepychu. Jak ci się podoba mój obraz, Filo?

— Wydaje mi się bardzo nudny — rzekła Fila ze skrzywieniem.

— O, ale opuściłam to, co najistotniejsze. Będzie tam miłość, Filo, wierna, czuła miłość, jakiej się nigdzie na świecie nie znajdzie — miłość, która czeka na mnie. To czyni obraz mój arcydziełem, prawda? Nawet jeśli barwy nie są tak bardzo lśniące.

Fila wstała w milczeniu, odrzuciła pudełko od czekolady, podeszła do Ani i otoczyła ją ramionami.

— Aniu, pragnęłabym być taka jak ty — rzekła poważnie.

\*

Następnego wieczora Diana powitała Anię na dworcu w Carmody i razem pojechały do domu pod cichym, usianym gwiazdami mrokiem nieba. Zielone Wzgórze wyglądało bardzo uroczyście, gdy wjeżdżały na drogę. W każdym oknie było światło, którego blask przebijał się przez ciemności, niby płomiennie czerwone kwiaty na ciemnym tle Lasu Duchów. Na dziedzińcu płonęło wspaniałe ognisko powitalne, dokoła którego tańczyły dwie małe postaci, z których jedna wydała nieludzki okrzyk, gdy bryczka wjechała pod topole.

— Tadzio uważa to za okrzyk wojenny Indian — rzekła Diana. — Nauczył go tego chłopiec, najęty przez pana Harrisona. Dotychczas ćwiczył się, żeby cię nim powitać. Pani Linde powiada, że krzykiem tym doprowadza on jej nerwy do obłądu. Wdrapuje się na jej plecy, a potem wydaje swój okrzyk. Uparł się, że rozpali też dla ciebie ognisko powitalne.

Dom, Rodzina, Miłość  
spełniona



Przez dwa tygodnie znosił suche gałęzie i zanudzał Marylę, aby pozwoliła mu nalać na nie przed zapaleniem trochę nafty. Po zapachu poznaję, że musiała mu pozwolić, chociaż pani Linde twierdziła do ostatniej chwili, że Tadzio, gdyby mu na to pozwolono, wysadziłby w ten sposób siebie i innych w powietrze.

Tymczasem Ania wysiadła z bryczki, a Tadzio z zapalem objął jej kolana; nawet Tola przywarła do jej ręki.

— Czy to nie wspaniały ogień powitalny, Aniu? Czekaj, pokażę ci, jak się go roznieca. Widzisz te iskry? Zrobiłem to dla ciebie, bo tak się cieszyłem, że wracasz do domu.

Drzwi kuchni otworzyły się i ukazała się w nich drobna postać Maryli. Wołała spotkać się z Anią w mroku dziedzińca, gdyż lękała się, że się rozplacze z radości — ona, zawsze tak sztywna Maryla, która wszelkie silniejsze uczucie uważała za rzecz niemożliwą. Pani Linde stała za nią, łagodna i macierzyńska jak dawniej.

Miłość, o której Ania mówiła do Fili, czekała na nią, otoczyła ją i spowiła w swoje błogosławieństwo i słodycz. Nic się teraz nie mogło równać ze starymi więzami i starymi przyjaciółmi na starym, dobrym Zielonym Wzgórzu! Jak gwiazdziste były oczy Ani, gdy zasiedli do zastawionego stołu, jak różowe jej policzki, jak srebrny jej śmiech! A Diana miała u niej pozostać przez całą noc. Jakże to było podobne do drogich, dawnych czasów! A serwis z różnymi pąkami upiększał stół! Dalej nie mogła się posunąć wrodzona siła Maryli.

— Będziecie teraz pewnie z Dianą gadały przez całą noc — rzekła Maryla z uśmiechem, gdy dziewczęta wchodziły na górę.

— Tak — przyznała Ania wesoło — ale położę pierw Tadzia do łóżka. On tego koniecznie chce.

— Muszę przecież znowu odmówić przed kimś modlitwę — rzekł Tadzio, gdy wchodzili po schodach. — To nic miłego odmawiać ją samotnie.

— Nie odmawiasz jej samotnie, Tadzio, Bóg jest zawsze z tobą i słucha ciebie.

— Ale ja Go nie widzę — zaoponował Tadzio. — Muszę modlić się wobec kogoś, kogo widzę, ale nie chcę tego robić w obecności Maryli albo pani Linde.

Mimo to, gdy Tadzio ubrany został w swój szary, flanelowy strój nocny, nie zdawał się śpieszyć z rozpoczęciem modlitwy. Stał przed Anią, pocierając jedną nagą stopę o drugą, i wyglądał niezdecydowany<sup>34</sup>.

— Chodź, kochanie, uklęknij — rzekła Ania.

Tadzio zbliżył się i zatopił głowę na piersi Ani, ale nie uklękął.

— Aniu — rzekł stłumionym głosem. — Po tym wszystkim nie czuję się zdolny do modlitwy. Trwa to już od tygodnia. Ja... ja się *nie modliłem* ani wczoraj, ani przedwczoraj wieczorem!

— Dlaczego, Tadzio? — zapytała Ania łagodnie.

— Czy... czy nie będziesz się gniewała, gdy ci to powiem? — błagał Tadzio. Ania uniosła odziane w szarą flanelę ciało na kolana i przytuliła głowę chłopca do swego ramienia.

— Czy się kiedykolwiek „gniewałam”, gdy mi coś mówiłeś, Tadzio?

— Nieee, ty się nigdy nie gniewałaś. Ale martwisz się, a to jest jeszcze gorsze. Okropnie cię zabolę, gdy ci to powiem, Aniu — i będziesz się mnie pewnie wstydzila.

— Czy zrobiłeś coś niegodnego, Tadzio, i czy dlatego nie możesz się modlić?

— Nie, dotychczas nie uczyniłem nic złego, ale muszę to zrobić.

— O co idzie, Tadzio?

— Muszę... muszę powiedzieć złe słowo, Aniu — wybuchnął Tadzio z rozpaczliwym wysiłkiem. — Słyszałem, jak w zeszłym tygodniu powiedział je chłopiec, którego przyjął pan Harrison, i od tego czasu korci mnie ciągle, żeby je powiedzieć — nawet kiedy się modlę.

— Więc powiedz je, Tadzio.

Tadzio podniósł zawstydzoną twarz, niezmiernie zdumiony.

— Ależ, Aniu, to jest *okropnie* złe słowo!

— *Powiedz je!*

<sup>34</sup>wyglądał niezdecydowany — dziś: wyglądał na niezdecydowanego. [przypis edytorski]

Tadzio jeszcze raz rzucił na nią niedowierzające spojrzenie, potem cichym głosem wypowiedział owo okropne słowo. W następnej chwili ukrył twarz na jej piersi.

— O Aniu, nigdy już tego nie powtórzę — nigdy. Nigdy nie będę *potrzebował* tego mówić. Wiedziałem, że to było złe, ale nie przypuszczałem, że to było tak... tak... nie przypuszczałem, że to było *tak* złe.

— Nie, nie sądzę, abyś to kiedykolwiek musiał powtórzyć, Tadziu — albo myśleć o tym. I na twoim miejscu nie obcowałabym z chłopcem od pana Harrisona.

— Ale on zna takie wspaniałe okrzyki wojenne — rzekł Tadzio z lekkim ubolewaniem.

— Ty jednak nie potrzebujesz nabijać sobie głowy złymi słowami, Tadziu — słowami, które cię zatrują i zniszczą w tobie wszystko dobre i szlachetne.

— Nie — rzekł Tadzio z namysłem.

— Więc nie przebywaj w towarzystwie ludzi, którzy ich używają. A czy teraz czujesz się zdolny do modlitwy, Tadziu?

— O tak — rzekł Tadzio, przyklękając gorliwie. — Teraz mogę się modlić. Teraz nie lękam się powiedzieć: „Gdybym miał umrzeć, zanim się zbudzę”, jak lękałem się, gdy mnie korciło to słowo.

Diana i Ania prawdopodobnie otworzyły przed sobą wzajemnie tej nocy dusze, ale po zwierzeniach ich nie pozostało ani śladu. Przy śniadaniu wyglądały obie tak świeżo i promiennie, jak tylko młodość wyglądać może po niedozwolonych godzinach marzenia i wyznań. Do tego czasu nie padał jeszcze śnieg, ale gdy Diana w drodze do domu mijala stary most z bali, poczęły spadać białe płatki, unosząc się nad polami i lasami, stojącymi szaro i brunatnie w swoim śnie bez marzeń. Po krótkim czasie odległe pagórki i stoki spowiły się w przejrzyste zasłony, jak gdyby błada jesień rozpięła nad nimi biały welon, czekając na swego zimowego oblubieńca. Boże Narodzenie było więc jednak białe, a był to dzień wielkiej radości. Przed południem nadeszły listy i podarki od panny Lawendy i Jasia. Ania otworzyła listy w wesołej kuchni Zielonego Wzgórza, napelnionej tym, co Tadzio, pociągając z ekstazą nosem, nazywał „pięknymi zapachami”.

— Panna Lawenda i pan Irving urządzili się już w swoim nowym domu — opowiedziała Ania. — Jestem przekonana, że panna Lawenda czuje się zupełnie szczęśliwa — poznaję to z tonu jej listu — ale jest tam i dopisek Karoliny Czwartej. Jej się Boston zupełnie nie podoba i tęskni okropnie. Panna Lawenda prosi, abym będąc teraz w domu, poszła kiedyś do Chatki Ech, rozpałała ogień i przewietrzyła chatkę, żeby poduszki nie zbutwiały. Namówię chyba Dianę, żeby tam ze mną poszła w przyszłym tygodniu. Będziemy mogły spędzić wieczór z Teodorą Dix. Chciałabym zobaczyć Teodorę. A propos, czy Ludwik Speed odwiedza ją jeszcze?

— Mówią tak — odpowiedziała Maryla — prawdopodobnie bywa u niej jeszcze. Ludzie przestali już wierzyć, że konkury te doprowadzą do czegoś.

— Ja bym na miejscu Teodory popędziła go trochę — rzekła pani Linde, i nie ulega wątpliwości, że pragnęłaby tego.

Pośród listów znalazła się też charakterystyczna bazgrota Filipy, pełna Olesia i Alfonsa, co mówili i co czynili, i jak wyglądali, gdy ją ujrzeli.

„Ale nie mogę się jeszcze zdecydować, za którego z nich wyjść”, pisała Fila. „Żałuję, że nie pojechałaś ze mną, aby powziąć za mnie decyzję. Ktoś będzie musiał to zrobić. Kiedy ujrzałam Olesia, serce moje wykonało wielki skok i pomyślałam: «On musi być tym właściwym». A potem, gdy nadszedł Alfons, serce moje podskoczyło znowu. Więc to widocznie nie jest niezawodną oznaką, chociaż powinno tak być po wszystkim, co czytywałam w powieściach. *Twoje serce*, Aniu, z pewnością nie zabiłoby dla nikogo innego, jak tylko dla prawdziwego księcia z bajki, prawda? W moim sercu musi coś być nie w porządku. Spędzam jednak czas znakomicie. Jakże bym pragnęła, abyś Ty tutaj była! Dzisiaj pada śnieg, jestem zachwycona. Tak się lękałam, że będziemy mieli zielone Boże Narodzenie: nienawidzę tego.

Aniu, czy wsiadłaś kiedyś do tramwaju i zauważyłaś potem, że nie masz przy sobie pieniędzy na bilet? Ostatnio znalazłam się w tym położeniu. To okropna rzecz. Wsiadając do wagonu, miałam nikłową monetę. Myślałam, że

jest w lewej kieszeni mego palta. Gdy się rozsiadłam wygodnie, sięgnęłam po nią. Nie było jej. Przebiegł mnie zimny dreszcz. Zajrzałam do drugiej kieszeni. Pusta. Przebiegł mnie drugi dreszcz. Potem sięgnęłam do małej kieszonki wewnętrznej. Wszystko daremnie. Przebiegły mnie dwa dreszcze naraz.

Zdjęłam rękawiczki, położyłam je na ławce i jeszcze raz przeszukałam wszystkie kieszenie. Monety nie było. Wstałam i poczęłam wytrząsać suknię, patrząc na podłogę. Wagon był pełen ludzi, powracających z opery, a wszyscy przypatrywali mi się, ale ja się o nich nie troszczyłam.

Nie mogłam jednak znaleźć pieniędzy. Doszłam do wniosku, że musiałam je chyba włożyć do ust i niepostrzeżenie przełknąć.

Nie wiedziałam, co zrobić. Ciekawa byłam, czy konduktor zatrzyma wagon i wysadzi mnie ze wstydem i hańbą. Czy możliwe było, abym go przekonała, że byłam tylko ofiarą swego roztargnienia, a nie obłudną istotą, która pod fałszywym pretekstem chce się przejechać na gapę? Jakże pragnęłam, aby był przy mnie Oleś lub Alfons! Ale nie było ich, gdyż ich potrzebowałam. Gdybym ich nie potrzebowała, byłoby ich za dużo. Nie mogłam się zdecydować, co powiedzieć konduktorowi, gdy nadejdzie. Gdy tylko ułożyłam sobie jakieś zdanie wytłumaczenia, czułam, że nikt w to nie uwierzy, i musiałam wymyślić inne. Zdawało się, że nie ma innego wyjścia, jak powierzyć się Opatrzności, a czułam się przez to tak pocieszona, jak owa stara pani, która, gdy jej kapitan okrętu powiedział w czasie burzy, że powinna pokładać nadzieję we Wszchemocnym, zawołała: «Czyżby było już tak źle?».

I oto w ostatniej chwili, gdy konduktor zbliżył się już do siedzących obok mnie ludzi, przypomniałam sobie nagle, gdzie wsadziłam tę przeklętą monetę. Ostatecznie nie połknęłam jej zatem. Wyłowiłam ją ze wskazującego palca swojej rękawiczki i podałam konduktorowi. Uśmiechałam się do wszystkich, a świat wydał mi się piękny”.

\*

Odwiedziny w Chatce Ech należały do najmiłszych z licznych wycieczek. Ania i Diana szły starą drogą przez las bukowy, niosąc koszyk ze śniadaniem. Chatka Ech, która do ślubu panny Lawendy była zamknięta, została teraz otwarta, dając wstęp wiatrowi i słońcu, a ogień zapłonął znowu w małych pokoikach. Woń doniczek z różami panny Lawendy ciągle jeszcze wypełniała powietrze. Trudno było uwierzyć, że panna Lawenda nie wejdzie za chwilę, witając radośnie gości, a za nią Karolina Czwarta, uśmiechnięta szeroko.

— Mam rzeczywście wrażenie, jakby duch nawiedził znowu te miejsca — roześmiała się Ania. — Chodźmy i przekonajmy się, czy echa są w domu. Przynieś stary róg. Wisi ciągle jeszcze w kuchni za drzwiami.

Echa były w domu, nad białą rzeką, tak srebrzyście jasne i liczne jak dawniej; a gdy przestały odpowiadać, dziewczęta zamknęły Chatkę Ech i opuściły ją.

## ROZDZIAŁ VIII. PIERWSZE OŚWIADCZYNY

Stary rok nie zakończył się w zielonym zmierzchu z różowym zachodem słońca. Przyniósł on na zakończenie dziką zawieję i wicher.

— Oto wieczór, gdy ludzie kulą się z lęku pod kołdrami i wyliczają swoje dobre uczynki — rzekła Ania do Janki Andrews, która przyszła spędzić z nią popołudnie i pozostała na noc. Ale gdy się już znalazły pod kołdrami w małej facjatce Ani, Janka nie myślała o własnym dobrym uczynku.

— Aniu — rzekła bardzo uroczyście — muszę ci coś powiedzieć. Czy pozwolisz?

Ania czuła się nieco senna po zabawie, którą Ruby Gillis wydała poprzedniego wieczora. Wolałaby spać, niż słuchać zwierzeń Janki, co do których była przekonana, że będą nudne. Nie miała pojęcia o tym, co miało nastąpić. Prawdopodobnie i Janka była zaręczona; krążyły pogłoski, że Ruby Gillis zaręczyła się z nauczycielem ze Spencervale, w którym durzyły się podobno wszystkie dziewczęta.

„Będę niedługo jedyną niezadurzoną dziewczynką z całej naszej dawnej czwórki”, pomyślała Ania zaspana. Głośno rzekła:

— Oczywiście, naturalnie.

— Aniu — rzekła Janka jeszcze bardziej uroczyście — co sądzisz o moim bracie Billu?

Ania otworzyła usta zdumiona niespodzianym pytaniem i wzdrygnęła się w myśli. Boże wielki, co ona sądziła o Billu Andrewsie? Nigdy się nad nim nie zastanawiała — nad tym pocziwym, krągłolicym, głupawym, śmiejącym się nieustannie Billem Andrewsem. Czy *ktokolwiek* w ogóle o nim myślał?

— Nie... nie rozumiem, Janko — wyjąkała. — Co masz właściwie na myśli?

— Czy lubisz go? — zapytała Janka.

— No... no... owszem, lubię go, oczywiście — bąknęła Ania, zastanawiając się, czy powiedziała prawdę. Nie mogła powiedzieć, że nie lubi Billa. Ale czy obojętność, z jaką go tolerowała, gdy przypadkowo zjawiał się przed nią, mogła być uważana za dość wyraźną, aby ją nazwać „lubieniem”? Do czego Janka zmierzała?

— Czy chciałabyś go na męża? — zapytała Janka spokojnie.

— Na męża!

Ania usiadła na łóżku, żeby łatwiej przezwyciężyć swoje rzeczywiste zdanie o Billu Andrewsie. Potem opadła z powrotem na poduszki, gdyż straciła oddech.

— *Na czyjego męża?*

— Oczywiście twego — odpowiedziała Janka. — Bill chciałby się z tobą ożenić. Zawsze za tobą szalał — a teraz ojciec przepisał na niego górny folwark i nic mu nie stoi na przeszkodzie do małżeństwa. Ale jest taki lękliwy, że nie mógł się sam zapytać, czy go będziesz chciała, poprosił więc mnie, abym to zrobiła. Nie chciałam się na to zgodzić, ale nie dawał mi spokoju, aż mu przyrzekłam, że zrobię to, gdy się nadarzy sposobność. Co sądzisz o tym, Aniu?

Czy to był sen? Nie, ona, Ania Shirley, leżała tu trzeźwa zupełnie w swoim łóżku, a Janka Andrews znajdowała się obok niej, spokojnie oświadczając się w imieniu brata. Ania nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Ale nie wolno jej było urazić uczuć Janki.

— Ja... ja... nie mogłabym poślubić Billa... — wybełkotała. — Nigdy mi to nie przyszło na myśl... nigdy!

— Nie sądzę, aby ci to przyszło na myśl — przyznała Janka. — Bill był zawsze zbyt lękliwy, aby myśleć o zalotach. Ale możesz się nad tym zastanowić, Aniu. Bill jest pocziwym chłopcem. Muszę to powiedzieć, chociaż jest moim bratem. Nie ma złych narowów i jest pracowity. Można na nim polegać. Lepszy wróbel w rękę, niż gołąb na sęku. Powiedział mi, że chętnie czekałby, aż skończysz uniwersytet, jeżeli będzie ci na tym zależało, chociaż *wolałby* ożenić się tej wiosny, zanim się zacznie siew. Byłby dla ciebie zawsze bardzo dobry, tego jestem pewna, a wiesz, Aniu, że chciałabym cię mieć za siostrę.

— Nie mogę wyjść za Billa — rzekła Ania stanowczo.

Odzyskała znowu panowanie nad sobą i czuła się nawet nieco zagniewana. Wszystko to było tak śmieszne.

— Nie ma sensu myśleć o tym, Janko. Pod tym względem nie istnieje on dla mnie, musisz mu to powiedzieć.

— Dobrze, przypuszczałam, że mi tak odpowiesz — rzekła Janka z westchnieniem rezygnacji, czując, że uczyniła wszystko, co mogła. — Powiedziałam Billowi, że nie sądzę, aby warto było pytać cię, ale on nalegał na to. Więc powzięłaś decyzję, Aniu, a spodziewam się, że nie będziesz jej żałowała.

Janka mówiła nieco chłodno. Była najmocniej przekonana, że zakochany Bill nie miał w ogóle szans do zdobycia Ani za żonę. Mimo to odczuwała jednak niechęć, że Ania Shirley, która ostatecznie była tylko adoptowaną sierotą, odtrąciła *jej* brata — jednego z Andrewsów avonlejskich. Ale pycha bywa często ukarana, pocieszyła się Janka.

Ania uśmiechnęła się w duchu nad myślą, że mogłaby kiedyś żałować, iż nie poślubiła Billa Andrewsa.

— Spodziewam się, że Bill nie będzie się tym czuł bardzo dotknięty — rzekła pojednawczo.

Janka wykonała ruch, jakby rzuciła głowę na poduszkę.

— O, serce mu od tego nie pęknie. Bill ma na to zbyt wiele zdrowego rozumu. Lubi też Nacię Blewett, a matka wolałaby, aby się ożenił z nią, niż z jakąkolwiek inną. Taka

jest gospodarna i oszczędna. Myślę, że gdy Bill przekona się, że ty go nie chcesz, weźmie Nacię. Proszę cię, nie wspominaj o tym nikomu, dobrze Aniu, przyrzekasz mi to?

— Oczywiście — rzekła Ania, która nie pragnęła zupełnie rozgłaszać faktu, że Bill Andrews chciał się z nią ożenić, że ostatecznie wolał ją od Naci Blewett. Od Naci Blewett!

— A teraz myślę, że najlepiej zrobimy, jeżeli będziemy spały — zaproponowała Janka.

Sen przychodził Jance łatwo i szybko. Ale choć nie była podobna do lady Macbeth, postanowiła sobie niewątpliwie zepsuć sen Ani. Ta dziewczyna, której się oświadczone, leżała bezsennie na poduszkach, ale myśli jej dalekie były od romantyzmu. Dopiero następnego ranka mogła się zdobyć na to, aby się nad tym wszystkim zastanowić z wesołym uśmiechem.

Gdy Janka poszła do domu — ciągle jeszcze z pewnym chłodem w głosie i zachowaniu, gdyż Ania tak niewdzięcznie i stanowczo odrzuciła zaszczyt związku z rodziną Andrewsów — Ania zamknęła drzwi i mogła się nareszcie wyśmiać.

„Gdybym się mogła podzielić z kimś tą historią!”, pomyślała. „Ale nie mogę. Diana jest jedyną, której bym to chciała powiedzieć, ale gdybym nawet nie przyrzekła Jance dyskrecji, nie mogłabym teraz nic opowiedzieć Dianie. Powtarza ona wszystko Alfredowi — wiem o tym. No, dobrze, złożono mi pierwsze oświadczenia. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi — ale z pewnością nie sądziłam, że stanie się to przez pośrednika. Strasznie to komiczne, a jednak jest w tym także coś przykrego”.

Ania wiedziała doskonale, na czym ta przykra strona polegała, chociaż nie przybrała tego w słowa. Piastowała potajemnie marzenia, że za pierwszym razem przyjdzie ktoś, kto jej zada to wielkie pytanie. Ale w marzeniach było to zawsze bardzo romantyczne i piękne. A ten ktoś musiał być bardzo piękny, ciemnooki, wytworny, wymowny, czy byłby księciem z bajki, który zostałby przyjęty zachwyconym „tak”, czy kimś, kogo musiałaby spotkać pełna ubolewania, ale stanowcza odprawa. W tym wypadku, odmowa musiała być wypowiedziana tak delikatnie, aby była czymś bezpośrednio bliskim przyjęcia, a on odszedłby, ucałowawszy jej dłoń i zapewniwszy ją o swym wiecznym oddaniu. Byłoby to zawsze pięknym wspomnieniem, z którego można by się było czuć dumną, a zarazem nieco zasmuconą.

A oto oświadczenia te stały się prawdziwą groteską. Bill Andrews nakłonił siostrę, aby się oświadczyła za niego, gdyż ojciec dał mu górną farmę, a jeśli Ania nie „zechce” go, to go zechce Nacia Blewett. Ania roześmiała się i westchnęła potem. Z marzenia dziewczęcego zerwano kwiatek. Czy ten bolesny proces będzie trwał, aż wszystko stanie się prozaiczne i proste?

## ROZDZIAŁ IX. NIEPOŻĄDANY ADORATOR I POŻĄDANY PRZYJACIEL

Drugi semestr w Redmondzie przeminął równie szybko, jak pierwszy — „przemknął” rzeczywiście, jak mówiła Filipa. Ania przeżyła ten okres we wszystkich fazach — bodziec współzawodnictwa, zawierane i wzmacniające się przyjaźnie, praca w rozmaitych towarzystwach, których była członkinią, rozszerzanie się horyzontu i zainteresowań. Pracowała gorliwie, gdyż postanowiła zdobyć stypendium Thorburna. Stypendium to oznaczało, że mogłaby powrócić w przyszłym roku do Redmondu, nie sięgając do skromnych oszczędności Maryli — a tego postanowiła nie czynić.

Gilbert także polował na stypendium. Ale miał dość czasu, aby często odwiedzać dom Nr. 38 na ulicy św. Jana. Towarzyszył Ani we wszystkich niemal sprawach uniwersyteckich, a Ania wiedziała, że w plotkach redmondzkich nazwiska ich łączono stale. Była o to zła, ale bezradna. Nie mogła odtrącić tak starego przyjaciela, jak Gilbert, zwłaszcza, że nagle stał się rozumny i ogłędny, jak przystało w towarzystwie niejednego młodzieńca redmondzkiego, który chętnie zająłby jego miejsce u boku delikatnej, rudowłosej „nowicjuszki”, której szare oczy były kuszące jak gwiazdy wieczorne. Ania nie była nigdy otoczona gromadą powolnych ofiar, które towarzyszyły stale Filipie w jej triumfalnym pochodzie przez rok nowicjuszowski; ale jeden lękliwy, rozsądny „nowicjusz”, jeden wesoły, niski, okrągły „starszy” i jeden wysmukły, wykształcony słuchacz najwyższego kursu przychodzili chętnie na ulicę św. Jana 38 i rozmawiali z Anią o „logiach” i „izmach”, jak również o mniej poważnych sprawach, Gilbert żadnego z nich nie lubił, ale dbał usilnie,

aby nie dać im nad sobą przewagi przez okazanie jakiegoś nieodpowiedniego rozwoju swoich uczuć w stosunku do Ani. Dla niej stał się znowu kolegą szkolnym z czasów Avonlea i jako taki mógł stawić czoła każdemu sentymentalnemu rycerzowi. Jako towarzysz — Ania przyznawała to uczciwie — nikt nie był tak miły jak Gilbert. Powiadała sobie sama, iż czuje się bardzo zadowolona, że Gilbert porzucił wszystkie bezsensowne pomysły, chociaż wiele czasu traciła, zastanawiając się w duchu nad przyczynami tej zmiany.

Jedno tylko niemiłe zdarzenie zepsuło zimę. Karol Slone, siedząc sztywno na ulubionej poduszczonej panny Ady, zapytał Anię pewnego wieczora, czy chce mu przyrzec, że „kiedyś zostanie panią Karolową Slone”. Ponieważ nastąpiło to po misji pośredniczki Billa Andrewsa, nie zadało tak silnego ciosu romantycznej wrażliwości Ani, jak by się to inaczej stało. Ale w każdym razie było to bez wątpienia drugie bolesne doświadczenie. Ania była o to zła, gdyż czuła, że nigdy w najmniejszym stopniu nie zachęciła Karola Slona, aby podobną rzecz uważał za możliwą. Czegóż jednak można się było spodziewać po jakimkolwiek Slone? jak zapytałaby pani Małgorzata Linde. Całe zachowanie Karola, ton, postawa, słowa były zupełnie slonowskie. Z pewnością okazał jej wielki zaszczyt — to nie ulegało wątpliwości. A gdy Ania, zupełnie niewrażliwa na zaszczyt, odrzuciła go, jak tylko mogła najdelikatniej i najogłędniej — gdyż nawet Slone miał uczucia, których nie należało ranić — pierwiastek slonowski nadal się jeszcze przejawiał. Karol nie przyjął odmowy w ten sposób, jak odrzuceni zalotnicy w wyobraźni Ani. Stał się zły i okazał to. Powiedział kilka rzeczy bardzo brzydkich. Temperament Ani zapłonął buntowniczo i odpowiedziała ciętym przemówieniem, którego ostrość przebiła nawet ochronną warstwę slonostwa Karola i dotknęła go do żywego; złapał kapelusz i z czerwoną twarzą wybiegł z domu; Ania wbiegła po schodach, dwa razy potknąwszy się o poduszczonej panny Ady, i rzuciła się na łóżko, zalewając się łzami wściekłości. Czy rzeczywiście poniżyła się do tego stopnia, by się kłócić z jakimś tam Slonem? Czyż coś, co mógł powiedzieć Karol Slone, miało moc wprawienia jej w gniew? O, to było poniżenie, istotnie, gorsze jeszcze, niż być rywalką Naci Blewett!

— Obym już nigdy nie ujrzała tej okropnej istoty! — łkała mściwie w poduszki.

Ale nie mogła tego uniknąć, lecz Karol strzegł się, by się do niej zbyt nie zbliżyć. Poduszczonej panny Ady były odtąd bezpieczne przed zniszczeniem, a gdy spotykał Anię na ulicy lub w salach Redmondu, ukłon jego był niezwykle lodowaty. Stosunki między nimi były przez cały nie mały rok tak naprężone! Wreszcie Karol przeniósł swoje płomienne uczucia na okrągłą, różową, płaskonosą, niebieskooką, małą „nowicjuszkę”, która potrafiła je ocenić, jak na to zasługiwały. Wówczas przebaczył Ani i zdobył się znowu na uprzejmość wobec niej.

Pewnego dnia Ania wpadła podniecona do pokoju Priscilli.

— Przeczytaj to! — zawołała, rzucając przyjaciółce list. — To od Stelli — przyjeżdża w przyszłym roku do Redmondu — co sądzisz o jej pomysłe? Ja myślę, że jest to projekt wspaniały, jeżeli tylko zdołamy go wykonać. Czy jednak zdołamy, Prissy?

— Na to będę ci mogła odpowiedzieć dopiero, gdy się dowiem, o co idzie — rzekła Priscilla, odkładając słownik grecki i biorąc do ręki list Stelli. Stella Maynard była jedną z jej koleżanek w Seminarium, a obecnie nauczycielką.

„Ale mam zamiar zrezygnować z tego, droga Aniu” — pisała — „i przyjechać w przyszłym roku na uniwersytet. Ponieważ mam za sobą trzeci rok Seminarium, mogę wstąpić od razu na drugi kurs. Znużyło mnie nauczycielstwo na głuchej wsi. Napiszę kiedyś książkę o „przeżyciach nauczycielki wiejskiej”. Będzie to szczerą prawdą. Powszechnie panuje przekonanie, że wiemy zbyt niewiele o życiu i nie mamy nic innego do roboty, jak pobierać pensję kwartalną. Moja książka powie prawdę o nas. Mam w swojej szkole dziewięć oddziałów i w każdym muszę trochę uczyć, od badania wnętrza glisty do studiów systemu słonecznego. Mój najmłodszy wychowanek ma cztery lata — matka posyła go do szkoły, żeby się go w ten sposób „pozbyć” — najstarszy liczy lat dwadzieścia — nagle strzeliło mu do głowy, że łatwiej jest uczyć się do szkoły i kształcić się, niżeli chodzić za pługiem.

A listy, jakie otrzymuję, Aniu! Matka Tomka pisze mi, że synek jej nie robi w rachunkach takich postępów, jak by ona pragnęła. Doszedł dopiero do zwykłego dodawania, gdy Janek Jackson uczy się już ułamków. A Janek nie jest przecież taki sprytny jak jej Tomek, więc ona tego nie może zrozumieć. Zaś ojciec Zuzi ciekaw jest, dlaczego jego córka nie potrafi napisać listu, w którym by przynajmniej połowa słów nie była napisana nieprawidłowo. Ciotka Rysia domaga się, abym mu zmieniła miejsce, gdyż niegodziwy chłopiec Brownów, który z nim siedzi, uczy go brzydkich słów.

Co do strony finansowej — ale o tym nie będę mówiła. Kogo bogowie chcą pognać, czynią go pierw nauczycielem wiejskim!

Kiedy się już tak wymruczałam, czuję się teraz lepiej. Ale mimo wszystko przetrwałam te ostatnie dwa lata. Ale przyjadę do Redmondu.

A teraz, Aniu, mam cały plan. Wiesz, jak nienawidzę życia w pensjonacie. Przez wiele lat mieszkałam w pensjonatach i znudziło mi się to już. Czuję, że nie wytrzymałabym dalszych trzech lat. Czy nie mogłybyśmy więc Ty, Priscilla i ja połączyć się, aby wynająć jakiś mały domek w Kingsportcie i prowadzić własne gospodarstwo? Wypadłoby to nam na pewno taniej. Oczywiście musiałybyśmy mieć gospodynię — już sobie jedną upatrzyłam. Czy słyszałaś kiedy o ciotce Jakubinie? Jest to najmłodsza ciotka, jaka kiedykolwiek żyła na świecie — mimo swego imienia. Przeciwno temu jest bezbronna, nazwano ją tak, ponieważ ojciec jej, któremu było na imię Jakub, utonął miesiąc przed jej urodzeniem. Nazywam ją zawsze „ciotką Jasią”. Jedyna jej córka wyszła niedawno za mąż i wyjechała. Jakubina została więc sama w wielkim domu i czuje się okropnie samotna. Przyjedzie ona chętnie do Kingsportu, aby nam prowadzić gospodarstwo, a jestem pewna, że obie ją polubicie. Miałybyśmy wspaniałe czasy swobody!

Jeżeli więc Ty i Priscilla godzicie się na to, rozejrzyjcie się zaraz, czy nie znajdzie się jakiegoś odpowiedniego domu. Lepiej nie odkładać tego do jesieni. Gdybyście dostały dom umeblowany, byłoby jeszcze lepiej, ale jeżeli się to nie uda, możemy się wyśatać o trochę mebli. W każdym razie zdecydujcie się jak najszybciej i napiszcie mi, żeby ciotka Jakubina wiedziała, jakie plany ma robić na przyszły rok”.

— Myślę, że to dobry pomysł — rzekła Priscilla.

— I ja — zgodziła się Ania zachwycona. — Mamy rzeczywiście świetny pensjonat, ale ostatecznie pensjonat to nie dom. Poszukajmy więc natychmiast jakiegoś domu do wynajęcia, zanim się zaczną egzaminy.

— Obawiam się, że będzie bardzo trudno znaleźć rzeczywiście odpowiedni dom. Nie spodziewaj się za wiele, Aniu. Piękne domy w pięknych okolicach z pewnością będą o wiele za drogie dla nas. Będziemy się prawdopodobnie musiały zadowolić jakimś brudnym, małym domkiem, na jakiejś uliczce, gdzie mieszkają ludzie z innej niż nasza sfery.

Ania i Priscilla wybrały się więc na poszukiwanie domu, ale znaleźć to, czego pragnęły, wydawało się jeszcze trudniejszym, niż się Priscilla obawiała. Domów było wiele, umeblowanych i nieumeblowanych. Jeden był za duży, drugi za mały, ten za drogi, ów za daleko położony od Redmondu. Egzaminy nadeszły i minęły. Nadszedł i ostatni tydzień semestru, a ciągle jeszcze ich „Dom Marzeń”, jak go nazywała Ania, był zamkiem na lodzie.

— Będziemy musiały zrezygnować i poczekać chyba do jesieni — rzekła Priscilla, gdy pewnego miłego dnia kwietniowego włóczyły się po parku. — Znajdziemy z pewnością jakiś chlewik, gdzie się schronimy, a w najgorszym razie pensjonat znajdzie się zawsze.

— W tej chwili nie chcę sobie nad tym łamać głowy i psuć sobie tego miłego popołudnia — rzekła Ania, rozglądając się dokoła z zachwytem.

— Więc egzaminy skończyły się — rzekła Priscilla, od dziś za tydzień będziemy w domu.

— Cieszę się na myśl o tym — odpowiedziała Ania rozmarzona. — Ale pokochałam też Kingsport i cieszę się, że przyszłej jesieni znowu tu będę.

— Żebyśmy tylko znalazły jakiś dom! — westchnęła Priscilla. — Spójrz na Kingsport, Aniu! Domy, domy, wszędzie domy, a ani jednego dla nas.

— Czekaj, Priscillo, nie rezygnujmy jeszcze. Znajdziemy dom, albo zbudujemy go sobie. W taki dzień jak dzisiejszy w słowniku moim nie ma słowa „porażka”.

Aż do zachodu słońca wałęsały się po parku i jak zwykle skierowały się do domu przez aleję Spofforda, aby się przyjrzeć milemu „Ustroniu Patty”.

— Mam wrażenie, jakby coś tajemniczego miało się zaraz stać — rzekła Ania, gdy schodziły po stoku. — Jest to uczucie jak w powieści. Ach, ach, ach, Priscillo Grant, spójrz tam i powiedz mi, czy to prawda, czy też mam halucynację?

Priscilla spojrzała we wskazanym kierunku. Oczy Ani nie oszukały jej. Nad łukiem bramy „Ustronia Patty” wisiała mała tabliczka, na której było napisane:

*DOM Z UMEBLOWANIEM DO WYNAJĘCIA.*

*Wiadomość na miejscu.*

— Priscillo — szepnęła Ania — jak sądzisz, czy to możliwe, abyśmy wynajęły „Ustronie Patty”?

— Nie, nie sądzę — odpowiedziała Priscilla. — Byłoby to o wiele za piękne, aby być prawdziwe. Bajki nie spełniają się dzisiaj. Nie chcę się tego spodziewać, Aniu, rozczarowanie byłoby zbyt okropne. Z pewnością za ten dom żądali więcej, niż my możemy zapłacić. Pamiętaj, że to aleja Spofforda.

— Musimy się jednak przekonać — rzekła Ania rezolutnie. — Za późno już, żeby wejść tam dzisiaj, ale jutro przyjdziemy znowu. O, Prissy, gdybyśmy zdołały zdobyć ten piękny dom! Czuję zawsze, że szczęście moje związane jest z „Ustroniem Patty”, czuję to, odkąd ujrzałam ten dom po raz pierwszy.

## ROZDZIAŁ X. „USTRONIE PATTY”

Następnego wieczora dwie przyjaciółki odważnie weszły po brukowanej ścieżce przez mały ogródek i pociągnęły za dzwonek. Wpuściła ich mrukliwa, stara służąca. Drzwi otworzyły się wprost do wielkiej bawialni, gdzie przy miłym ogniu siedziały dwie starsze panie, obie o równie mrukliwym wyglądzie. Pomijając to, że jedna wyglądała na siedemdziesiąt lat, a druga na pięćdziesiąt, mała była między nimi różnica. Obie miały zdumiewająco wielkie, niebieskie oczy za okularami w stalowych oprawkach; obie bez pośpiechu, ale i bez przerwy robiły pończochy; obie kołysały się na fotelach i spoglądały na dziewczęta bez słowa; a tuż za każdą siedział wielki, biały, porcelanowy pies, z zielonym nosem i zielonymi uszami. Psy te przykuły od razu uwagę Ani. Zdawały się one bliźniaczymi bogami opiekuńczymi „Ustronia Patty”.

Przez kilka minut nikt nie rozpoczął rozmowy. Dziewczęta były zbyt podniecone, aby znaleźć słowa, zaś ani stare panie, ani porcelanowe psy nie były <sup>35</sup>snac zbyt rozmowne. Ania rozglądała się po pokoju. Jakież to było miłe miejsce! Drugie drzwi wychodziły wprost na aleję sosnową, a pilszki czerwogardle odważnie wlatywały po schodach. Wielki, polerowany zegar pradziadowski tykał uroczyście i głośno w jednym kącie pokoju. Na gzymsie kominka stały małe, ozdobne szafeczki z porcelanowymi figurkami za szklanymi drzwiczkami. Ściany były obwieszane oleodrukami. W jednym kącie znajdowały się schody, prowadzące w górę, a na pierwszym zakręcie było małe okienko z ławeczką. Wszystko było tu takie, jak się Ania spodziewała.

Wreszcie milczenie stało się zbyt uciążliwe i Priscilla szturchnęła Anię, aby jej dać do zrozumienia, że muszą przemówić.

— Przeczytałyśmy ogłoszenie, że ten dom jest do wynajęcia — rzekła Ania lekko, zwracając się do starszej pani, która prawdopodobnie była panną Patty Spofford.

— O tak — rzekła panna Patty — miałam właśnie zamiar zdjąć dzisiaj to ogłoszenie.

— W takim razie przychodzimy za późno — rzekła Ania zmartwiona — wynajęła go pani komu innemu?

— Nie, ale postanowiłyśmy w ogóle domu nie wynajmować.

<sup>35</sup>snac (daw.) — widocznie; przecież. [przypis edytorski]



— O, żałuję bardzo — zawołała Ania impulsywnie. — Tak lubię ten dom! Spodziewałam się, że go dostaniemy.

Panna Patty odłożyła robótkę, zdjęła okulary, przetrzała je, włożyła znowu i po raz pierwszy spojrzała na Anię, jak na istotę żywą. Druga dama poszła za jej przykładem tak szczegółowo, że wyglądało to jak odbicie w lustrze.

— *Lubi* go pani? — zapytała panna Patty. — Czy to ma znaczyć, że go pani rzeczywiście *lubi*? Czy też, że tylko wygląd jego podoba się pani? Dzisiejsze dziewczęta lubią takie przesadne wyrażenia i nigdy nie można wiedzieć, co właściwie mają na myśli. Za czasów mojej młodości tak nie było.

Ania odzyskała pewność siebie.

— Lubię go rzeczywiście — rzekła łagodnie. — Polubiłam go od pierwszej chwili, gdy go ubiegłej jesieni ujrzałam. Moje dwie koleżanki z uniwersytetu i ja chciałybyśmy w przyszłym roku prowadzić własne mieszkanie, szukamy więc odpowiedniego domu, a gdy ujrzałam wczoraj ogłoszenie, że ten dom jest do wynajęcia, byłam tak szczęśliwa!

— Jeżeli go pani lubi, może go pani dostać — rzekła panna Patty. — Maria i ja postanowiłyśmy dzisiaj, że go nie wynajmiemy, gdyż nikt z ludzi, którzy go oglądali, nie podobał się nam. Nie jesteśmy *zmuszone* wynająć go. Możemy sobie nawet pozwolić na wyjazd do Europy bez wynajęcia domu. Wystarczyłoby nam pieniędzy, ale za żadne skarby nie zgodziłabym się, aby mój dom przeszedł w posiadanie takich ludzi, jacy tu przychodzili oglądać go. Wy jesteście inne. Wierzę, że go lubicie i że będziecie się z nim dobrze obchodziły. Możecie go dostać.

— Jeżeli będziemy sobie mogły pozwolić na zapłacenie sumy, jaką pani za niego żąda. — rzekła Ania z wahaniem.

Panna Patty wymieniła żadaną kwotę. Ania i Priscilla spojrzały po sobie. Priscilla potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że nie będziemy mogły tyle zapłacić — rzekła Ania, tłumiąc rozczarowanie. — Jak pani widzi, jesteśmy niezamożnymi studentkami.

— A jaką sumę mogłyby panie zapłacić? — zapytała panny Patty, robiąc dalej pończoche.

Ania wymieniła swoją sumę. Panna Patty poważnie skinęła głową.

— To wystarczy. Jak paniom powiedziałam, nie mamy w ogóle potrzeby wynajęcia domu. Nie jesteśmy bogate, ale mamy dość na podróż do Europy. Nigdy w życiu nie byłam w Europie i nie spodziewałam się nigdy, że będę musiała tam pojechać. Ale bratanica moja, Maria Spofford, wmówiła sobie, że musi tam jechać. Rozumiecie przecież, osoba młoda, jak Maria, nie może sama jeździć po świecie.

— Oczywiście, uważam, iż nie może — mruknęła Ania, widząc, że panna Patty mówi zupełnie poważnie.

— Naturalnie, że nie może. Więc muszę się z nią zabrać, żeby na nią uważać. Spodziewam się, że i ja zaznam z tego przyjemności; mam siedemdziesiąt lat, ale nie jestem jeszcze znużona życiem. Mogę twierdzić, że byłabym już dawno pojechała do Europy, gdybym wpadła na tę myśl. Spędzimy tam dwa, może trzy lata. Odjeżdżamy w czerwcu, przyślemy wam klucze i pozostawimy dla was wszystko w porządku, abyście każdej chwili mogły objąć dom. Niektóre przedmioty, które szczególnie cenimy, zabierzemy z sobą, reszta jednak pozostanie.

— Czy zostawi pani te porcelanowe psy? — zapytała Ania lękliwie.

— Czy chciałaby pani?

— O, tak, one są takie cudowne!

Wyraz radości zajaśniał na twarzy panny Patty.

— Przywiązuję do tych psów wielką wagę — rzekła dumnie. — Mają one przeszło sto lat, a siedzą po obu stronach tego komina od chwili, gdy brat mój przywiózł je przed pięćdziesięciu laty z Londynu. Aleja Spofforda otrzymała swą nazwę od mego brata.

— Piękny to był człowiek — rzekła panna Maria, odzywając się po pierwszy. — O, dzisiaj takich nie ma!

— Był dla ciebie dobrym stryjem, Mario — rzekła panna Patty z widocznym podnieceniem. — Powinnaś go często wspominać.

— Będę go zawsze pamiętała — rzekła panna Maria uroczyście.

Otarła oczy chusteczką, ale panna Patty szybko powróciła ze sfer uczucia w dziedziny interesów.

— Zostawię psy na miejscu, jeżeli mi przyrzekniecie, że będziecie się o nie troszczyć — rzekła. — Nazywają się Gog i Magog. Gog patrzy w prawo, a Magog w lewo. I jeszcze jedno. Spodziewam się, że nie będziecie miały nic przeciwko temu, że dom ten nazywa się „Ustroniem Patty”.

— Nie, przeciwnie, wydaje się nam to właśnie jedną z najpiękniejszych jego cech.

— Widzę, że macie rozum — rzekła panna Patty tonem wielkiego zadowolenia. — Czy uwierzycie: wszyscy ludzie, którzy tu przychodzili, pytali, czy będą mogli zdjąć tę nazwę z bramy na czas, gdy będą tu mieszkali. Odpowiadałam im prosto z mostu, że wynajmuję dom razem z nazwą. Dom ten nazywa się „Ustroniem Patty”, odkąd brat mój zapisał mi go w testamencie, i „Ustroniem Patty” pozostanie, aż ja i Maria nie umrzemy. Gdy się to stanie, następny właściciel może mu nadać jakieś głupie imię, które mu się spodoba — zakończyła panna Patty, jakby mówiła: „Potem bodaj potop”. — A teraz może byście chciały obejrzeć dom, zanim będziemy uważały interes za ubity?

Dalsze oględziny domu sprawiły dziewczętom jeszcze większą radość. Prócz bawialni była na dole kuchnia i dwie małe sypialnie. Na górze znajdowały się trzy pokoje, jeden duży i dwa małe. Ani szczególnie spodobał się jeden z małych pokoi, którego okna wychodziły na wielkie sosny, i zapragnęła, aby to był jej pokój. Miał on bladoniebieską tapetę, stała w nim mała staroświecka toaletka z lichtarzami na świece. Pod małym okienkiem stał wygodny fotel, który byłby wspaniałym miejscem do marzeń.

— Wszystko jest tu takie piękne, że wydaje mi się, iż to wszystko sen, z którego się obudzimy — rzekła Priscilla, gdy odchodziły.

— Panna Patty i panna Maria nie są chyba materiałem, z którego się przedzie sny — zaśmiała się Ania. — Czy możesz je sobie wyobrazić jako turystyki, zwłaszcza w tych szalach i czepcach?

— Sądzę, że je zdejmą, gdy rzeczywiście rozpoczną podróż — rzekła Priscilla — ale jestem pewna, że robótki swoje zabiorą wszędzie. Po prostu nie mogłyby się z nimi rozstać. Będą spacerowały koło Opactwa Westminsterskiego, robiąc przy tym robótkę; jestem tego pewna. Tymczasem my, Aniu, będziemy mieszkały w „Ustroniu Patty” w alei Spofforda! Już teraz czuję się jak milionerka.

— A ja czuję się jak Jutrzenka poranna, która śpiewa z radości — rzekła Ania.

Fila Gordon przysła tego wieczora na ulicę św. Jana Nr. 38 i padła wyczerpana na łóżko Ani.

— Dziewczęta, jestem śmiertelnie znużona. Pakowałam się.

— A mnie się zdaje, że jesteś tak zmęczona dlatego, iż nie mogłaś się zdecydować, które rzeczy pierw zapakować i gdzie co położyć — zaśmiała się Priscilla.

— Racja! A gdy już wszystko jako tako spakowałam, a gospodyni i służąca usiadły obie na kufrze, żebym go mogła zamknąć, zauważyłam, że moc rzeczy, które będą mi najpilniej potrzebne, wpakowałam na same dno. Musiałam otworzyć znowu kufer i szukać w nim przez godzinę, zanim wyłowiłam to, co mi było potrzebne. Ilekroć złapałam coś, co przy dotknięciu wydawało mi się szukanym przedmiotem, i wyciągnęłam to z trudnością, okazywało się, że to coś innego. Nie, Aniu, nie kłamam.

— Nie powiedziałam, że kłamam.

— Owszem, lecz wyglądałaś, jakbyś to chciała powiedzieć. Ale przyznaję, że myśli moje graniczyły z bluźnierstwem. I mam taki katar! Królowo Anno, powiedz mi coś na rozweselenie!

— Pamiętaj, że w przyszły czwartek wieczorem powrócisz do krainy Olesia i Alfonsa! — rzekła Ania.

Fila boleśnie potrząsnęła głową.

— Nie, teraz gdy mam katar, nie potrzeba mi Olesia i Alfonsa. Ale co się z wami stało? Wydajecie się rozpromienione jakimś ogniem wewnętrznym. Co się stało?

— W przyszłym roku będziemy mieszkały w „Ustroniu Patty” — rzekła Ania triumfalnie. — Będziemy mieszkały, zwróć na to uwagę, ale nie na pensjonacie! Wynajęliśmy ten dom, a Stella Maynard przyjeżdża do nas, zaś jej ciotka będzie nam prowadziła gospodarstwo.

Fila zerwała się, utarła nos i padła przed Anią na kolana.

— Dziewczęta, dziewczęta, weźcie mnie także! O, będę taka dobra! Jeżeli nie ma dla mnie pokoju, będę sypiała w małej budzie dla psa w ogrodzie. Widziałam ją. Pozwólcie mi tylko być z wami.

— Wstań, gąsko.

— Nie ruszę się z miejsca, aż mi nie oświadczycie, że mogę w przyszłym roku zamieszkać z wami.

Ania i Priscilla spojrzwały po sobie. Potem Ania rzekła wolno:

— Droga Fila, chętnie byśmy cię miały u siebie, ale pomówmy o tym szczerze. Ja jestem uboga — Prissy jest uboga — Stella Mayrand jest uboga — gospodarstwo nasze będzie bardzo skromne, a nasz stół bardzo biedny. Musiałabyś żyć tak, jak my. Ale ty jesteś bogata, a cena twego pensjonatu dowodzi tego faktu.

— O, co mnie to obchodzi! — zawołała Fila tragicznie. — Wolę zupę z trawy z wami razem, niż pieczonego wołu sama. Nie sądźcie, że idzie mi tylko o żołądek. Gotowa jestem żyć o chlebie i wodzie — z odrobiną suszonych owoców — jeżeli pozwolicie mi być z wami.

— A dalej — ciągnęła Ania — będziemy miały sporo roboty. Ciotka Stelli nie podola wszystkimu. Wszystkie będziemy musiały się wziąć do pracy. A ty...

— ...nie lubię się przepracowywać! — zakończyła Filipa. — Ale chętnie nauczę się pracować. Raz tylko będziecie mi wszystko musiały pokazać. Na początek mogę sobie sama ścielić łóżko. A pamiętaj, że chociaż nie umiem gotować, to nie jestem jednak kapryśna. I to coś znaczy. I *nigdy* nie narzekam na złą pogodę. A to jeszcze więcej. O, proszę, proszę! Nigdy w życiu niczego tak bardzo nie pragnęłam — a ta podłoga jest okropnie twarda.

— Jeszcze jedna sprawa wchodzi w grę — wtrąciła Priscilla. — Jak wie cały Redmond, Fila, przyjmujesz prawie co wieczór wizyty. W „Ustroniu Patty” nie będziemy mogły tego robić. Postanowiłyśmy, że tylko w piątki wieczorem będziemy dla naszych przyjaciół w domu. Jeżeli chcesz się do nas przyłączyć, będziesz się musiała zastosować do naszych reguł.

— Dobrze, nie sądźcie chyba, że mi coś na tym zależy, prawda? Zgadzam się chętnie. Jestem pewna, że sama miałabym takie reguły, gdybym się mogła na to zdecydować. Jeżeli będę mogła zrzucić odpowiedzialność na was, będzie to dla mnie prawdziwym wyzwoleniem. Jeśli mi nie pozwolicie połączyć swego losu z waszym, umrę z rozczarowania, a potem przyjdę straszyc. Rozlokuję się na progu „Ustronia Patty” i nie będziecie mogły wejść ani wyjść, nie potknąwszy się o mego ducha.

Ania i Priscilla znowu wymieniły wymowne spojrzenia.

— No dobrze — rzekła Ania — właściwie nie możemy ci nic obiecać, zanim nie omówimy tej sprawy ze Stellą. Ale nie przypuszczam, aby była temu przeciwna, a co do nas, to powitamy cię chętnie.

— A gdy się zmęczysz naszym prymitywnym życiem, będziesz nas mogła opuścić, nie troszcząc się o nic — dodała Priscilla.

Fila zerwała się, ucałowała obie z okrzykami radości i pożegnała je wesoło.

— Spodziewam się, że wszystko będzie dobrze — rzekła Priscilla.

— Musimy się *postarać*, żeby było dobrze — dodała Ania. — Sądzę, że Fila będzie się bardzo nadawała do naszego „małego szczęśliwego domu”.

— O, Fila jest miłą koleżanką i dobrze spędza się z nią czas. A oczywiście im więcej nas będzie, tym lżej będzie naszej skromnej sakiewce. Ale jak ona będzie z nami żyła? Trzeba żyć z człowiekiem, nie wiedząc, czy się on do tego nadaje, czy nie.

— Jeżeli o to idzie, to wszystkie będziemy wystawione na próbę. I będziemy się musiały dostosowywać do siebie, jak ludzie rozumni. Fila nie jest egoistką, chociaż jest trochę trzpiotowata, sądzą więc, że będziemy się doskonale czuły razem w „Ustroniu Patty”.

## ROZDZIAŁ XI. PIEŚŃ ŻYCIA

Uradowana ze zdobycia stypendium powróciła Ania do Avonlea. Ludzie mawiali jej, że się zupełnie nie zmieniła, tonem, który wskazywał wyraźnie, iż czuli się zaskoczeni i rozczarowani, że się nie zmieniła. Avonlea nie zmieniło się także. Przynajmniej tak się

wydawało początkowo. Ale gdy Ania zasiadła w kościele na Zielonym Wzgórzu pierwszej niedzieli po powrocie i rozejrzała się wśród gminy, dostrzegła nieznaczne zmiany, która ją przekonała, że czas niezupełnie stał tutaj w miejscu. Na ambonie ujrzała nowego pastora. W krzesłach brakowało na zawsze niejednej znajomej twarzy. Starego wuja Andrews z jego przesadnymi przepowiedniami, pani Piotrowej Slone, która westchnęła już po raz ostatni, Tymoteusza Cottona, który jak mawiała pani Małgorzata Linde, „po dwudziestu latach przygotowania umarł wreszcie”, miłego Józefa Slona, którego w trumnie nikt nie poznał, ponieważ miał starannie przystrzyżone bokobrody; wszyscy oni spali na małym cmentarzu za kościołem. A Bill Andrews ożenił się z Nacią Blewett! Tej niedzieli wystroili się świątecznie. Gdy Bill, promieniejąc dumą i szczęściem, prowadził swoją ustrojona w jedwabie małżonkę do krzesła kościelnego Harmona Andrews, Ania spuściła oczy, aby ukryć ubawione spojrzenie. Przypomniła sobie ową burzliwą noc Bożego Narodzenia, gdy Janka oświadczyła się jej w imieniu Billa. Ania była ciekawa, czy i u Naci zastąpiła go w oświadczeniach Janka. Czy też zdobył się na tyle odwagi, aby samemu postawić to doniosłe pytanie. Janka zrezygnowała ze szkoły w Avonlea i zamierzała jesienią wyjechać na Zachód.

— Nie może znaleźć męża w Avonlea, to wszystko — rzekła pani Linde pogardliwie. — Powiada, że zdrowie jej poprawi się na Zachodzie. Nie wiedziałam, że jej zdrowie jest tak zagrożone.

— Janka jest ładną dziewczynką — rzekła Ania lojalnie. — Nigdy nie polowała na nikogo.

— Nigdy nie polowała na chłopców — potwierdziła pani Małgorzata — ale chętnie by wyszła za męża, jak każda inna. Cóż by ją inaczej ciągnęło na Zachód, w opuszczone miejsce, którego jedyną zaletą jest, że jest pełne mężczyzn, a mało ma kobiet? Nie przekonasz mnie!

Ale Ania nie przyglądała się tego dnia Jance. Przyglądała się Ruby Gillis, która siedziała obok niej przy chórze. Co się jej stało? Była nawet piękniejsza jeszcze niż zwykle. Ale oczy jej były zbyt jasne i zbyt błyszczące, a barwa policzków płonęła suchotniczo. Była przy tym bardzo szczupła. Dłonie, które trzymały książkę do nabożeństwa, były prawie przezroczyste.

— Czy Ruby Gillis jest chora? — zapytała Ania pani Linde, gdy wracały z kościoła.

— Ruby Gillis umiera na galopujące suchoty — rzekła pani Linde głucho. — Wszyscy wiedzą o tym prócz niej samej i jej rodziny. *Oni* nie chcą się z tym pogodzić. Jeżeli jej zapytasz, powie, że czuje się zupełnie dobrze. Od ostatniego krwotoku zimą nie może nauczać, ale powiada, że od jesieni znowu powróci do szkoły i ubiega się o stanowisko nauczycielki w Białych Piaskach. Kiedy w Białych Piaskach zacznie się nauka, biedna dziewczyna będzie już pewnie leżała w grobie...

Ania słuchała w milczeniu. Ruby Gillis, jej stara koleżanka szkolna, umierająca? Czy to może być prawdą? W ostatnich latach przebywały z dala od siebie, ale dawne więzy zażyłości z czasów szkolnych łączyły je jeszcze silnie. Ruby, tak piękna, promienna, łaknąca powodzenia! Niepodobieństwem było połączyć myśl o niej z czymś takim, jak śmierć.

Po wyjściu z kościoła powitała Anię serdecznie i nalegała, aby ją odwiedziła najbliższego wieczora.

— We wtorek i środę nie będzie mnie wieczorem w domu — szepnęła triumfalnie. — W Carmody będzie koncert i w Białych Piaskach zabawa. Herbert Spencer przyjdzie po mnie. On jest moim *ostatnim*... Przyjdź koniecznie jutro! Czuję potrzebę dłuższej rozmowy z tobą. Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o waszym życiu w Redmondzie.

Ania wiedziała, że Ruby chciała właściwie opowiedzieć jej wszystko o swoich ostatnich zwycięstwach. Ale przyrzekła jej, że przyjdzie, a Diana zaprosiła się także.

— Od dawna już chciałam odwiedzić Ruby — rzekła następnego wieczora, gdy opuszczały Zielone Wzgórze — ale rzeczywiście nie mogłam pójść sama. Okropne jest słuchać paplaniny Ruby, zwłaszcza, gdy twierdzi, że jej nic nie dolega, nawet w chwilach, gdy ledwo może mówić od kaszlu. Tak ciężko walczy o życie, a jednak nie ma podobno najmniejszej nadziei.

Dziewczęta szły w milczeniu czerwoną drogą w półmroku.

— Jaki piękny zachód słońca! — rzekła Diana. — Spójrz, Aniu!

— Nie mogę przestać myśleć o biednej Ruby! — rzekła Ania. — Jeżeli to prawda, że ona musi umrzeć, to gotowam uwierzyć we wszelką smutną wieść.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, że wstąpię na chwilę do Elizjusza Wrighta? — zapytała Diana. — Mama prosiła mnie, żebym zostawiła tam tę miseczkę powideł dla ciotki Atosy.

— Kto to jest ciotka Atosa?

— O, nie słyszałaś o niej? Jest to żona Samsona Coates'a ze Spencervale — ciotka pani Wright. Jest ona też ciotką mego ojca. Mąż jej umarł ubiegłej zimy, a ona zubożała, więc Wrightowie wzięli ją do siebie. Mama była zdania, żebyśmy my ją wzięli, ale ojciec sprzeciwił się temu. Nie chciał mieszkać z ciotką Atosą.

— Czy taka jest okropna?

— Przekonasz się o tym, zanim odejdziemy — rzekła Diana znacząco. — Ojciec powiada, że ma ona twarz jak siekiera — przecina powietrze. Ale język ma jeszcze ostrzejszy.

Mimo późnej godziny ciotka Atosa obierała jeszcze kartofle w kuchni Wrightów. Siwe jej włosy były potargane. Ciotka Atosa nie była w humorze.

— A, to ty jesteś Anią Shirley — rzekła, gdy Diana przedstawiła Anię. — Słyszałam o tobie. — Z tonu jej można było wywnioskować, że nie słyszała nic dobrego. — Pani Andrews mówiła mi, że wróciłaś do domu. Powiada, że bardzo się udoskonaliłaś.

Bez wątpienia miała ciotka Atosa na myśli, że udoskonalenie Ani pozostawiało jeszcze wiele do życzenia. Nie przestawała energicznie obierać kartofli.

— Czy ma to jakiś sens, prosić was, żebyście usiadły? — zapytała ironicznie. — Oczywiście nie ma tu dla was nic zajmującego. Wszyscy wyszli.

— Matka przysyła tę miseczkę powideł — rzekła Diana. — Zrobiła je dzisiaj.

— O, dziękuję bardzo — rzekła ciotka Atosa kwaśno. — Nie mam wielkiego zaufania do powideł twojej matki — zawsze je robi za słodkie. Ale postaram się je zjeść. Tej wiosny miałam niezmiernie mały apetyt. Czuję się o wiele za dobrze — ciągnęła ciotka Atosa uroczyście — ale trzymam się jeszcze roboty. Ludzie, którzy nie potrafią pracować, są *tutaj* niepotrzebni. Czy będziesz może łaskawa wstawić te powidła do spiżarni<sup>36</sup>? Śpieszę się, żeby ugotować jeszcze dzisiaj te ziemnaki. Wy, moje *panienki*, nigdy pewnie takiej roboty nie spełniacie. Obawiałabym się chyba zepsuć sobie ręce.

— Dawniej często obierałam kartofle — uśmiechnęła się Ania.

— Ja to jeszcze robię! — rzekła Diana. — W zeszłym tygodniu trzy razy obierałam kartofle. Naturalnie wymoczyłam potem ręce w soku cytrynowym i włożyłam skórzane rękawiczki.

Ciotka Atosa parsknęła. — Tej mądrości nauczyłaś się pewnie z jakiegoś głupiego tygodnika, których tyle czytujesz. Dziwię się, że matka pozwala ci na to. Ale zawsze cię psuła. Kiedy Jerzy żenił się z nią, wszyscy byliśmy zdania, że nie jest ona odpowiednią żoną dla niego.

Ciotka Atosa westchnęła ciężko, jakby jej wszystkie przepowiednie co do małżeństwa Jerzego Barry spełniły się dosłownie i złowieszczo.

— Odchodzicie już? — zapytała, gdy dziewczęta wstały. — No dobrze, rozumiem, że niewielka to dla was przyjemność rozmawiać z taką starą kobietą jak ja. Szkoda, że młodych nie ma w domu.

— Musimy jeszcze pójść do Ruby Gillis — wyjaśniła Diana.

— O, nie tłumaczcie się — rzekła ciotka Atosa łaskawie. — Lepiej byś jednak zrobiła, gdybyś się trzymała z daleka od Ruby Gillis. Lekarze twierdzą, że suchoty są zaraźliwe. Zawsze wiedziałam, że Ruby coś złapie, od czasu jej ostatniego pobytu w Bostonie jesienią. Ludzie, którzy nie są zadowoleni z pobytu w domu, zawsze wpadają w jakieś choroby.

— Ludzie, którzy nigdzie nie jeżdżą, także chorują, czasem nawet umierają — oznajmiła Diana uroczyście.

— Ale nie potrzebują sobie wtedy robić wyrzutów — odpowiedziała ciotka Atosa triumfująco. — Słyszałam, że masz w czerwcu wyjść za mąż, Diano.

— W pogłosce tej nie ma ani słowa prawdy — odpowiedziała Diana.

— No dobrze, nie odkładaj tego za długo — rzekła ciotka Atosa znacząco. — Prędko się zestarzejesz — wdzięki przemijają szybko. Powinnaś nosić kapelusz, Aniu Shirley,

<sup>36</sup>spiżarnia — dziś popr.: spiżarnia. [przypis edytorski]

masz nos skandalicznie piegowaty. Ależ na Boga, przecież ty jesteś ruda! Ano, jesteśmy wszyscy tacy, jakimi nas Bóg stworzył! Pozdrów Marylę Cutbert. Nie była jeszcze u mnie, odkąd mieszkam w Avonlea. Ale nie potrzebuję się chyba na to uskarżać. Cutbertowie zawsze uważali się za wyższych od wszystkich w okolicy.

— Czy ona nie jest okropna! — zawołała Diana, gdy wyszły znowu na ulicę.

— Jest gorsza od panny Elizy Andrews — rzekła Ania — ale pomyśl: przeżyć całe życie z takim imieniem, jak Atosa! Każdy by od tego zgorzkniał. Powinna by spróbować wmówić sobie, że jej na imię Kordelia. Bardzo by jej to pomogło. I mnie to pomogło w czasie, gdy nie lubiłam imienia *Ania*.

— Józia Pay będzie zupełnie taka sama, gdy się zestarzeje — rzekła Diana. — Matka Józi i ciotka Atosa są kuzynkami. O Boże, cieszę się, że to już minęło. Jest ona taka złośliwa, że zaraża tym wszystko i wszystkich. Ojciec opowiada o niej taką komiczną historię. Kiedyś mieli w Spencervale pastora, który był człowiekiem bardzo dobrym i mądrym, ale trochę głuchawym. Zwyczaj rozmowy w ogóle nie słyszał. Otóż w wieczory niedzielne odbywały się zebrania modlitewne, a każdy z parafian kolejno wstawał i wygłaszał modlitwę lub wypowiadał kilka słów w związku z jakimś wersetem biblijnym. Pewnego wieczora zerwała się ciotka Atosa. Nie wygłosiła ani modlitwy, ani kazania, lecz poczęła oczerniać wszystkich ludzi w kościele, wymieniając ich po nazwisku i wyliczając wszystkie spory i skandale z ostatnich dziesięciu lat. Zakończyła tym, że kościół w Spencervale nie podoba się jej i że nigdy już nie przekroczy jego progu. Wyraziła też nadzieję, że spadnie nań okropne przekleństwo. Potem usiadła bez tchu, a pastor, który nie usłyszał ani słowa z jej przemówienia, rzekł natychmiast pobożnym głosem: „Amen! Niechaj Pan spełni modlitwę naszej siostry!” Gdybyś słyszała, jak ojciec opowiada tę historię!...

— Jeżeli już mówimy o historiach, Diano — rzekła Ania znaczącym, poufnym tonem — czy wiesz, zastanawiałam się ostatnio nad tym, czy nie mogłabym napisać jakiejś krótkiej historyjki — historyjki, która by się nadała do druku.

— Naturalnie, że mogłabyś — rzekła Diana. — W naszym Klubie Powieściowym<sup>37</sup> przed laty pisywałaś przecież tak zajmujące opowiadania!

— Nie ten rodzaj mam na myśli — uśmiechnęła się Ania. — Ostatnio myślałam o tym, ale nie miałam odwagi spróbować, bo gdyby mi się nie powiodło, byłoby to dla mnie zbyt upokarzające.

— Słyszałam, jak Priscilla opowiadała kiedyś, że wszystkie pierwsze opowiadania pani Morgan były odrzucane. Ale jestem przekonana, że twoich by taki los nie spotkał, Aniu, gdyż wydawcy dzisiejsi mają prawdopodobnie więcej rozumu.

— Małgorzata Burton, studentka ze starszego kursu w Redmondzie, napisała ubiegłej zimy opowiadanie, które zostało wydrukowane w „Kobiecie Kanadyjskiej”. Zdaje mi się, że mogłabym pisać przynajmniej równie dobre opowiadania.

— I chciałabyś, aby były drukowane w „Kobiecie Kanadyjskiej”?

— Woląłabym pierw spróbować z większymi pismami. Wszystko zależy od tego, jakiego rodzaju opowiadanie napiszę.

— A jaka ma być jego treść?

— Nie wiem jeszcze. Muszę dopiero wymyślić jakąś dobrą akcję. Uważam, że dla wydawcy jest to rzecz bardzo ważna. Jedyne, co dotychczas zadecydowałam, to nazwisko bohaterki. Będzie się nazywała Aweryla Lester. Ładne, prawda? Nie mów o tym nikomu, Diano. Ja jeszcze o tym nikomu prócz ciebie i pana Harrisona nie wspomniałam. Co do niego, niezbyt mnie zachęcał. Powiedział, że pisuje się dzisiaj za wiele błagi i że spodziewa się po mnie czegoś lepszego, gdy już od roku jestem na uniwersytecie.

— Czy pan Harrison zna się na tym? — rzekła Diana pogardliwie.

Dom Gillisów był rześcicie oświetlony i pełen gości. Leonard Kimball ze Spencervale i Morgan Bell z Carmody spoglądali na siebie z przeciwległych końców salonu. W pokoju było kilka wesółych dziewcząt. Ruby ubrana była białą, a oczy jej i policzki błyszczały mocno. Śmiała się i mówiła nieustannie, a gdy inne dziewczęta odeszły, zabrała Anię na górę, aby jej pokazać swoje nowe suknie letnie.

<sup>37</sup>W naszym Klubie Powieściowym przed laty pisywałaś przecież tak zajmujące opowiadania — patrz: *Ania z Zielonego Wzgórza*. [przypis tłumacza]

— Kazałam sobie uszyć niebieską jedwabną, ale jest trochę za ciężka na lato. Zostawię ją chyba na jesień. Wiesz przecież, że będę uczyła w Białych Piaskach. Jak ci się podoba mój kapelusz? Ten, który nosiłaś wczoraj w kościele, był rzeczywiście ładny. Ale ja wolę jaśniejsze. Czy zauważyłaś tych dwóch śmiesznych chłopców na dole? Każdy z nich przyszedł z zamiarem przesiedzenia tu tak długo, aż drugi odejdzie. Z żadnego z nich nic sobie nie robię. Herbert Spencer jest jedynym, który mi się podoba. Niekiedy zdaje mi się, że on jest „tym Jedynym”. Podczas Bożego Narodzenia zdawało mi się, że jest nim nauczyciel ze Spencervale. Ale odkryłam w nim cechy, które skłoniły mnie do odwrócenia się od niego. Omal nie oszalał. Wołałabym, aby ci dwaj chłopcy nie przyszli dzisiejszego wieczora. Chciałam się dzisiaj wygadać z tobą, Aniu, i opowiedzieć ci moc najrozmaitszych rzeczy. Byłyśmy przecież zawsze dobrymi koleżankami, prawda?

Ruby otoczyła szyję Ani ramieniem i roześmiała się. Ale oczy ich spotkały się na chwilę i poza blaskiem źrenic Ruby ujrzała Ania coś, od czego serce jej ścisnęło się boleśnie.

— Przychodź do mnie często, dobrze, Aniu? — szepnęła Ruby. — Przychodź sama — jesteś mi potrzebna.

— Czy czujesz się zupełnie dobrze, Ruby?

— Ja?! Jestem zupełnie zdrowa! Nigdy w życiu lepiej się nie czułam. Oczywiście krwotok ostatniej zimy trochę mnie wyczerpał. Ale spójrz na moje kolory. Nie wyglądam chyba na chorą.

Głos Ruby był niemal szorstki. Cofnęła ramię, jakby była zła na Anię i zbiegła po schodach na dół, gdzie była weselsza niż kiedykolwiek i tak zaabsorbowana rywalizacją swoich dwóch adoratorów, że Ania i Diana uczuły się nieco urażone i wkrótce odeszły.

## ROZDZIAŁ XII. „POKUTA AWERYLI”

— O czym marzysz, Aniu?

Dziewczęta wałęsały się pewnego wieczora nad strumykiem.

Ania ocknęła się z marzeń ze szczęśliwym westchnieniem.

— Wymyśliłam swoje opowiadanie, Diano.

— O, rzeczywiście je zaczęłaś?

— Tak, napisałam dopiero kilka stron, ale wymyśliłam już sobie wszystko. Zużyłam dość czasu, żeby wymyślić odpowiednią akcję. Żadna z akcji<sup>38</sup>, które mi przychodziły na myśl, nie była odpowiednia dla dziewczynki, której na imię Aweryla<sup>39</sup>.

— Czyż nie mogłaś jej zmienić imienia?

— Nie, to było niemożliwe. Próbowalam, ale nie mogłam, podobnie jak nie mogłabym zmienić twojego imienia. Aweryla była dla mnie istotą tak realną, że jakiegokolwiek imiona próbowałam jej nadać, zawsze musiałam o niej myśleć jako o Aweryli. Ostatecznie jednak znalazłam akcję, która jej w zupełności odpowiadała. Potem nastąpiła przyjemność wyboru imion dla pozostałych osób. Nie masz pojęcia, jakie to pociągające. Godzinami leżałam nie śpiąc i zastanawiałam się nad tymi imionami. Główny bohater nazywa się Parsywał<sup>40</sup> Dalrymple.

— Czy wszystkim nadałaś już imiona? — zapytała Diana ciekawie. — Jeżeli nie, poprosiłabym cię, żebyś mnie pozwoliła kogoś nazwać. Może to być jakaś podrzędna osoba. Czułabym się wtedy jak współautorka twego opowiadania.

— Możesz nadać imię małemu chłopcu, który służy u Lesterów — rzekła Ania. — Nie jest bardzo ważny, ale on jeden nie ma jeszcze imienia.

— Nazwij go Rajmond Fitzosborn — zaproponowała Diana, która jeszcze z czasów dawnego Klubu Powieściowego miała w pamięci zapas imion i nazwisk, które za czasów szkolnych wymyślały z Anią, Janką Andrews i Ruby Gillis.

Ania powątpiewająco potrząsnęła głową.

— Wydaje mi się to zbyt arystokratycznym nazwiskiem dla najemnego chłopca, Diano. Nie mogłabym sobie wyobrazić, aby jakiś Fitzosborn pasał świnie i zbierał wióry.

<sup>38</sup>akcyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: akcji. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Aweryla — ang. Averil, rzadkie imię żeńskie, noszone m.in. (w postaci *Everilda*) przez anglo-saksońską świętą z VII w. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Parsywał — ang. Perceval. [przypis edytorski]

Diana nie rozumiała, dlaczego wyobraźnia nie mogłaby się aż do tego posunąć; ale widocznie Ania wiedziała najlepiej, co robić, i chłopiec został ostatecznie nazwany Robertem Rayem. Przy sposobności nazywano by go zdrobniale Bobusiem.

— Jak sądzisz, ile za to dostaniesz? — zapytała Diana.

Ale Ania w ogóle o tym nie myślała. Pożądała sławy, nie marnego zysku, a jej marzenia literackie były dotąd niezbrukane względami pieniężnymi.

— Pozwolisz mi to opowiadanie przeczytać, prawda? — prosiła Diana.

— Gdy będzie skończone, przeczytam je tobie i panu Harrisonowi, a chciałabym, abys je surowo oceniła. Nikt inny nie ujrzy go, aż zostanie wydrukowane.

— Jak je zakończysz, szczęśliwie czy nieszczęśliwie?

— Nie jestem jeszcze zdecydowana. Wolalabym je zakończyć nieszczęśliwie, gdyż byłoby to bardziej romantyczne, ale rozumiem, że wydawcy są przeciwni smutnym zakończeniom. Słyszałam, jak profesor Hamilton powiedział kiedyś, że nikt prócz geniuszów nie powinien próbować pisać nieszczęśliwego końca. A ja — zakończyła Ania skromnie — daleka jestem od tego, by być geniuszem.

— O, mnie się najwięcej podobają szczęśliwe zakończenia. Najlepiej każ im się ożenić — rzekła Diana, która zwłaszcza od czasu zaręczyn z Alfredem sądziła, że tak powinna się kończyć każda historia.

— Ale lubisz przecież płakać nad opowiadaniem!

— O tak, w środku. Ale lubię, żeby pod koniec wszystko układało się jednak dobrze.

— Muszę mieć w tym opowiadaniu jakąś patetyczną scenę — rzekła Ania w zadumie.

— Może Robert Ray zostanie zraniony podczas wypadku i zrobię scenę śmierci.

— Nie, Bobusia nie zabijaj! — oświadczyła Diana ze śmiechem. — On należy do mnie, a ja chcę, żeby żył i rósł. Zabij kogoś innego, jeżeli ci to jest potrzebne.

Przez następne dwa tygodnie Ania wpadała w skrajną radość lub smutek, zależnie od tego, jaki obrót przybierała jej literacka praca. Czasem była wesoła, gdy miała jakiś świetny pomysł, czasem znowu ogarniało ją przygnębienie, gdy rola wypadła niezbyt dobrze. Diana nie mogła tego zrozumieć.

— Każ im tak postępować, jak ci to potrzebne!

— Nie mogę — skarżyła się Ania. — Aweryla jest taką bohaterką, która nie pozwala sobie rozkazywać. Chce czasem robić lub mówić rzeczy, o których bym nigdy nie pomyślała, że je zrobi lub powie. Wtedy psuje mi to wszystko, co było przedtem i muszę znowu przepisywać od początku.

Ostatecznie jednak opowiadanie zostało zakończone i Ania przeczytała je Dianie w odosobnieniu facjatki. Wymyśliła swoją patetyczną scenę, nie zabiwszy Roberta Ray'a, i baczny okiem spoglądała na Dianę, czytając ją. Przy scenie tej Diana wstała i rozplakała się szczerze. Ale gdy nadszedł koniec, wyglądała nieco rozczarowana<sup>41</sup>.

— Dlaczego zabiłaś Maurycego Lennox'a? — zapytała z wyrzutem.

— On był złym typem — wyjaśniła Ania — musiał być ukarany.

— On mi się najwięcej ze wszystkich podoba — rzekła Diana nieopatrznie.

— Ale umarł i żyć nie będzie — odpowiedziała Ania z gniewem. — Gdybym mu pozwoliła żyć, prześladowałby Awerylę i Parsywala.

— Tak, gdybyś go nie naprawiła.

— Tobo było nieromantyczne, a poza tym opowiadanie stałoby się za długie.

— No dobrze, w każdym razie opowiadanie jest skończone eleganckie, Aniu, i uczyni cię sławną. Jestem tego pewna. Czy masz już tytuł?

— O, tytuł dawno już ustaliłam! Opowiadanie moje nazywa się „Pokuta Aweryli”. Czy to nie brzmi pięknie i dźwięcznie? A teraz powiedz mi szczerze, Diano: czy widzisz jakieś błędy w moim opowiadaniu?

— Owszem — rzekła Diana z wahaniem — ta część, gdzie Aweryla piecze ciasto, wydaje mi się nie dość romantyczna w porównaniu z resztą. To może każdy zrobić. Bohaterki nie powinny moim zdaniem gotować.

— Dlaczego? Właśnie w tej części jest pierwiastek humoru i jest to jedna z najlepszych części całego opowiadania — zaprotestowała Ania.

<sup>41</sup>wyglądała nieco rozczarowana — dziś popr.: wyglądała na nieco rozczarowaną. [przypis edytorski]



Diana przezornie powstrzymała się od dalszej krytyki, ale pana Harrisona daleko trudniej było zadowolnić<sup>42</sup>. Przede wszystkim oświadczył jej, że w opowiadaniu jest o wiele za dużo opisów.

— Obetnij wszystkie te kwieciste miejsca — rzekł bezwzględnie.

Ania doznała niemiłego przeświadczenia, że pan Harrison miał rację, i zmusiła się do skreślenia większości swoich ulubionych opisów, chociaż musiała całość trzy razy przepisywać, zanim opowiadanie zadowolniło<sup>43</sup> wybrednego pana Harrisona.

— Opuściłam wszystkie opisy oprócz zachodu słońca — rzekła wreszcie. — Tęgo jednego *nie mogłam* opuścić. Był najlepszy ze wszystkich.

— Nie ma on nic wspólnego z opowiadaniem — rzekł pan Harrison — a akcja nie powinna się odbywać w bogatych sferach miejskich. Co ty o tych ludziach wiesz? Dlaczego nie umieściłaś jej tutaj, w Avonlea, oczywiście zmieniając nazwę, gdyż inaczej pani Małgorzata Linde pomyślałaby oczywiście, że to ona jest bohaterką!

— O, to by było nieodpowiednie — zaprotestowała Ania. — Avonlea jest najdroższym dla mnie miejscem na świecie, ale nie jest dość romantyczne dla mego opowiadania.

— Twierdzą, że niejedna tragedia i niejedyn dramat rozegrały się w Avonlea — rzekł pan Harrison sucho. — Ale twoi ludzie nie są tacy jak inni rzeczywisci ludzie. Mówią za wiele i używają zbyt kwiecistych wyrażen. Jest tam miejsce, gdzie ten drab Dalrimple gada przez dwie stronicie i nie pozwala panience wtrącić ani słowa. Gdyby to w rzeczywistości zrobił, obiłaby go.

— Nie sądzę — rzekła Ania urażona.

W duchu pomyślała sobie, że owe piękne, poetyczne rzeczy, które bohater jej mówił do Aweryli, podbiłyby serce każdej dziewczyny. Poza tym niepodobieństwem było pomyśleć, że Aweryla, ta wspaniała, królewska Aweryla mogłaby kogoś „obić”. Aweryla „odtrącała swoich wielbicieli”.

— A dalej — ciągnął nielitościwy pan Harrison — nie widzę powodu, dla którego Maurycy Lennox nie zdobywa jej ręki. Był dwakroć takim mężczyzną jak tamten. Robił złe rzeczy, ale *robił* je. Parsywal nie miał czasu robić czegokolwiek prócz wałęsania się.

„Wałęsać się” — to było jeszcze gorsze niż „obić”!

— Maurycy Lennox był złym typem — rzekła Ania z podnieceniem. — Nie rozumiem, dlaczego wszystkim podoba się on więcej niż Parsywal!

— Parsywal jest *zbyt* dobry. To go czyni nudnym. Następnym razem, gdy będziesz pisała o jakimś bohaterze, dodaj mu trochę zaprawy charakteru ludzkiego.

— Aweryla nie mogła poślubić Maurycyego. Był on zły.

— Mogła go poprawić. Mężczyznę *można* poprawić. Ale ryby w galarecie oczywiście zmienić nie można. Opowiadanie twoje nie jest złe — jest dość zajmujące, to przyznaję. Ale jesteś za młoda, żeby pisać opowiadania, które warto by było czytać. Zaczekaj dziesięć lat.

Ania postanowiła następnym razem, gdy napisze opowiadanie, nie prosić nikogo o ocenę. Było to zbyt zniechęcające. Gilbertowi postanowiła opowiadania nie przeczytać, chociaż wspomniała mu o nim.

— Jeżeli będzie miało powodzenie, zobaczysz je w druku, Gilbertcie, ale jeżeli mi się nie powiedzie, nikt go nigdy nie zobaczy.

Maryla nie wiedziała nic o tym wszystkim. W wyobraźni widziała się Ania, jak czyta Maryli to opowiadanie z tygodnika i wysłuchuje jej pochwał — w wyobraźni wszystko jest możliwe — a potem triumfalnie przyznaje się do autorstwa!

Pewnego dnia zaniósł Ania na pocztę długą, brzuchatą kopertę, zaadresowaną z naiwną ufnością dziecięcą do największego ze wszystkich wielkich tygodników. Diana tak się tym cieszyła, jak Ania sama.

— Jak sądzisz, jak długo potrwa, zanim dostaniesz odpowiedź? — zapytała.

— Chyba nie dłużej, jak dwa tygodnie. O, jak szczęśliwa i dumna będę, jeżeli moje opowiadanie zostanie przyjęte!

<sup>42</sup>zadowolnić — dziś popr.: zadowolić. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zadowolnić — dziś popr.: zadowolić. [przypis edytorski]

— Bezwątpienia zostanie przyjęte, a prawdopodobnie poproszą cię, żebyś jeszcze coś nadesłała. Możesz się kiedyś stać tak sławna, jak pani Morgan, Aniu, a wtedy jakże będę dumna, że cię znam! — rzekła Diana.

Nastąpił tydzień radosnych marzeń, a po nim gorzkie przebudzenie. Pewnego wieczora zastała Diana Anię na facjatce z oczyma o podejrzanym wyglądzie. Na stole leżała długa koperta i zgnieciony rękopis.

— Aniu, czyżby twoje opowiadanie wróciło? — zapytała Diana niedowierzająco.

— Tak, wróciło — odpowiedziała Ania krótko.

— Wydawca zwariował chyba! Jaki powód podał?

— Żadnego! Jest tam drukowany świstek, który opiewa, że rękopis mój nie został uznany za nadający się do tygodnika.

— Nigdy nie wierzyłam w ten tygodnik! — rzekła Diana gorąco. — Opowiadanie drukowane w nim nie są tak zajmujące, jak w „Kobiecie Kanadyjskiej”, chociaż kosztuje o tyle drożej. Zdaje mi się, że wydawca jest uprzedzony do wszystkich nie-jankesów. Nie trać ufności, Aniu. Przypomnij sobie, jak powracały utwory pani Morgan. Poślij swoje opowiadanie do „Kobiety Kanadyjskiej”.

— Myślę, że tak zrobię — rzekła Ania, nabierając nowej otuchy. — A gdy zostanie wydrukowane, pošlę tym amerykańskim panom wycinek. Ale wytnę ten zachód słońca. Zdaje mi się, że pan Harrison miał rację.

Zachód słońca został wyrzucony, ale mimo tego bohaterskiego okaleczenia utworu wydawca „Kobiety Kanadyjskiej” tak szybko zwrócił rękopis, iż Diana twierdziła, że nie mógł go wcale przeczytać, i poprzysięgła, że natychmiast przerwie abonament tego pisma.

Ania przyjęła tę drugą odmowę ze spokojem rezygnacji. Zamknęła opowiadanie do kufra na strychu, gdzie spoczywały dawne opowiadania z Klubu Powieściowego, przedtem jednak uległa prośbom Diany i dała jej odpis.

— Oto koniec mojej ambicji literackiej — rzekła gorzko.

Wobec pana Harrisona nie wspomniała o tym wydarzeniu, ale pewnego wieczora zapytał on ją sam, czy opowiadanie jej zostało przyjęte.

— Nie, wydawca nie chciał go przyjąć — odpowiedziała Ania krótko.

Pan Harrison spojrział z ukosa na zarumieniony profil dziewczynki.

— Będziesz chyba pisała dalej — rzekł zachęcająco. — Nie, nigdy już nie spróbuję pisać — oznajmiła Ania z beznadziejną stanowczością lat dziewiętnastu.

— Ja bym jednak nie zrezygnował — rzekł pan Harrison w zadumie. — W wolnym czasie pisałbym nadal opowiadania, ale nie narzucałbym się z nimi wydawcom. Pisałbym o ludziach i miejscowościach, znanych mi, a bohaterom swoim kazałbym mówić językiem potocznym; i pozwoliłbym słońcu wschodzić i zachodzić w zwykły sposób, nie robiąc z tego powodu wielkiego hałasu. Gdybym w ogóle miał do czynienia z ludźmi złymi, dałbym im możliwość poprawy, Aniu — dałbym im możliwość poprawy. Bywają co prawda zupełnie źli ludzie na świecie, ale musiałabyś ich dobrze poszukać, chociaż pani Linde sądzi, że wszyscy jesteśmy źli. Większość z nas jednak ma w sobie coś dobrego także. Pisz dalej, Aniu.

— Nie, bardzo głupio było z mojej strony próbować. Gdy skończę Redmond, pozostaną przy nauczycielstwie. *Uczyć umiem*. Ale pisać nie potrafię.

— Gdy skończysz Redmond, czas będzie, abyś znalazła męża — rzekł pan Harrison.

— Nie jestem zwolennikiem odkładania małżeństwa, jak to ja uczyniłem.

Ania wstała i poszła do domu. Bywały chwile, gdy pan Harrison był rzeczywiście nieznośny. „Obić”, „wałęsać się”, „znaleźć męża”. Och!!

## ROZDZIAŁ XIII. NA ZŁĘJ DRODZE

Tadzio i Tola byli ubrani do kościoła. Szli sami, co się nie często działo, gdyż pani Linde chodziła z nimi stale na nabożeństwo. Ale pani Linde zwichnęła nogę w kostce i musiała tego dnia pozostać w domu. Bliźnięta musiały więc tym razem reprezentować rodzinę w kościele, gdyż Ania wyjechała poprzedniego wieczora do Carmody, gdzie miała spędzić niedzielę z przyjaciółmi, a Maryla miała znowu ból głowy.

Tadzio wolno szedł po schodach. Tola czekała na niego na dole, ubrana już do wyjścia przez panią Linde. Tadzio przygotował się do swego specjalnego planu. W kieszeni miał

centa na kwesnę dziecięcą i pięć centów na zbiórkę ogólną w kościele. Biblię miał w jednej ręce, a kwartalnik kościelny dla dzieci w drugiej.

Pani Linde wyszła z kuchni, gdy przyłączył się do Toli.

— Czy jesteś czysty? — zapytała surowo.

— Tak, cały mój wygląd dowodzi tego — odpowiedział Tadzio krnąbrnie.

Pani Małgorzata westchnęła. Miała pewne podejrzenia co do szyi i uszu Tadzia. Ale wiedziała, że gdyby chciała dokonać przeglądu osobistego, chłopiec najpewniej uciekłyby, a ona nie mogła go dzisiaj gonić.

— Sprawujcie się dobrze — ostrzegła dzieci. — Nie brudźcie się. Nie zatrzymujcie się po drodze, żeby rozmawiać z innymi dziećmi, nie kręćcie się na miejscach. Odpowiadajcie uważnie przy nauce katechizmu. Nie zgubcie pieniędzy na ofiary i nie zapomnijcie ich wrzucić do puszek. Nie rozmawiajcie w czasie nabożeństwa i słuchajcie uważnie kazania.

Tadzio nie odpowiedział. Ruszył ulicą, a słaba Tola nadążała za nim. Ale w duszy jego wrzało. Tadzio cierpiał, a przynajmniej sądził, że cierpiał, a przyczyną tych cierpień były ręce i język pani Linde, odkąd przybyła na Zielone Wzgórze, gdyż pani Linde nie potrafiła mieszkać z nikim — czy miał dziewięć lat, czy dziewięćdziesiąt — nie próbując go na swój sposób wychowywać. I dopiero ubiegłego popołudnia starała się wpłynąć na Maryłę, aby nie pozwoliła Tadziovi pójść na ryby z dziećmi Tymoteusza Cottona. Tadzio wrzał jeszcze z oburzenia.

Gdy tylko wyszedł z uliczki, zatrzymał się i skrzywił twarz takim nieziemsko przerażającym grymasem, że Tola, chociaż знаła jego talent w tym kierunku, zdrętwiała rzeczywistością ze zgrozy.

— Wypaproszyć by ją! — wybuchnął Tadzio.

— O, Tadzio, nie klnij — szepnęła Tola zmieszana.

— „Wypaproszyć” to jeszcze nie prawdziwe przekleństwo, a jeżeli nawet, to też nic sobie z tego nie robię — rzekł Tadzio obojętnie.

— No dobrze, jeżeli już *musisz* mówić złe słowa, to nie mów ich przynajmniej w niedzielę!

Tadzio daleki był jeszcze od skruchy, ale w głębi duszy czuł, że może posunął się odrobinę za daleko.

— Muszę sobie wymyślić jakieś własne przekleństwo! — oznajmił.

— Bóg cię za to ukaże — rzekła Tola uroczyście.

— W takim razie Bóg jest złym starcem — odpowiedział Tadzio — czyż nie wie, że każdy chłopiec musi mieć jakąś drogę do wyrażenia swoich uczuć!

— Tadzio!!! — zawołała Tola. Spodziewała się, że Tadzio padnie teraz trupem na miejscu. Ale nic podobnego się nie stało.

— W każdym razie nie ścierpię dłużej, żeby pani Linde nadal mnie dręczyła — wybuchnął Tadzio. — Ania i Maryła mają do tego prawo, ale ona nie. Będę teraz robił wszystko, czego mi ona nie pozwala, uważaj.

Pod przerażonym wzrokiem Toli zszedł Tadzio z zaciętością z zielonej ścieżki na gościniec, zatapiając kostki w drobnym pyłe, który od tygodni leżał na drodze, i idąc powłóczył z wściekłością nogami, aż otoczyła go zupełnie chmura kurzu.

— To początek! — oznajmił triumfalnie. — Zatrzymam się przed kościołem i póki tam ktoś będzie, będę rozmawiał. Będę się kręcił i szeptał podczas nabożeństwa, a przy katechizmie powiem, że zapomniałem odpowiedzi. A obydwie monety ofiarne *natychmiast* wyrzucę!

I Tadzio rzucił centa i niklową monetę przez płot Barrych.

— Diabeł cię opętał! — rzekła Tola z wyrzutem.

— Nieprawda! — zawołał Tadzio podniecony. — Sam to sobie wymyśliłem. A zresztą odmyśliłem się: nie pójdę w ogóle do kościoła! Pójdę się bawić z Cottonami. Powiedzieli mi wczoraj, że nie pójdą dzisiaj do kościoła, bo matki ich nie ma, więc ich nikt nie zmusi. Chodź, Tolu, zabawimy się dobrze.

— Ja nie pójdę! — zaprotestowała Tola.

— Musisz — rzekł Tadzio. — Jeżeli nie pójdziesz, powiem Maryli, że Franek Bell pocałował cię w szkole w poniedziałek.

— Nie mogłam temu przeszkodzić! Nie wiedziałam, że miał ten zamiar! — zawołała Tola purpurowa ze wstydu.

Grzech, Buntownik,  
Kuszenie

Pocałunek, Szantaż, Wstyd

— Ale nie dałaś mu za to klapsa i nie wyglądałaś wcale zła<sup>44</sup> — odpowiedział Tadzio. — To jej powiem, jeżeli nie pójdziesz ze mną. Pójdziemy na przelaj przez to pole, najkrótszą drogą.

— Boję się tych krów — protestowała biedna Tola, uważając to za pretekst do ucieczki.

— Też się jest czego bać! — zadrwił Tadzio. — Obie są młodsze od ciebie!

— Ale są większe — rzekła Tola.

— Nic ci nie zrobią. Chodź! Dobraś sobie! Kiedy będę dorosły, w ogóle nie będę chodził do kościoła. Dam sobie w niebie sam radę.

— Znajdziesz się gdzie indziej, jeżeli będziesz łamał dzień świąteczny — rzekła nieśczęsna Tola, idąc za nim niechętnie.

Ale Tadzio jeszcze się nie uląkł. Piekło było daleko, a pokusa rozkoszy rybołówstwa z Cottonami bardzo blisko. Tola oglądała się nieustannie za siebie, jakby lada chwila miała wybuchnąć krzykiem, a to psuło Tadziovi całą zabawę. „Powiesić te dziewczuchy!” Tym razem Tadzio nie powiedział „wypaproszyć”. Nie pomyślał nawet o tym. Nie żałował jeszcze, że to raz powiedział, ale dobrze było nie kusić zanadto jednego dnia Nieznanych Sił.

Mali Cottonowie bawili się na dziedzińcu i powitali zjawienie się Tadzia okrzykami radości. Piotruś, Tomek, Adzio i Mira Cotton byli sami. Matka ich i starsze siostry wyjechały. Tola była rada, że przynajmniej zastała Mirę. Obawiała się, że będzie sama w tej gromadzie chłopców. Mira była prawie chłopcem — była takim łobuzem, jak i oni — ale przynajmniej nosiła sukienki.

— Przyszliśmy, żeby pójść na ryby! — oznajmił Tadzio.

— Hurra! — zawołali Cottonowie.

Natychmiast pobiegli poszukać robaków, a Mira szła na przedzie z miseczką cynową. Tola bliska była płaczu. O, gdybyż ten nikczemny Franek Bell nie był jej pocałował! Wtedy mogłaby się oprzeć Tadziovi i poszłyby do kościoła.

Nie odważyli się co prawda iść nad staw, gdyż zobaczyliby ich tam ludzie, idący do kościoła. Musieli się zadowolnić strumykiem w lasku za domem Cottonów. Ale pełno tam było pstrągów, i dzieci spędziły rano wspaniale. Co prawda Tadzio był o tyle przezorny, że zdjął buciki i pończochy i włożył palto Tomka Cottona, żeby się nie pobrudzić. Tola była w rozpacz. Szła za innymi od kałuży do kałuży, trzymając mocno biblię i kwartalnik i z goryczą myśląc o kościele, w którym powinna się teraz znajdować. Mira zaproponowała jej, aby włożyła fartuch, ale Tola odrzuciła to z pogardą.

Pstrągi brały, jak zwykle w niedzielę. Po godzinie mali przestępcy mieli ryb pod dostatkiem. Powrócili więc do domu, ku wielkiej uldze Toli. Usiadła skromnie na dziedzińcu, podczas gdy reszta dzieci z okropnym wrzaskiem zaczęła się bawić w ciuciubabkę. Potem wdrapały się na dach obory. Płaski kurnik i wielki stóg słomy pod nim nasunęły Tadziovi nowy pomysł. Spędzili pół godziny na tym, że wdrapywali się na dach kurnika i zeskakiwali na słomę, wydając okrzyki triumfu.

Ale każda przyjemność musi się kiedyś skończyć. Gdy dźwięk kroków na moście oznajmił im, że ludzie po wracają z kościoła, Tadzio uznał, że trzeba pójść do domu. Zdjął palto Tomka, przybrał znowu dawny wygląd i z westchnieniem odwrócił się do swego sznura z pstrągami. Nie można było przecież zabrać ich do domu.

— Czy nie wspaniale spędziliśmy czas? — zawołał wyzywająco, gdy schodzili po stoku.

— Ja nie — odpowiedziała Tola. — I nie sądzę, że ty miałeś z tego przyjemność.

— Ja tak! — zawołał Tadzio, ale głosem niezupełnie szczerym. — Ze tobie nie było miło, nic w tym dziwnego. Siedziałaś cicho jak mysz.

— Nie mam zamiaru bawić się z Cottonami — rzekła Tola wyniośle.

— Cottonowie są bardzo porządni — odpowiedział Tadzio — i lepiej spędzają czas niż my. Robią to, co im się podoba, i mówią to, co chcą. I ja tak będę teraz robił.

— Wiele jest rzeczy, których nie odważysz się wobec ludzi powiedzieć — odpowiedziała Tola.

— Nie, takich rzeczy nie ma!

— Owszem, są — upierała się Tola.

<sup>44</sup>nie wyglądałaś wcale zła — dziś popr.: nie wyglądałaś wcale na złą. [przypis edytorski]

Tadzio nie czuł się zupełnie dobrze, chociaż raczej by się dał zabić, niż przyznał to wobec Toli. Teraz, gdy skończyła się rozkosz zabawy, poczęły go trapić wątpliwości. Może ostatecznie byłoby lepiej, gdyby był poszedł do kościoła. Chociaż pani Linde była dokuczliwa, to jednak miała stale w kuchni pudełko słodczy, a skąpa nie była. W tej przykrej chwili Tadzio przypomniał sobie, że gdy w zeszłym tygodniu podarł w szkole spodnie, pani Linde zreperowała je i ani słowem nie wspomniała o tym Maryli.

Ale czara niegodziwości Tadzia jeszcze nie była pełna. Musiał przyznać, że jeden grzech wymagał drugiego dla zatuszowania go. Tego dnia jedli obiad razem z panią Linde, a pierwsze jej pytanie było:

— Czy cała twoja klasa była dzisiaj w kościele?

— Tak — odpowiedział Tadzio, przelknąwszy ślinę — wszyscy byli z wyjątkiem jednego.

— Czy odpowiedziałeś na pytania z katechizmu?

— Tak.

— Czy wrzuciłeś datki do puszki?

— Tak.

— Czy pani Mac Pherson była w kościele?

— Nie wiem. — „To przynajmniej jest prawdą”, pomyślał Tadzio.

— Czy ogłoszono jakieś zapowiedzi?

— Nie wiem — odparł Tadzio drżąc.

— Powinieneś wiedzieć. Musisz więcej uważać w kościele. O czym kazał pan Harvey?

Tadzio lknął potężnie wody i bezczelnie zacytował tekst, który był przedmiotem kazania przed kilku tygodniami. Na szczęście pani Linde przestała go wypytywać, ale Tadziovi obiad niezbyt tego dnia smakował. Nie jadł prawie nic.

— Co tobie? — zapytała zdziwiona pani Linde. — Czy jesteś chory?

— Nie — mruknął Tadzio.

— Wyglądasz blade. Powinieneś nie wychodzić dzisiaj po południu na słońce.

— Czy wiesz, ile kłamstw powiedziałeś pani Linde? — zapytała Tola z wyrzutem, gdy tylko po obiedzie pozostali sami.

Tadzio wpadł we wściekłość.

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — zawołał. — Stul lepiej buzię, Teodoro Keith!

Potem udał się Tadzio w samotne miejsce za stosem drzewa, aby się zastanowić nad złymi drogami życia.

Zielone Wzgórze spowite było w mrok i ciszę, gdy Ania powróciła do domu. Natychmiast położyła się do łóżka, gdyż była bardzo zmęczona i senna. Zaledwie przyłożyła głowę do poduszek, zapadła zaraz w półsen. Ale w tej chwili drzwi uchyliły się, a lękliwy głos szepnął:

— Aniu...

Ania usiadła zaspana.

— Tadzio, to ty? Co się stało?

Biała ubrana postać przebiegła przez pokój i przypadła do jej łóżka.

— Aniu — załkał Tadzio, otaczając jej szyję ramionami. — Tak się cieszę, że wróciłaś do domu! Nie mogłem zasnąć, aż tego komuś nie powiem.

— Co powiesz?

— Jak źle się czuję!

— Dlaczego się czujesz źle, kochanie?

— Bo byłem dzisiaj tak zły, Aniu, o byłem strasznie zły, gorszy niż kiedykolwiek!

— Co zrobiłeś?

— O, boję się powiedzieć ci tego! Nigdy mnie już nie będziesz kochała, Aniu... Nie mogłem się dzisiaj modlić. Nie mogłem powiedzieć Panu Bogu, co uczyniłem. Wstydzilem się, że On będzie to wiedział.

— A On o tym i tak wie, Tadzio.

— Tola też tak powiedziała. Ale pomyślałem sobie, że może tego akurat nie zauważył. Chciałbym jednak tobie to pierw powiedzieć.

— A cóż takiego zrobiłeś?

Jednym potokiem wypłynęło z Tadzia wszystko.

— Nie poszedłem do kościoła i łowiłem ryby z Cottonami, i powiedziałem pani Linde tak wiele kłamstw, o, więcej niż pół tuzina, i... i... kłamałem, Aniu... prawie pięknym przekleństwem... i bluźniłem imieniu Bożemu...

Nastąpiła cisza. Tadzio nie wiedział, co z sobą począć. Czyżby Ania była tak oburzona, że nigdy już nie będzie z nim rozmawiała?

— Aniu, co ty ze mną zrobisz? — szepnął.

— Nic, kochanie, sądzę, że jesteś już ukarany.

— Nie, nie ukarano mnie jeszcze. Nic mi nie zrobiono.

— Czuleś się bardzo nieszczęśliwy, gdy popełniłeś te złe czyny, prawda?

— O, tak! — zawołał Tadzio z naciskiem.

— I właśnie sumienie się ukarało!

— Co to jest sumienie? Muszę to wiedzieć.

— Jest to coś w tobie, Tadzio, co ci zawsze mówi, czy postępujesz słusznie, i co cię czyni nieszczęśliwym, gdy trwasz w złym postępowaniu. Czy tego nie zauważyłeś?

— Tak, ale nie wiedziałem, co to jest. Wolałbym nie mieć sumienia. Byłoby mi o wiele lepiej. Gdzie jest moje sumienie, Aniu? Muszę to wiedzieć. Czy w brzuchu?

— Nie, w duszy — odpowiedziała Ania, rada, że było ciemno, gdyż w poważnych sprawach trzeba zachować powagę.

— Zdaje mi się, że nie zdołam się go pozbyć — rzekł Tadzio z westchnieniem. — Czy powiesz to Maryli i pani Linde, Aniu?

— Nie, kochanie, nikomu o tym nie wspomnę. Żałujesz, że byłeś niegrzeczny, prawda?

— O, tak!

— I nigdy już nie będziesz taki niedobry?

— Nie, ale... — dodał Tadzio ostrożnie — mogę być znowu zły w inny sposób.

— Nigdy już nie będziesz mówił brzydkich słów, ani uciekał w niedzielę z kościoła, ani kłamał dla zatajenia swoich występków, prawda?

— Nie, to się nie opłaci — rzekł Tadzio.

— No, dobrze, Tadzio, powiedz teraz Panu Bogu, że żałujesz, i prosź Go o przebaczenie.

— Czy ty mi wybaczyłeś, Aniu?

— Tak, kochanie.

— W takim razie... — rzekł Tadzio radośnie — wszystko mi jedno, czy Pan Bóg mi przebaczy, czy nie!

— Tadzio!

— O... będę Go prosił... będę Go prosił... — rzekł Tadzio szybko, czując z tonu Ani, że musiał znowu powiedzieć coś okropnego. — Nie mam nic przeciwko temu, żeby Go prosić. Drogi Boże, żal mi bardzo, że byłem dzisiaj taki niegrzeczny, i będę się starał być zawsze w niedzielę dobrym, i proszę, wybac mi! No, Aniu?

— Dobrze, a teraz pędź szybko do łóżka, jak grzeczny chłopiec.

— Doskonale! Wiesz, nie czuję się już teraz tak źle, czuję się o wiele lepiej! Dobranoc!

— Dobranoc!

Ania opadła znowu na poduszki, z westchnieniem ulgi. O, jaka była senna! Ale po sekundzie:

— Aniu...

Tadzio stał znowu przy jej łóżku. Ania otworzyła oczy.

— Co się znowu stało, kochanie? — zapytała, starając się ukryć nutę zniecierpliwienia.

— Aniu, czy zauważyłaś kiedy, jak pan Harrison pluje? Czy myślisz, że gdybym się długo ćwiczył, potrafiłbym pluć tak jak on?

Ania usiadła na łóżku.

— Tadeusz Keith — rzekła — ruszaj natychmiast do łóżka i zaśnij zaraz! Idź!

Tadzio poszedł i posłusznie spełnił rozkaz.

## ROZDZIAŁ XIV. WIECZNE ROZSTANIE

Ania siedziała z Ruby w ogrodzie Gillisów; dzień przeminął powoli. Było gorące, parne południe letnie. Teraz zbliżał się wieczór.

Ania odmówiła przejażdżki przy świetle księżycy na wybrzeże w Białych Piaskach, aby móc spędzić wieczór z Ruby Gillis. Wiele wieczorów tego lata spędziła w ten sposób, chociaż często zastanawiała się, czy przyniesie to komu korzyść, i nieraz wracała do domu z postanowieniem niechodzenia więcej do Ruby.

W miarę przemijania lata Ruby stawała się coraz bledsza; ze szkoły w Białych Piaskach chwilowo zrezygnowała, gdyż „ojciec jej był zdania, że lepiej, aby zaczęła pracę dopiero od Nowego Roku” — a ulubione robótki często wypadły jej z rąk, które już były zbyt zmęczone. Zawsze jednak była wesoła, pełna nadziei, zawsze szczebiotała i opowiadała o swoich adoratorach, o ich rywalizacji i zmartwieniach. I to właśnie tak bardzo utrudniało Ani te odwiedziny. Co było niegdyś naiwne i zabawne, stało się teraz okrutne — śmierć przeglądała przez uporczywą maskę życia. Ale Ruby przywiązywała się do niej coraz silniej i nigdy jej nie pozwalała odejść, aż jej nie przyrzekła, że niedługo przyjdzie znowu. Pani Linde zrzędziła na częste wizyty Ani i przepowiadała, że zarazi się ona suchotami. Nawet Maryla nie była z tego zadowolona.

— Ilekroć idziesz do Ruby, wracasz do domu zmęczona — mówiła.

— Takie to smutne i tragiczne — odpowiedziała Ania łagodnie. — A jednak czuję, że Ruby potrzebuje pomocy, że jej łaknie. A ja chcę jej tę pomoc okazać i nie umiem. Przez cały czas, gdy jestem z nią, mam wrażenie, jakbym obserwowała walkę z niewidzialnym wrogiem. To jest powód mego zmęczenia, gdy wracam do domu.

Ale tego wieczora nie doznawała Ania tego uczucia. Ruby była dziwnie spokojna. Nie powiedziała ani słowa o zabawach, wycieczkach, strojach i chłopcach. Leżała w hamaku z nietkniętą robótką z boku, otulona w biały szal.

Za domem Gillisów znajdował się kościół ze starym cmentarzem. Światło księżycy padało na białe nagrobki.

— Jak poważnie wygląda cmentarz w świetle księżycy — rzekła nagle Ruby. — Jak upiornie! — wzdrygnęła się. — Aniu, niedługo już będę tam leżała. Ty i Diana, i wszyscy inni będziecie chodzili po świecie, pełni życia, a ja będę leżała tam, na starym cmentarzu, martwa.

Słowa te zmieszały Anię. Przez chwilę niezdolna była odpowiedzieć.

— Wiesz, że tak jest, prawda? — rzekła Ruby.

— Tak, wiem — odpowiedziała Ania cicho. — Kochana Ruby, wiem.

— Każdy o tym wie — rzekła Ruby gorzko. — Ja wiem także — wiedziałam o tym przez całe lato, chociaż nie chciałam tego przyznać — i... o, Aniu... — wyciągnęła rękę i z błaganiem uchwyciła rękę Ani — ...ja nie chcę umierać! *Boję się umierać!*

— Dlaczego boisz się umierać? — zapytała Ania spokojnie.

— Bo... bo... o... nie boję się, że się nie dostanę do nieba, Aniu. Należę do kościoła... Ale... to będzie takie inne... Myślę i myślę o tym, i tak mnie to przeraża i... i... tak mi tęskno! Niebo musi być oczywiście bardzo piękne, biblia mówi o tym — ale, Aniu, *nie będzie to to, do czego jestem przyzwyczajona!*

Ania przypomniawszy sobie zabawną historię, którą słyszała od Filipy Gordon, historię pewnego starego człowieka, który mniej więcej te same rzeczy opowiadał o świecie, który ma przyjść. Wówczas wydawało się jej to komiczne. Przypomniawszy sobie, jak ona i Priscilla śmiały się z tego. Teraz nie widziała w tym nic śmiesznego, gdy słowa te padały z warg Ruby. Było to posępne i tragiczne, i *prawdziwe!* Niebo nie mogło być tym, do czego Ruby była przyzwyczajona. W jej wesołym, beztroskim życiu, w jej płytkich ideałach nie było nic, co zawierać mogłoby przyszłe życie. Ania bezradnie zastanawiała się, co mogłaby jej powiedzieć, aby jej ulżyć. Czy mogła coś takiego powiedzieć?

— Zdaje mi się, Ruby — zaczęła z wahaniem — zdaje mi się, że może mylimy się bardzo co do nieba — czym ono jest i co dla nas oznacza. Nie sądzę, aby mogło być tak odmienne od życia, jak przypuszcza większość ludzi. Mam wrażenie, że będziemy tam nadal żyli tak, jak żyjemy tutaj, i że zostaniemy zupełnie tacy sami — tylko że łatwiej będzie nam być dobrymi i naśladować Najwyższego. Nie lękaj się, Ruby!

— Nie mogę — rzekła Ruby boleśnie. — Nawet jeżeli tak jest, jak mówisz — a nie możesz być tego pewna, może to być tylko twoje wrażenie — nawet jeżeli tak jest, to *jednak* niebo nie jest tym samym, co ziemia. *Nie może* być tym samym. Ja chcę żyć nadal

Strach, Śmierć, Wierzenia

*tutaj*. Jestem taka młoda, Aniu! Jeszcze nie użyłam życia. Tak ciężko walczyłam, żeby żyć — i nic mi to nie pomoże, muszę umrzeć — porzucić *wszystko*, na czym mi zależy.

Ania siedziała w silnym przygnębieniu. Nie mogła się zdobyć na pocieszające kłamstwa, wszystko, co mówiła Ruby, było okropną prawdą. *Musiła* porzucić wszystko, na czym jej zależało! Skarby jej znajdowały się tylko na ziemi. Żyła tylko dla drobnych spraw życia — dla spraw przemijających, zapominając o wielkich sprawach, trwających w wieczność.

Ruby uniosła się na ramieniu i wzniosła piękne, błękitne oczy ku opromienionemu światłem księżyca niebu.

— Chcę żyć... — rzekła drżącym głosem — chcę żyć jak inne dziewczęta, chcę... chcę wyjść za mąż, Aniu... i... i mieć małe dzieci... Wiesz przecież, Aniu, jak kochałam zawsze dzieci. Nikomu prócz ciebie nie mogłam tego powiedzieć. Wiem, że mnie rozumiesz... A poza tym — biedny Herbert. On mnie kocha i ja jego także kocham, Aniu. Inni byli dla mnie niczym, ale *on*... gdybym mogła żyć, byłabym jego żoną i czułabym się tak szczęśliwa! O, Aniu, jakie to straszne!

Ruby opadła z powrotem na poduszkę i załkała konwulsyjnie. Ania ze współczuciem ujęła jej rękę, co bardziej może pomogło Ruby, niż by to uczyniły urywane słowa, gdyż natychmiast uspokoiła się nieco, a łkanie ustało.

— Jestem zadowolona, że ci to powiedziałam, Aniu — szepnęła Ruby — pomogło mi to, że się wypowiedziałam. Przez całe lato nosiłam się z tym zamiarem — ilekroć przychodziłaś, chciałam z tobą o tym mówić — ale *nie mogłam*. Miałam wrażenie, że śmierć stałaby się nieodwołalna, gdybym mówiła z kimś o tym, że muszę umrzeć, albo gdyby ktoś o tym napomknął. Nie chciałam tego mówić, ani myśleć nawet o tym. W dzień, gdy otaczali mnie ludzie, nietrudno było nie myśleć o tym, ale w nocy, gdy nie mogłam spać, było to okropne, Aniu! Śmierć przychodziła i patrzała mi w twarz — byłam tak przerażona, że omal nie krzyczałam...

— Ale nie będziesz się tego więcej lękała, Ruby, prawda? Będziesz dzielna, będziesz wierzyła, że wszystko będzie dobrze!

— Spróbuję... pomyślę o tym, co mówiłaś, i spróbuję w to uwierzyć. A ty będziesz do mnie przychodziła, jak często tylko będziesz mogła, prawda, Aniu.

— Tak, moja kochana.

— To... to już niedługo potrwa, Aniu... Czuję to teraz z pewnością. A wolałabym mieć przy sobie ciebie, niż kogokolwiek innego. Zawsze najwięcej mi się podobałaś ze wszystkich dziewcząt, z którymi chodziłam do szkoły. Nigdy nie byłaś zazdrosna ani brutalna, jak niektóre z nich. Biedna Emilka White przysłała mnie wczoraj odwiedzić. Przypominasz sobie przecież, że Emilka i ja byłyśmy tak bliskimi przyjaciółkami przez trzy lata pobytu w szkole? A podczas koncertu szkolnego poróżniłyśmy się. Odtąd nigdy z sobą nie mówiłyśmy. Czy to nie było głupie? Teraz wydaje mi się to głupie, ale pogodziłyśmy się wczoraj. Emilka powiedziała, że od dawna już chciała się ze mną pogodzić, ale myślała, że ja nie chcę... Ja zaś nigdy się do niej pierwsza nie odezwałam, gdyż byłam przekonana, że ona nie będzie chciała ze mną mówić. Czy to nie dziwne, że ludzie nie rozumieją się wzajemnie, Aniu?

— Większość przykrości w życiu powstaje, jak sądzę, z tego właśnie, że się ludzie nie rozumieją — odpowiedziała Ania. — Muszę już pójść teraz, Ruby, jest już późno, nie powinnaś siedzieć tu już o chłodzie.

— Ale przyjdiesz do mnie znowu?

— Tak, przyjdę niedługo. A jeżeli mogę uczynić coś, aby ci pomóc, uczynię to chętnie.

— Wiem o tym, już mi pomogłaś. Nic nie jest dla mnie teraz tak straszne... Dobranoc, Aniu...

— Dobranoc, kochanie...

Ania wolnym krokiem szła w świetle księżycowym do domu. Wieczór ten zmienił coś w niej. Życie nabrało innego sensu, poważniejszego znaczenia. Na pozór pozostanie takie samo, ale głębiny zostały wstrząśnięte. Jej los musi być inny, niż los tego biednego motylka Ruby. Gdy stanie u kresu jednego życia, nie chce z lękiem cofnąć się przed czymś nowym — przed czymś, co nie odpowiadało jej zwykłym myślom, ideałom i dążeniom.

Śmierć, Obraz świata,  
Kondycja ludzka



Drobne sprawy życia, słodkie i doskonałe na swoim miejscu, nie powinny być celem życia: trzeba było szukać spraw najwyższych, życie nieba powinno się zacząć na ziemi.

Owo pożegnanie w ogrodzie było pożegnaniem na wieki. Ania nigdy już nie ujrzała Ruby. Następnego wieczora K. M. A. wydało bankiet pożegnalny na cześć Janki Andrews, która wyjeżdżała na Zachód, a podczas gdy lekkie nogi tańczyły, jasne oczy śmiały się, wesołe języczki gawędziły, uleciała ku niebu jedna duszyczka w Avonlea. Następnego dnia od domu do domu szła żalobna wieść, że Ruby Gillis umarła. Umarła we śnie, bez bólu i spokojnie, a na twarzy jej był uśmiech, jak gdyby śmierć przyszła przeprowadzić ją przez próg jako dobrotliwy przyjaciel, nie jako okrutny upiór, którego się lękała.

Po pogrzebie pani Linde powiedziała z naciskiem, że Ruby Gillis była najpiękniejszą zmarłą, jaką kiedykolwiek widziała. Przez wiele lat jeszcze wspomniano w Avonlea jej czar, gdy leżała biała odziana wśród białych kwiatów, które Ania rozsiała wokół niej. Ruby była zawsze piękna, ale piękność jej była ziemską, miała w sobie coś zuchwałego, jakby sama rzucała się widzowi w oczy, duch nigdy przez nią nie przeświecał, intelekt nigdy jej nie wysubtelniał. Śmierć odmieniła ją jednak i oczyściła, nadając rysom jej nowe delikatne linie i czyniąc to, co mogły dla Ruby sprawić życie i miłość, i wielkie troski, i głęboka kobiecość. Przez mgłę łez spoglądała Ania na towarzyszkę zabaw dziecięcych, mając wrażenie, że widzi twarz, jaką Bóg zamierzał dać Ruby.

Przed wyruszeniem konduktu pogrzebowego pani Gillis zawołała Anię do odosobnionego pokoju i podała jej małą paczuszkę.

— Chciałabym ci to dać — łkała. — Ruby byłaby rada, żebyś ty to miała. Jest to ostatnia rozpoczęta robótka. Nie ukończyła jej, igła tkwi jeszcze w miejscu, gdzie biedne jej palce wetknęły ją owego popołudnia przed jej śmiercią.

— Zawsze zostaje jakaś niedokończona robota — rzekła pani Linde ze łzami, gdy jej Ania o tym opowiedziała — ale zdaje mi się, że zawsze znajdzie się ktoś, kto ją dokończy.

— Jak trudno jest nam zrozumieć, że ktoś, kogośmy kochali, nie żyje — rzekła Ania, gdy powracała z Dianą do domu. — Ruby jest pierwszą z naszych koleżanek szkolnych, która nas na wieki opuściła. Wcześniej czy później, pójdziemy za nią wszystkie, jedna po drugiej.

— Tak... — szepnęła Diana.

Nie chciała o tym mówić. Woląaby omawiać szczegóły pogrzebu — wspaniałą, białą trumnę, na którą nalegała pani Gillis — „Gillisowie zawsze muszą robić wiele hałasu, nawet przy pogrzebie” — powiedziałyby pani Małgorzata Linde — smutną twarz Herberta Spencera, nietlumiony, histeryczny ból siostry Ruby — ale Ania nie chciała o tych rzeczach mówić.

— Ruby Gillis była wielką śmieszką — rzekł nagle Tadzio. — Czy w niebie będzie się też tyle śmiała, co w Avonlea, Aniu? Chciałbym to wiedzieć.

— Tak, myślę, że się będzie śmiała — rzekła Ania.

— O, Aniu — zaprotestowała Diana z nieco wymuszonym uśmiechem.

— Dlaczego nie, Diano? — rzekła Ania poważnie. — Czy sądzisz, że w niebie będziemy się śmiać?

— ...ja... ja... nie wiem — wybełkotała Diana. — Ale nie wydaje mi się to jednak zupełnie słuszne. Wiesz przecież, że w kościele tak trudno jest się śmiać.

— Ale niebo nie będzie zawsze takie jak kościół — rzekła Ania.

— Mam nadzieję — rzekł Tadzio z naciskiem. — Gdyby tak było, *ja* nie chciałbym się tam dostać. Kościół jest okropnie nudny. Mam jednak nadzieję, że nie tak prędko umrę. Spodziewam się, że dożyję stu lat, jak pan Tomasz Blewett z Białych Piasków. Powiada on, iż żyje tak długo dlatego, że zawsze dużo palił, a to zabija wszystkie bakterie. Czy i ja będę mógł niedługo zacząć palić, Aniu?

— Nie, Tadzio, spodziewam się, że nigdy nie będziesz palił.

— A co byś powiedziała, gdyby mnie bakterie zabiły? — zapytał Tadzio.

## ROZDZIAŁ XV. ROZWIANE MARZENIE

— Jeszcze tydzień tylko, a wracamy do Redmondu — rzekła Ania.

Czuła się szczęśliwa na myśl o nowej pracy, o powrocie do klasy i spotkaniu z przyjaciółmi redmondzkimi. Miłe marzenia snuły się też wokół „Ustronia Patty”.

Ale i lato było bardzo szczęśliwe: okres radosnego życia z gorącym słońcem i obłokami, okres rozkoszowania się zdrowymi rozrywkami, okres odnowienia i pogłębienia dawnych przyjaźni, słowem, okres, w którym nauczyła się żyć całą pełnią, pracować pilnie, bawić się serdecznie.

„Nie wszystkiego można się nauczyć w uniwersytecie”, myślała. „Życia trzeba się uczyć wszędzie”.

Ale niestety ostatni tydzień tych miłych wakacyj<sup>45</sup> został dla Ani zepsuty przez jedno z owych fatalnych wydarzeń, które są jak rozwiane marzenie.

— Czy napisałaś jeszcze jakieś opowiadania? — zapytał Harrison pewnego wieczora, gdy Ania była u nich na herbacie.

— Nie — odpowiedziała Ania nieco szorstko.

— Nie bierz mi za złe tego pytania. Pani Slonowa powiedziała mi niedawno, że do skrzynki pocztowej wrzucono przed miesiącem wielką kopertę, adresowaną do „Fabryki Pierwszorzędnego Proszku Do Pieczenia Rollinga” w Montrealu, a podejrzewa ona, że ktoś pragnie zdobyć nagrodę, jaką wyznaczono za najlepszą nowelkę, która by reklamowała ten proszek do pieczenia. Powiedziała, że koperta ta nie była adresowana twoim charakterem pisma, ale pomyślałem sobie, że może to jednak ty wysłałaś.

— Nie, to nie ja. Czytałam ogłoszenie o konkursie, ale nie przyszło mi nawet na myśl brać w nim udziału. Sądzę, że nie odpowiadałoby to zupełnie mojej godności pisać opowiadanie, któreby reklamowało proszek do pieczenia.

Ania mówiła tak wyniośle, nie przeczuwając nawet głębi poniżenia, jaka ją oczekiwiała. Tegoż wieczora na facjatkę jej wpadła Diana, rozpromieniona, z zarumienionymi policzkami, trzymając w ręku list.

— O, Aniu — list dla ciebie! Byłam na poczcie, więc przyniosłam ci go. Otwórz go szybko! Jeżeli zawiera on to, czego się spodziewam, oszaleję z radości.

Ania zmieszana się, otworzyła list i przebiegała oczyma napisaną na maszynie treść:

*Wielmożna Pani  
Anna Shirley  
Zielone Wzgórze,*

*Avonlea, Wyspa Ks. Edwarda*

Szanowna Pani!

Z przyjemnością donosimy Pani, że jej czarująca nowela „Pokuta Aweryli” otrzymała nagrodę w wysokości 25 dolarów, którą wyznaczaliśmy w swoim konkursie.

Jednocześnie załączamy czek na powyższą sumę. Postaramy się o przedruk noweli w kilku wybitnych pismach kanadyjskich i zamierzamy także wydać ją w postaci oddzielnej broszury i rozesłać naszym klientom.

Dziękując Pani uprzejmie za zainteresowanie, okazane dla naszej imprezy, pozostajemy

z głębokim poważaniem

*Fabryka Pierwszorzędnego Proszku Do Pieczenia Rollinga*

— Nic nie rozumiem! — rzekła Ania zmieszana. Diana klasnęła w rękę.

— O, wiedziałam, że dostaniesz nagrodę. Byłam tego pewna! Ja posłałam twoją nowelę na konkurs, ja ją posłałam!

— Diano Barry!

— Tak, ja to zrobiłam — rzekła Diana rozpromieniona, rzucając się na łóżko. — Kiedy przeczytałam ogłoszenie, natychmiast pomyślałam o twojej noweli i początkowo chciałam cię prosić, żebyś ją posłała. Ale potem przyszło mi na myśl, że może nie zgodziłaś się. Miałaś za mało pewności siebie. Postanowiłam więc posłać odpis, który mi dałaś, nie wspominając ci o niczym. Gdybyś więc nie otrzymała nagrody, nie dowiedziałabyś się o tym i nie miałabyś żartowania, gdyż rękopisy nieprzyjęte miały nie być zwracane. Gdyby się zaś miało udać, doznałabyś tak radosnej niespodzianki!

<sup>45</sup>wakacyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

Diana nie mogła zrozumieć, że Ania nie okazywała takiej radości, jak ona sama. Nie spodzianka była — to nie ulegało wątpliwości — ale gdzie była radość?

— Aniu, zdaje mi się, że wcale nie jesteś tym ucieszona — zawołała Diana.

Ania zmusiła się do uśmiechu.

— Naturalnie, nie mogę się nie cieszyć twoim bezinteresownym pragnieniem zgotowania mi radości — rzekła wolno. — Ale wiesz przecież... jestem tak zmieszana... nie mogę sobie tego uświadomić... nie rozumiem tego... W noweli mojej nie było przecież ani słowa o... o... — Ania z trudnością wymówiła to słowo — o „proszku do pieczenia”!

— O, to już ja dodałam — rzekła Diana, odzyskując pewność siebie. — Bardzo to było łatwe, a doświadczenie z Klubu Powieściowego pomogło mi bardzo. Pamiętasz pewnie tę scenę, gdy Aweryła piecze ciasto? Dodałam więc w tym miejscu, że użyła do tego „pierwszorzędnego proszku do pieczenia Rollinga” i to było powodem, że ciasto tak świetnie się udało; a potem w ostatnim ustępie, gdy Parsywał ujmuje Aweryłę w ramiona i mówi: „Najdroższa, przyszłe lata przyniosą nam najpiękniejsze przeżycia, a w naszym Domu Marzeń” — dodałam: „w którym nigdy nie będziemy używali innego proszku do pieczenia jak Rollinga”.

— O — jęknęła biedna Ania, jakby ją obłano zimną wodą.

— I dostałaś te dwadzieścia pięć dolarów nagrody! — ciągnęła Diana z radością. — Słyszałam kiedyś od Priscilli, że „Kobieta Kanadyjska” płaci tylko pięć dolarów za nowelę!

Ania drżącymi palcami wyciągnęła ku niej nienawistny różowy czek. — Nie mogę go przyjąć, należy się on tobie, Dianio. Tyś posłała nowelę i ty przeprowadziłaś zmiany. Ja... ja na pewno bym jej nie posłała. Ty więc musisz otrzymać czek.

— Ładnie by to wyglądało! — rzekła Diana pogardliwie. — To, co ja uczyniłam, przyszło mi zupełnie bez trudności. Zaszczyt przyjaźni z laureatką wystarcza mi zupełnie. Ale muszę już iść. Właściwie miałam prosto z poczty wrócić do domu, gdyż mamy gości. Ale musiałam wstąpić do ciebie, aby się dowiedzieć nowiny, zawartej w liście. *Tak się cieszę!* Ze względu na ciebie, Aniu!

Ania pochyliła się nagle, otoczyła Dianę ramionami i ucałowała jej policzki.

— Jesteś najśłodszą i najwierniejszą przyjaciółką na świecie, Dianio — rzekła z drżeniem w głosie — i zapewniam cię, że oceniam motywy tego, co uczyniłaś.

Diana odeszła, uradowana i zmieszana, a biedna Ania, rzuciwszy niewinny czek do szuflady biureczka, jakby miał on na sobie ślady krwi, padła na łóżko i zapłakała łzami hańby i rozpaczy. O, nigdy tego nie przeboleje, nigdy!

O zmroku nadszedł Gilbert, rozplywając się w powinszowaniach, gdyż dowiedział się już od Diany o nowinie. Ale gratulacje zamarły mu na wargach, gdy ujrzął twarz Ani.

— Aniu, co ci się stało? Spodziewałem się, iż zastanę cię promieniejącą z radości, że otrzymałaś nagrodę. No, patrzcie państwo!

— O, Gilberte, nie ty! — błagała Ania tonem, jakby mówiła: *Et tu Brute!*<sup>46</sup> — Myślałam, że ty mnie zrozumiesz! Czyż nie pojmujesz, jakie to straszne?

— Przyszna, że nie. Co tu jest straszne?

— Wszystko — jęknęła Ania. — Czuję się, jakbym była pohańbiona na wieki. Jak sądzisz, co czułaby matka, gdyby ujrziała dziecko swoje, utatuowane<sup>47</sup> całe ogłoszeniami proszku do pieczenia? Czuję się właśnie tak! Kochałam swoją małą nowelę i włożyłam w nią, co było we mnie najlepszego. A *profanacją* jest zdegradować ją do roli środka reklamowego. Czy nie pamiętasz, jak mawiał profesor Hamilton na lekcjach literatury w naszym seminarium? Powiadał, że nigdy nie powinniśmy pisać ani słowa z niskich i niegodnych motywów i zawsze trzymać się powinniśmy najszczytniejszych ideałów. Co sobie pomyśli, gdy się dowie, że napisałam nowelę, żeby reklamować „pierwszorzędny proszek Rollinga”? O, a gdy się to rozniesie w Redmondzie! Pomyśl tylko, jak będę wyszydzona!

Świątokradztwo

<sup>46</sup>*Et tu Brute* (łac.) — fragment zdania *Et tu, Brute, contra me!* (I ty, Brutusie, przeciwko mnie!), które miał wypowiedzieć Juliusz Cezar (100–44 p.n.e.), zaatakowany w Senacie rzymskim przez zamachowców. Marcus Junius Brutus młodszy (85–42 p.n.e.) był rzymskim politykiem, cieszył się zaufaniem Cezara, ale przystąpił do spisku, który został zawiązany, aby powstrzymać Cezara przed sięgnięciem po władzę absolutną. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*utatuowany* — dziś popr.: wytatuowany. [przypis edytorski]

— To się nie stanie — rzekł Gilbert. — Redmondczycy będą myśleli tak samo, jak ja, że ty, podobnie jak dziewięć dziesiątych z nas niezbyt obciążona bogactwami ziemskimi, chwyciłaś się tego środka, aby podreperować swoją kasę. Nie widzę w tym nic niskiego lub niegodnego, a tym bardziej nic śmiesznego. Niewątpliwie chętniej by się pisywało arcydzieło literatury, ale chwilowo trzeba opłacać pensjonat i czesne!

Ten zdrowy, rzeczowy pogląd poprawił nieco humor Ani. A przynajmniej uwolnił ją od obawy, że zostanie wyśmiana. Ale głęboka rana dotkniętego ideału pozostała.

## ROZDZIAŁ XVI. NOWA ZAŻYŁOŚĆ

— Jest to najmiłszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam — rzekła Filipa Gordon. Zebrały się wszystkie o zmroku w wielkiej bawialni „Ustronia Patty” — Ania i Priscilla, Fila i Stella, ciotka Jakubina, Morusek, Józek, kot Magdy oraz Gog i Magog. Koty mruczały, a cienie ognia na kominku tańczyły po ścianach.

Od trzech tygodni mieszkaly w domu i wszystkim się już wydawało, że eksperyment udał się pomyślnie. Pierwsze dwa tygodnie minęły w radosnym podnieceniu. Dziewczęta zajęte były organizowaniem swego małego przedsięwzięcia.

Gdy nastąpiła chwila powrotu do uniwersytetu, Ania bez wielkiego żalu opuściła Avonlea. Ostatnie kilka dni jej wakacyj<sup>48</sup> nie były miłe. Jej nagrodzona nowela została przedrukowana w czasopiśmie wyspy, a pan William Blair miał na stole w sklepie duży stos różowych, zielonych i żółtych broszurek, które ją zawierały i które rozdawał swoim klientom. Z uprzejmości posłał też paczuszkę tych broszurek Ani, która natychmiast spaliła je w kuchni. Upokorzenie jej było tylko konsekwencją jej własnych ideałów, gdyż mieszkańcy Avonlea uważali za wspaniałe, że zdobyła nagrodę. Liczni jej przyjaciele spoglądali na nią ze szczerym podziwem; nieliczni wrogowie z pogardliwą zazdrością. Józia Pay oświadczyła, że Ania Shirley niewątpliwie „ściągnęła” tę nowelę. Była przekonana, że już ją przed kilku laty gdzieś czytała. Slonowie, którzy dowiedzieli się skądś czy odgadli, że Karol dostał „kosza”, twierdzili, że z nagrody tej nie można być zbyt dumnym, że każdy prawie mógłby ją zdobyć, gdyby tylko spróbował. Ciotka Atosa oznajmiła Ani, iż bardzo jej przykro dowiedzieć się, że wzięła się do pisania opowiadań. Kto się urodził i wychował w Avonlea, nigdy by tego nie uczynił. Takie były rezultaty, gdy się adoptowało sieroty Bóg wie skąd i po Bóg wie jakich rodzicach. Nawet pani Linde miała wątpliwości, czy słusznym było pisać zmyślane rzeczy, chociaż przejednał ją niemal zupełnie czek na 25 dolarów.

— Dziwne to rzeczywiście, jakie sumy płacą ludzie za kłamstwa — rzekła na wpół z dumą, na wpół surowo.

Ostatecznie doznała Ania ulgi, gdy nadeszła chwila odjazdu. Z radością powitała znowu dawnych przyjaciół w Redmondzie. Priscilla, Stella i Gilbert byli także; Karol Słone spoglądał jeszcze wynioślej, niż starsi studenci w zeszłym roku; Fila nie rozstrzygnęła dotąd kwestii Olesia i Alfonsa; przybył też Moody Spurgeon MacPherson. Matka jego zdecydowała, że najwyższy czas, aby porzucił nauczycielstwo i zaczął się przygotowywać do stanu duchownego. Biedny Moody nie miał szczęścia na początku swojej kariery uniwersyteckiej. Kilku „nowicjuszków”, którzy byli jego sąsiadami w pensjonacie, napadło go pewnego wieczora i ogoliło mu połowę głowy. W takiej postaci musiał biedny Moody chodzić, aż mu znowu podrosły włosy.

Ciotka Jakubina przybyła dopiero, gdy „Ustronie Patty” było gotowe na jej przyjęcie. Panna Patty przysłała Ani klucze z listem, w którym donosiła, że Gog i Magog zapakowani są do pudełka pod łóżkiem, ale można ich wyjąć, jeżeli dziewczęta będą chciały. W dopisku dodawała, iż spodziewa się, że dziewczęta będą ostrożne z rozwieszaniem obrazów i nie porobią w nowych tapetach więcej dziur, niż to będzie konieczne.

Z jaką radością zabrały się dziewczęta do upiększania swego gniazdka! Każda przewiozła coś, co miało do tego celu służyć. Mimo przestróg panny Patty porozwieszały jednak mnóstwo obrazków.

— Zalepimy dziury z powrotem, opuszczając dom — oświadczyły protestującej Ani.  
— Panna Patty nic nie zauważy.

<sup>48</sup>wakacyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

Ania dostała niebieski pokój, którego pragnęła od pierwszej chwili. Priscilla i Stella zajęły wielką sypialnię. Fila zadowolniła<sup>49</sup> się małym pokoikiem nad kuchnią, zaś ciotka Jakubina zajęła sypialnię na dole obok bawialni. Kot Morusek początkowo sypiał na schodach pod drzwiami.

Gdy w kilka dni po przyjeździe Ania wracała do domu z Redmondu, spostrzegła, że ludzie przyglądają się jej z ukrywanym uśmiechem. Ania doznała przykrego uczucia, nie wiedząc, o co idzie. Czy włożyła krzywo kapelusz? Czy rozluźnił się jej pasek? Gdy odwróciła głowę, aby zbadać przyczynę tego zjawiska, ujrzała po raz pierwszy Moruska. Tuż przy jej obcasach biegł za nią najbardziej opuszczony kotek, jakiego kiedykolwiek widziała. Zwierzątko wyrosło już z okresu dzieciństwa<sup>50</sup>. Było chude i niepozorne. Oko miało nabrzmiałe, a kolor sierści odpowiadał barwie, jaką osiągnęłoby się, gdyby się idealnie czarnego kota osmędziło<sup>51</sup> nad ogniem.

Ania chciała odegnąć kota, ale zwierzątko nie dało się spłoszyć. Kiedy stanęła, przysiadło na trotuarze, spoglądając na nią z wyrzutem jedynym zdrowym okiem. Gdy poszła dalej, kotek ruszył za nią. Ania musiała się zgodzić na jego towarzystwo, aż stanęła przed bramą „Ustronia Patty”. Potem zamknęła mu bramę przed nosem, sądząc, że widzi go po raz ostatni. Ale gdy po piętnastu minutach Fila otworzyła drzwi, kot siedział na schodkach. Co więcej, skoczył wprost do pokoju i z na wpół błagalnym, na wpół triumfalnym miauczeniem znalazł się na kolanach Ani.

— Aniu — zapytała Stella surowo — czy to twój kot?

— Nie, to nie mój — zaprotestowała Ania. — Szedł za mną z miasta do domu, nie mogłam się go pozbyć. Fe, wynoś się! Lubię przyzwoite koty, ale nie znoszę bestyj<sup>52</sup> o takim wyglądzie, jak ty!

Ale kizia nie miała zamiaru zeskoczyć z jej kolan. Zwinęła się na łonie dziewczynki i poczęła chrapać.

— Zaadoptował cię widocznie — zaśmiała się Priscilla.

— Nie chcę być adoptowana — rzekła Ania uparcie.

— Biedne stworzonko kona z głodu — rzekła Fila litościwie. — Kości niemal mu przebijają skórę.

— Możemy je obficie nakarmić, a potem niech sobie idzie, skąd przyszło! — rzekła Ania.

Nakarmiono kota i wypuszczono. Nazajutrz stał jeszcze na progu. Pozostał w tym miejscu, wskakując do mieszkania, ilekroć otworzono drzwi. Niechętne powitanie nie wywierało na nim najmniejszego wrażenia. Prócz Ani nie zwracał uwagi na nikogo. Dziewczęta karmiły go z litości, ale gdy minął tydzień, uradziły, że coś się musi stać. Wygląd kota poprawił się. Oko jego odzyskało normalny wygląd, nie był już tak chudy jak pierw i mył już sobie pyszczek.

— Mimo to wszystko nie możemy go zatrzymać — rzekła Stella. — Ciotka Jakubina przyjeżdża w przyszłym tygodniu i przywiezie kota Magdy. Nie możemy mieć dwóch kotów, a gdybyśmy to uczyniły, ten osmędzony<sup>53</sup> smoluch przez cały czas gryzłby się z kotem Magdy. Jest on wojowniczy z natury, wczoraj wieczorem stoczył regularną walkę z kotem króla tytoniowego i zmusił go do ucieczki kawalerią, piechotą i artylerią.

— Musimy się go pozbyć — przyznała Ania, ponuro spoglądając na przedmiot ich sporu, który mruczał na dywanie z miną niewinnego jagniątka. — Ale pytanie jak!

— Trzeba go zachloroformować<sup>54</sup>! — oświadczyła Fila. — Jest to najhumanitarniejszy sposób.

— Która z nas zna się na chloroformowaniu kotów? — zapytała Ania ponuro.

— Ja. To jeden z moich nielicznych talentów. Robiłam to w domu nieraz. Bierze się kota rano i daje mu się dobre śniadanie. Potem wsadza się go w worek i nakrywa drewnianym pudełkiem. Następnie bierze się flaszeczkę z dwiema uncjami chloroformu,

<sup>49</sup>zadowolnić się — dziś popr.: zadowolić się. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>dzieciństwo (daw.) — dzieciństwo. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>osmędzić (daw.) — przypalić, osmalić. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>bestyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: bestii. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>osmędzony (daw.) — przypalony, osmalony. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>zachloroformować — otruć chloroformem, używanym jako rozpuszczalnik silnie trującym płynem o wzorze chemicznym  $CHCl_3$ . [przypis edytorski]

wyjmuje się korek i wsuwa się ją pod pudełko. Na wieko pudełka kładzie się ciężarek i zostawia się to tak do wieczora. Kot zdechnie spokojnie, zwinięty, jakby spał. Bez bólu, bez walki.

— Brzmi to łatwo — rzekła Ania z powątpiewaniem.

— *I jest* łatwe. Pozostaw to mnie. Już ja to załatwię — rzekła Fila z pewnością siebie.

Kupiono więc chloroformu i następnego ranka zwabiono Moruska na stracenie. Kot zjadł śniadanie, wylizał talerz po kotlecie i wpełznął na kolana Ani. Serce Ani nie dopisało. Uczuła, że pokochała to biedne stworzenie. Jak mogła wziąć udział w jego straceniu?

— Masz, bierz go — rzekła szybko do Fili. — Czuję się jak morderczyni.

— Nie będzie cierpiał — pocieszyła ją Fila, ale Ania uciekła.

Złowieszczy czyn spełniony został w korytarzu kuchennym. Nikt się tam tego dnia nie zbliżał. Ale o zmroku Fila oznajmiła, że trzeba Moruska pochować.

— Prissy i Stella muszą wykopać dół w ogrodzie — zawyrokowała Fila — a Ania niech pójdzie ze mną podnieść pudełko. Tej części zadania ja nigdy znieść nie mogę.

Dwie sprzysiężone z niechęcią ruszyły na palcach do tylnego korytarza. Fila uniosła kamień, który położyły na pudełku. Nagle rozległo się słabe miauczenie.

— On żyje! — jęknęła Ania, siadając blada na progu kuchni.

— To niemożliwe!

Drugie słabe miauczenie dowiodło, że Fila nie miała racji. Dziewczęta spojrzały po sobie.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Ania.

— Dlaczego nie idziecie? — zawołał Stella, zjawiając się w bramie. — Grób jest już gotowy.

— Głosy śmierci brzmią jeszcze! — odpowiedziała Ania uroczyście, wskazując na pudełko.

Salwa śmiechu przerwała napięcie.

— Musimy go tu zostawić do rana — rzekła Fila, odkładając kamień na miejsce. Od pięciu minut nie miauczał już. Może miauczenie, któreśmy słyszały, było jego jękiem śmiertelnym. A może to było tylko nasze złudzenie, wywołane wyrzutami sumienia!

Ale gdy następnego ranka podniesiono pudełko, Morusek jednym susem skoczył na ramię Ani, gdzie z miłością zaczął lizać jej twarz. Żaden kot nie był bardziej żywy!

— W pudełku była dziura — jęknęła Fila. — Nie zauważyłam jej pierw. To jest powodem, że kot nie zdechł. Musimy teraz zacząć wszystko na nowo.

— Nie, nie zrobimy tego! — oświadczyła nagle Ania. — Nie zabijemy już Moruska! To mój kot i ja go biorę pod swoją opiekę.

— No dobrze, jeżeli zdołasz go pogodzić z ciotką Jakubiną i kotem Magdy — rzekła Stella z miną człowieka, który umywa od wszystkiego ręce.

Od tego czasu Morusek należał do rodziny. Sypiał na brudnej poduszce w tylnym korytarzu i odżywał się doskonale. Zanim przybyła ciotka Jakubina, przytył i nabrał pewności siebie. Ale jak kot Kiplinga, chadzał zawsze własnymi drogami. Każdy kot był jego nieprzyjacielem i on był nieprzyjacielem każdego kota. Stopniowo pokonał wszystkie arystokratyczne koty w alei Spofforda. Co do ludzi, to kochał tylko Anię. Nikt nie ważył się nawet pogłaskać go.

— Mina tego kota jest nieznośna! — oświadczyła Stella.

— Morusek jest pięknym kotkiem — zaoponowała Ania, ściskając swego ulubieńca.

— Ciekawam tylko, jak on się pogodzi z kotem Magdy — rzekła Stella pesymistycznie. — Walka kotów tu w pokoju jest przecież nie do pomyślenia.

W oznaczonym czasie przybyła ciotka Jakubina. Ania, Priscilla i Fila oczekiwały jej przybycia z niejakim uprzedzeniem, ale gdy ciotka Jakubina zasiadła na tronie w bujaku przed otwartym kominkiem, wszystkie otoczyły ją z ubóstwieniem.

Ciotka Jakubina była niską starą kobieciną o małej, lekko trójkątnej twarzy i wielkich niebieskich oczach, promieniejących niezniszczalną młodością i pełnych nadziei, jak oczy dziewczęcia. Miała różowe policzki i śnieżnobiałe włosy, zaczesane na uszy.

— Staroświecka to robótka — rzekła, poruszając szybko igłami — ale i ja jestem staroświecką kobietą. Takie same są też moje poglądy. Nie twierdzę, że takie poglądy są najlepsze. Przeciwnie, muszę przyznać, że są o wiele gorsze, ale były wygodne i miłe. Nowe buciki są zgrabniejsze od starych, ale stare są wygodniejsze. Jestem dość stara,

aby sobie pofolgować w kwestii obuwia i poglądów. Spodziewacie się chyba, że będę was chciała krótko trzymać. Ale tak nie będzie. Jesteście dość dorosłe, żeby wiedzieć, jak się macie zachować. Co do mnie — zakończyła ciotka Jakubina, mrugając oczyma — możecie wszystkie na swój sposób dążyć do zguby.

— O, czyż ktoś zdoła rozdzielić te koty! — jęknęła Stella ze zgrozą.

Ciotka Jakubina przywiozła z sobą nie tylko kota Magdy, ale i Józka. Józek należał do jednej z jej przyjaciółek, która wyprowadziła się na wyspę Vancouver.

— Nie mogła zabrać z sobą Józka, więc prosiła mnie, żebym go wzięła. Nie mogłam jej odmówić. Ładny to kot, to znaczy, że ma piękne usposobienie. Nazwała go Józefem, ponieważ ma pstrą szatę.<sup>55</sup>

Józek był rzeczywiście pstry. Trudno było określić jego zasadniczą maść. Nogi miał białe, czarno nakrapiane, grzbiet szary z wielką żółtą plamą z jednej strony i czarną z drugiej, ogon żółty z czarnym koniuszkiem, jedno ucho czarne, drugie żółte. Czarna łata na jednym oku nadawała mu przeraźliwy wygląd. W istocie był słaby i niebezpieczny, usposobiony bardzo towarzysko. Pod jednym względem — jeśli nie pod innymi — był Józek jak lilia w polu: nie zadawał sobie trudu, aby łapać myszy. Nawet Salomon w swym przepychu nie sypiał na bardziej miękkich poduszkach i nie oblizywał się smaczniej przy tłustych kąskach.

Józek i kot Magdy przybyli pociągiem w specjalnym pudełku. Gdy ich wypuszczono i nakarmiono, Józek wybrał sobie poduszkę w kącie, która najbardziej mu odpowiadała, zaś kot Magdy zasiadł poważnie przed ogniem i począł myć sobie pyszczek. Był to wielki, leniwy, szarobiały kot, niezmiernie majestatyczny, nie noszący najmniejszych śladów swego plebejskiego pochodzenia. Ciotka Jakubina otrzymała go od praczki.

— Na imię jej było Magda, więc mąż mój nazywał kota stale „kotem Magdy” — wyjaśniła ciotka Jakubina. — Ma już osiem lat i świetnie łapie myszy. Nie martw się, Stello. Kot Magdy nie walczy nigdy, a Józek bardzo rzadko.

— Tutaj będą musiały walczyć we własnej obronie — rzekła Stella.

W tej chwili Morusek zjawił się na widowni. Skoczył wesoło do pokoju i nagle spostrzegł intruzów. Zatrzymał się, ogon jego wyprężył się do rozmiarów trzech ogonów. Sierść na grzbiecie zjeżyła mu się. Opuścił głowę, wydał straszliwy dźwięk nienawiści i wyzwania i rzucił się na kota Magdy.

Majestatyczne zwierzę przestało myć sobie pyszczek i spojrzało nań z zaciekawieniem. Atak jego przyjął pogardliwym uderzeniem potężnej łapy. Morusek potoczył się po dywanie. Stropiony podniósł się znowu. Co to był za kot, który go tak klapsnął? Nieufnie spojrzął na kota Magdy. Zacząć znowu czy nie? Kot Magdy odwrócił się do niego tyłem i podjął znowu swoje zabiegi toaletowe. Morusek zdecydował się nie zaczynać na nowo. I nigdy już tego nie próbował. Od tej chwili kot Magdy panował na miejscu przed kominkiem. Morusek nigdy się już z nim nie stykał.

Ale oto Józek usiadł i ziewnął. Morusek, który płonął żądzą pomszczenia swojej porażki, skoczył na niego. Józek, usposobiony z natury pokojowo, potrafił w potrzebie dobrze walczyć. Rezultatem była seria długotrwałych potyczek. Codziennie, gdy tylko się ujrzeni, Morusek i Józek rozpoczynali walkę. Ania stała po stronie Moruska i nienawidziła Józka. Stella była w rozpacz. Zaś ciotka Jakubina śmiała się tylko.

— Niech się biją — mawiała wyrozumiale — po pewnym czasie zawrą przyjaźń. Józkowi trzeba trochę ruchu, zanadto już tył. A Morusek niech się nauczy, że nie jest jedynym kotem na świecie.

Ostatecznie Józek i Morusek pogodzili się z sytuacją i z nieprzejednanych wrogów stali się nierozłącznymi przyjaciółmi. Sypiali na tej samej poduszce, obejmując się łapkami, i wzajemnie myli sobie pyszczki.

— Przyzwyczaiłyśmy się wzajemnie do siebie — rzekła Fila — a ja nauczyłam się zmywać naczynia i zamiatać podłogę.

— Ale nie chciej nas znowu przekonywać, że umiesz zachloroformować kota — zaśmiała się Ania.

— To była wina dziury w pudełku — zaprotestowała Fila.

<sup>55</sup>Nazwała go Józefem, ponieważ ma pstrą szatę — Józef był ulubionym synem biblijnego patriarchy Jakuba, bracia zazdrościli mu, że ojciec go faworyzuje, czego widoczny znak stanowiła piękna, wielokolorowa szata, prezent od ojca (Rdz 37, 3). [przypis edytorski]

— Dobrze się stało, że w pudełku była dziura — rzekła Jakubina nieco surowo. — Kocięta powinno się topić, to przyznaję, gdyż inaczej świat byłby zasypany kotami. Ale przyzwoitego, dorosłego kota nie powinno się zabijać. Chyba, że wypija jajka.

— Nie uważałabys Moruska za przyzwoitego kota, gdybyś go widziała, gdy przyszedł do nas — rzekła Stella. — Wyglądał po prostu jak diabeł.

— Nie sądzę, aby diabeł był aż tak brzydki — rzekła ciotka Jakubina w zamyśleniu. — Nie wyrządzałby tyle szkody, gdyby był brzydki. Ja go sobie wyobrażam zawsze jako dość przystojnego eleganta.

## ROZDZIAŁ XVII. LIST OD TADZIA

— Zaczyna padać śnieg — rzekła Fila, wracając do domu pewnego wieczora listopadowego. — Po całej ścieżce ogrodowej rozsiane są czarowne małe gwiazdki. Nigdy dotąd nie spostrzegłam, jakie przepiękne są właściwie te płatki śnieżne. Przy prymitywnym życiu ma się czas na takie spostrzeżenia. Bądźcie błogosławione, żeście mi pozwoliły prowadzić takie życie. Wspaniała to istotnie rzecz martwić się tym, że masło zdrożało o pięć centów na funcie.

— Czy rzeczywiście zdrożało? — zapytała Stella, która prowadziła rachunki gospodarskie.

— Owszem, a oto twoje masło. Jestem już zupełnie biegła w zakupach. Uważam to za miłą zabawę niż flirt — zakończyła Fila poważnie.

— Wszystko skandalicznie drożeje — westchnęła Stella.

— To nic. Dzięki Bogu radość i zbawienie są jeszcze bezpłatne — wtrąciła ciotka Jakubina.

— I śmiech również — dodała Ania. — Dotychczas nie ma na niego jeszcze taksy, i to jest dobrze, gdyż za chwilę będziecie się wszystkie śmiały. Przeczytam wam list Tadzia. Ortografia jego w ostatnim roku bardzo się poprawiła, chociaż nie jest jeszcze idealna w pisaniu łącznie i rozłącznie. Ale niewątpliwie posiada Tadzio dar pisania zajmujących listów. Słuchajcie i śmieście się, zanim zasiądziemy do wieczornego wkuwania.

Kochana Aniu (brzmiał list Tadzia),<sup>56</sup>

Ujmuję pióro, żeby Ci napisać, że wszyscy jesteście zdrowi, czego się i codo Ciebie spodziewamy. Trochę dzisiaj pada, a Maryla powiada, że to Pani Zima wytrząsa pierzynę. Czy Pani Zima jest żoną Pana Boga, Aniu? Muszę to wiedzieć.

Pani Linde była rzeczywiście chora, ale już się czuje lepiej. Wszelkim tygodniu spadła ze schodów do piwnicy. Upadając starała się zatrzymać i chwyciła deskę ze szkopkami od mleka i garnkami, deska ustąpiła i zleciała na nią. Maryla myślała najpierw, że to jest trzęsienie ziemi. Jeden szkopek uderzył ją w żebra. Przyszedł lekarz i zapisał jej lekarstwo do smarowania, ale ona go niezrozumiała i wypila to wszystko. Lekarz powiedział, że cud, że nieumarła odtego, ale nieumarła i wyleczyła sobie żebra; po tem pani Linde powiedziała, że lekarze na niczem się nie znają. Ale jedna foremka do pieczenia zepsuła się zupełnie i Maryla musiała ją wyrzucić. Wszelkim tygodniu było święto Dziękczynienia. Do szkoły nie poszliśmy i mieliśmy wspaniały obiad. Jadłem pasztet i pieczonego indyka i placek z owocami i orzechy i ser i szynkę i placek czekoladowy. Maryla powiedziała, że umrę, ale nieumarłam. Tola miała po tem rwanie uszu, ale to niebyło w uszach, tylko w brzuchu. Ja nigdzie nie miałem rwania uszu.

Teraz mamy nauczyciela, nie nauczycielkę. Bardzo jest wesoły. Wszelkim tygodniu kazał nam chłopcom z trzeciej klasy napisać ćwiczenie otem, jaką chcielibyśmy mieć żonę, a dziewczynkom, jakiego by chciały mieć męża. Jak czytał te ćwiczenia, o mało niepęknał ześmiechu. Moje ćwiczenie było takie:

JAKĄ ŻONĘ CHCIAŁBYM MIEĆ.

<sup>56</sup>list *Tadzia* — list Tadzia (fragment do końca niniejszego rozdziału) zawiera liczne błędy pisowni, będące elementem stylizacji tekstu. [przypis edytorski]



Musią być mieć dobre maniery i naczas przygotowywać mi jedzenie i robić wszystko, co jej każę i zawsze być dla mnie bardzo grzeczną. Musi mieć piętnaście lat. Musi być dobra dla biednych i utrzymywać dom czysto. Musi mieć dobry charakter i chodzić regularnie do kościoła. Musi być bardzo ładna i mieć loczki. Jeżeli dostanę taką żonę, jaką bym ja chciał, będę dla niej bardzo dobrym mężem. Moim zdaniem kobieta powinna być bardzo dobra dla swego męża. Nie które biedne kobiety niemają mężów.

KONIEC.

Byłem w zeszłym tygodniu w Białych Piaskach na pogrzebie pani Wrightowej. Mąż trupa był bardzo zmartwiony. Pani Linde mówi, że dziadek pani Wrightowej kradł owoce, ale Maryla mówi, że niepowinniśmy mówić źle o umarłych. Dla czego niepowinniśmy, Aniu? Muszę to wiedzieć. Przecież to zupełnie bezpieczne, prawda?

Pani Linde była ostatnio strasznie wściekła, bo się spytałem, czy żyła za czasów Noego. Nie chciałem jej wcale obrazić, po prostu chciałem to wiedzieć. Czy ona wtedy żyła, Aniu?

Pan Harrison chciał się pozbyć swego psa, więc go od razu powiesił, ale on odżył i uciekł do stodoły, gdy pan Harrison już kopał jego grób. Więc musiał go powiesić jeszcze raz i tym razem już został martwym. Pan Harrison ma nowego parobka. Jest bardzo nie mrawy. Pan Harrison mówi, że jest mańkutem na obie nogi. Parobek pana Barry jest leniwy. Tak mówi pani Barry, ale pan Barry mówi, że on niejest leniwy, ale woli prosić o coś niż zarobić nato.

Nagrodzona Świnia pani Harmonowej Andrews, o której tyle mówiła, zdechła na udar. Pani Linde powiedziała, że to kara za jej dumę. Ale ja myślę, że to była raczej kara dla świni. Emilek Boulter był chory. Doktor dał mu lekarstwo, które miało okropny smak. Podjąłem się za pięć centów wziąć to lekarstwo, ale Boulterowie są tacy ordynarni. Emilek mówi, że woli je sam wziąć i zaoszczędzić sobie pieniędzy. Zapytałem panią Boulter, jak się poluje na męża, ale ona strasznie się rozzłościła i powiedziała, że niewie, bo nigdy niepolowała na męża.

K. M. A. znowu maluje Dom Ludowy. Już im się znudziło, że jest niebieski.

Nowy pastor był u nas wczoraj wieczorem na herbacie. Zjadł trzy kawałki pasztetu. Że bym ja to zrobił, pani Linde nazwała by mnie żarłokiem. I jadł bardzo prędko, wielkimi kęsami, a Maryla mówi mi zawsze, że bym tego nierobił. Dla czego duchownym wolno robić to, czego chłopcom nie wolno? Muszę to wiedzieć.

Po zatem nie mam nowin. Tutaj jest sześć pocałunków. xxxxxx. Tola zasyła jeden, oto jest. x.

*Twój kochający Cię przyjaciel*

TADEUSZ KEITH

P. S. Aniu, kto był ojcem diabła? Muszę to wiedzieć.

## ROZDZIAŁ XVIII. PANNA JÓZEFINA PAMIĘTA O ANI<sup>57</sup>

Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, dziewczęta z „Ustronia Patty” rozjechały się do domów, ale ciotka Jakubina wolała pozostać w Kingsporcie.

— Nie mogę jechać gdzieś, gdzie mnie zaproszą, i zabrać ze sobą tych trzech kotów — rzekła. — A nie chcę opuszczać tych biednych istot na jakieś trzy tygodnie. Gdybyśmy

<sup>57</sup>Panna Józefina pamięta o Ani — w oryg. ang. *Miss Josephine Remembers the Anne-girl*: panna Józefina pamięta Anię jako dziecko. [przypis edytorski]

mieli porządných sąsiadów, którzy by je karmili, mogłabym to zrobić, ale na tej ulicy mamy samych milionerów. Więc zostanę tutaj i będę dla was ogrzewała „Ustronie Patty”.

Ania wyjechała ze zwykłymi radosnymi nadziejami, które się niezupełnie spełniły. Zastała Avonlea w okowach tak wczesnej, mroźnej i burzliwej zimy, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. Zielone Wzgórze było dosłownie spowite w zasy śnieżne. Prawie każdego dnia tych fatalnych wakacyj<sup>58</sup> zrywały się okropne zawieje i nawet w ładne dni nieustannie wiał wicher. Zaledwie oczyszczono drogi, gdy znowu zasypywał je śnieg na nowo. Niemożliwością było prawie wyruszyć się<sup>59</sup> z domu. K. M. A. usiłowało trzykrotnie urządzić zabawę na cześć studentów z Redmondu, ale każdego z tych wieczorów burza była tak gwałtowna, że nikt nie mógł pójść, musiano więc z żalem zrezygnować z tego zamiaru. Ania, mimo swej miłości i przywiązania do Zielonego Wzgórza, nie mogła nie wspominać z tęsknotą „Ustronia Patty”, wesołego ognia na kominku, radosnych oczu ciotki Jakubiny, trzech kotów, gwarnej rozmowy dziewcząt, miłych wieczorów piątkowych, gdy schodzili się koledzy uniwersyteccy na wesołą i poważną pogawędkę.

Ania była samotna; Diana przez całe święta zamknięta była w domu, gdyż chorowała na bronchit. Nie mogła odwiedzać Zielonego Wzgórza, a rzadko tylko mogła Ania chodzić do niej, gdyż stara droga przez Las Duchów była wskutek zawieruch nie do przebycia, a długa droga po zamrzniętym<sup>60</sup> Jeziorze Lśniących Wód nie była o wiele lepsza.

Ruby Gillis spała na spowitym w biały całun cementarzu; Janka Andrews prowadziła szkołę w preriach zachodnich. Gilbert był co prawda ciągle jeszcze wierny i prawie co wieczór przychodził na Zielone Wzgórze. Ale odwiedziny Gilberta nie były tym, czym były niegdyś. Ania niemal się ich obawiała. Czuli się zakłopotana, gdy nagle wśród milczenia podniosła wzrok i spostrzegła oczy Gilberta, utkwione w niej, z dziwnym wyrazem w ich poważnych głębinach. A bardziej jeszcze wytrącało ją z równowagi to, że często przyłapywała się sama na tym, jak pod jego spojrzeniem czerwieniła się nagle, zupełnie jak gdyby, zupełnie jak gdyby... było to bardzo kłopotliwe! Ania pragnęła powrócić do „Ustronia Patty”, gdzie stale był ktoś jeszcze, aby ratować ją z tej przykrej sytuacji. Na Zielonym Wzgórze Maryla, gdy tylko przychodził Gilbert, szła natychmiast do pani Linde i upierała się, aby zabrać bliźnięta. Przyczyna była jasna, a Ania wpadała z tego powodu w bezsilną wściekłość.

Tadzio czuł się jednak bez zastrzeżeń szczęśliwy. Rozkoszował się swoją swobodą, wybiegając rano z domu i odgarniając łopatą śnieg ze ścieżek. Objadał się przygotowanymi na Boże Narodzenie smakołykami, których strzegły Maryla i pani Linde, i czytał w książce z biblioteki szkolnej cudowną historię o cudownym bohaterze, który zdawał się wyposażony w cudowną zdolność wpadania w niezwykle niebezpieczeństwa, z których ratowało go zawsze jakieś trzęsienie ziemi lub inny kataklizm, który<sup>61</sup> unosił go z sobą i zdrowo wysadzał go na bezpieczny brzeg.

— Powiadam ci, że to wspomniała powieść, Aniu — mówił z zapalem. — Wolę ją czytać niż biblię.

— Rzeczywiście? — zawołała Ania.

Tadzio spojrział na nią z zaciekawieniem.

— Widzę, że cię to wcale nie oburza, Aniu. Pani Linde była okropnie oburzona, kiedy jej to powiedziałem.

— Nie, nie jestem o to oburzona, Tadziu. Uważam za zupełnie naturalne, że dziesięcioletni chłopiec woli czytać opowiadanie z przygodami niż biblię. Ale gdy będziesz starszy, spodziewam się, że zrozumiesz, jak cudowną książką jest biblia.

<sup>58</sup>wakacyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>wyruszyć się z domu — dziś popr.: ruszyć się z domu. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>zamarzyły — dziś raczej: zamrznięty. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>czytał w książce z biblioteki szkolnej cudowną historię o cudownym bohaterze, który zdawał się wyposażony w cudowną zdolność wpadania w niezwykle niebezpieczeństwa, z których ratowało go zawsze jakieś trzęsienie ziemi lub inny kataklizm, który unosił go z sobą i zdrowo wysadzał go na bezpieczny brzeg — zdanie niepoprawne stylistycznie ze względu na wprowadzanie kolejnych zdań podrzędnych przez ten sam zaimek który. Być może intencją tłumacza było oddanie ekscytacji Tadzia (Davy'ego). W oryg. ang. zdanie to brzmi: *he was reading an enthralling tale, in a school library book, of a wonderful hero who seemed blessed with a miraculous faculty for getting into scrapes from which he was usually delivered by an earthquake or a volcanic explosion, which blew him high and dry out of his troubles, landed him in a fortune, and closed the story with proper ECLAT.* [przypis edytorski]

— O, niektóre ustępy są w niej bardzo ładne! Na przykład to opowiadanie o Józefie jest cudowne! Ale gdybym *ja* był Józefem, nie przebaczyłbym braciom. O nie, moi panowie! Wszystkim pucinałbym głowy. Pani Linde była strasznie wściekła, gdy jej to powiedziałem, zamknęła biblię i powiedziała, że nigdy mi już jej czytać nie będzie, jeżeli będę tak mówił. Więc nie mówię nic, gdy czyta w niedzielę po obiedzie. Myślę sobie tylko rozmaite rzeczy i nazajutrz opowiadam o tym w szkole Emilce Boulterowi.

— O Boże! — zawołała Ania, gdy wichur uderzył nową falą śniegu w okna — czyż ta zawieja nigdy się nie skończy?

— Bóg wie — odpowiedział Tazio swobodnie, zabierając się znowu do czytania.

Tym razem Ania *była* oburzona.

— Taziu! — zawołała z wyrzutem.

— Pani Linde zawsze tak mówi — zaprotestował Tazio. — W zeszłym tygodniu Maryla spytała pewnego wieczora: czy Ludwik Speed i Teodora Dix pobiorą się? A pani Linde odpowiedziała: Bóg wie! Zupełnie tak samo jak ja przed chwilą.

— To źle, że tak powiedziała — rzekła Ania. — Nie należy używać tego imienia bez potrzeby i wypowiadać je lekko. Nie czyń tego nigdy, Taziu.

— Nawet gdy ja będę wypowiadał wolno i uroczyście, jak pastor? — zapytał Tazio poważnie.

— Nie, nawet w ten sposób nie.

— No dobrze, nie będę tego robił. Ludwik Speed i Teodora Dix mieszkają w Middle Grafton, a pani Małgorzata uważa, że on się już o nią stara od stu lat. Czy nie będą niedługo za starzy, żeby się pobrać, Aniu? Spodziewam się, że Gilbert o ciebie nie będzie się tak długo starał. Kiedy się pobierzecie, Aniu? Pani Linde powiada, że to rzecz pewna.

— Pani Linde jest... — zaczęła Ania gwałtownie. Ale urwała.

— ...okropną starą plotkarką — uzupełnił Tazio spokojnie. — Tak ją wszyscy nazywają. Ale czy to *jest* sprawa pewna, Aniu? Muszę to wiedzieć.

— Jesteś bardzo głupim chłopczykiem, Taziu — rzekła Ania, wychodząc dumnie z pokoju.

Kuchnia była pusta i Ania usiadła w półmroku. Słońce zaszło już, a wiatr przycichł. Błady, chłodny księżyc zaglądał spoza ławicy purpurowych chmur na zachodzie.

Ania czuła się bardzo samotna i smutna. Zastanawiała się, czy będzie mogła powrócić w przyszłym roku do Redmondu. Nie wydawało się to prawdopodobne. Jedyne istniejące stypendium na drugim roku było bardzo małe. Od Maryli nie chciała brać pieniędzy. A mało miała widoków, aby potrafiła w czasie wakacyj<sup>62</sup> letnich zarobić dość pieniędzy.

„Będę pewnie musiała w przyszłym roku wystąpić z uniwersytetu”, myślała ze smutkiem, „i znowu przyjąć posadę w szkole, aż zarobię tyle, żeby skończyć studia. A tymczasem dawna moja klasa osiągnie dyplomy i „Ustronie Patty” nie będzie już wchodziło w rachubę. Ale zobaczymy. Nie będę tchórzem. Dobrze, że potrafię w razie potrzeby zarobić sobie trochę pieniędzy”.

— Pan Harrison idzie — zameldował Tazio, wbiegając do kuchni. — Zdaje się, że przynosi pocztę. Już trzy dni minęło, odkąd przyniósł ostatnie listy.

Pan Harrison przyniósł pocztę, a wesołe listy od Stelli, Priscilli i Fili rozpedziły rychło troski Ani. Ciotka Jakubina napisała także, donosząc, że utrzymuje ogień na kominku, a koty czują się dobrze i rośliny domowe znakomicie się rozwijają.

„Zrobiło się rzeczywiście mroźno”, pisała, „więc pozwoliłam kotom sypiać w mieszkaniu, Morusek i Józek na kanapie w bawialni, a kot Magdy w nogach mojego łóżka. Prawdziwa to przyjemność słyszeć jego mruczenie, gdy się budzę w nocy i myślę o swojej biednej siostrze w dalekich krajach. Gdyby znajdowała się ona gdziekolwiek indziej, nie w Indiach, nie martwiłabym się, ale opowiadają, że są tam okropne żmije. Kot Magdy musi głośno mruczeć, żeby mnie uwolnić od tych przykrych myśli. Wszystkiemu na świecie dowierzam, tylko nie żmijom. Nie rozumiem, dlaczego Opatrzność stworzyła je. Niekiedy myślę, że nie Bóg to uczynił. Raczej skłonna jestem wierzyć, iż diabeł maczał w tym ręce”.

Ania zostawiła sobie na koniec cienki arkusik papieru, zapisany pismem maszynowym, gdyż wydawał się jej nieważny. Ale gdy go przeczytała, usiadła cicho, ze łzami w oczach.

<sup>62</sup>wakacyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

— Co się stało, Aniu? — zapytała Maryla. — Panna Józefina Barry nie żyje — odpowiedziała Ania cicho.

— Więc jednak umarła wreszcie — rzekła Maryla. Chorowała od przeszłego roku i lada dzień oczekiwano wiadomości o jej śmierci. Dobrze, że się to nareszcie skończyło, gdyż cierpiała strasznie, Aniu. Zawsze cię bardzo lubiła...

— Aż do ostatniej chwili, Marylo. Ten list jest od jej adwokata. Zapisała mi w testamencie tysiąc dolarów.

— Boże wielki! To przecież okropna masa pieniędzy! — zawołał Tadzio. — To przecież ta pani, na którą ty i Diana wpadłyście, gdyście skoczyły do łóżka w pokoju gościnnym, prawda?<sup>63</sup> Diana opowiadała mi o tej historii. Czy *dlatego* zapisała ci tyle?

— Cicho, Tadzio! — rzekła Ania łagodnie.

Z wezbranym sercem odeszła na swoją facjatkę, opuszczając Marylę i panią Linde, żeby mogły do woli omówić tę nowinę.

— Czy Ania w ogóle wyjdzie teraz za mąż? — zaindagował Tadzio ciekawie. — Gdy Dorka Slone wyszła w zeszłym roku za mąż, powiedziała, że gdyby miała dość pieniędzy na życie, nie zawracałaby sobie głowy mężem. Ale nawet wdowiec z ośmiorgiem dzieci był lepszy, niż bratowa.

— Tadeuszu Keith, trzymaj język za zębami! — rzekła pani Małgorzata surowo. — Ten sposób mówienia jest oburzający u małego chłopca!

## ROZDZIAŁ XIX. PRZYGRYWKA

— Pomyśleć, że to moje dwudzieste urodziny i że na zawsze zostawiłam za sobą wszystkie „naście” — rzekła Ania, skulona na dywanie przed kominkiem z Moruskiem na łonie, do ciotki Jakubiny, która czytała w swoim ulubionym fotelu.

Były same w bawialni. Stella i Priscilla poszły na zebranie, a Fila stroiła się w swoim pokoju na wieczór.

— Zdaje mi się, że ci trochę żal — rzekła ciotka Jakubina. — Druga dziesiątka lat to tak piękny okres życia! Ciesz się, że ja sama nigdy jej nie przekroczyłam.

Ania roześmiała się.

— I nigdy nie przekroczysz, cioteczko. Gdy skończysz sto lat, jeszcze będziesz miała osiemnaście. Tak, żal mi i jestem też niezadowolona. Panna Stacy powiedziała mi już dawno, że gdy osiągnę dwudziestkę, charakter mój będzie ukształtowany, dobry czy zły. Nie czuję, aby to było to, co być powinno. Jest pełen niedociągnięć.

— Taki jest każdy charakter — rzekła ciotka Jakubina wesoło. — Mój miał braki w setkach miejsc. Twoja panna Stacy miała prawdopodobnie na myśli, że gdy osiągniesz dwadzieścia lat, charakter twój przechyli się na stałe w jednym lub drugim kierunku i będzie się po tej linii nadal rozwijał. Nie przejmuj się tym, Aniu. Spełniaj swój obowiązek wobec Boga, bliźnich i siebie i używaj życia. To jest moja filozofia, a zawsze okazywała się ona dobra. A dokąd to udaje się Fila dzisiaj wieczorem?

— Idzie na zabawę taneczną. Wkłada na ten wieczór najcudniejszą suknię, kremowo-żółtą, jedwabną, z koronkami jak pajęczyna. Bardzo jej w niej do twarzy, gdyż ma ciemną cerę.

— Coś magicznego jest w słowach „jedwab” i „koronki”, prawda? — rzekła ciotka Jakubina. — Na sam dźwięk tych słów doznaję wrażenia, jakbym się miała za chwilę zerwać do tańca. I *żółty* jedwab! Trzeba przy tym pomyśleć o sukni z promieni słonecznych. Zawsze pragnęłam żółtej sukni jedwabnej, ale najpierw matka moja, a potem mąż nie chcieli o tym nawet słyszeć. Pierwszą rzeczą, jaką zrobię, gdy przybędę do nieba, będzie postarać się o żółtą suknię jedwabną.

Ania wybuchnęła śmiechem, a w tej chwili zeszła ze schodów Fila, ciągnąc za sobą chmury przepychu i przeglądając się sama w długim lustrze owalnym na ścianie.

— Pochlebne lustro poprawia humor — rzekła. — Lusterko w moim pokoju robi mnie zieloną. Czy ładnie wyglądam, Aniu?

— Gdybyś wiedziała, jaka jesteś piękna, Filo! — zawołała Ania ze szczerym podziwem.

<sup>63</sup>ta pani, na którą ty i Diana wpadłyście, gdyście skoczyły do łóżka w pokoju gościnnym — patrz: *Ania z Zielonego Wzgórza*. [przypis tłumacza]

— Wiem o tym. Na cóż są lustra i mężczyźni? Nie to miałam na myśli. Czy wszystkie ogonki mam pochowane? Czy suknia się nie fałduje? I czy nie lepiej wyglądałaby ta róża trochę niżej? Obawiam się, że przypięta jest za wysoko — ale nie znoszę, gdy mi coś lechcze ucho.

— Wszystko jest w porządku, a twój południowozachodni dołeczek jest czarujący!

— Aniu, jedną rzecz szczególnie lubię w tobie — jesteś taka niezazdrosna! Nie ma w tobie ani odrobiny zawiści.

— Dlaczego miałaby być zazdrosna? — zapytała ciotka Jakubina. — Może nie wygląda tak pięknie jak ty, ale ma o wiele piękniejszy nos.

— Wiem o tym — przyznała Fila.

— Mój nos był dla mnie zawsze wielką pociechą — wyznała Ania.

— I lubię twe włosy, wspinające się nad czołem, Aniu, a ten mały loczek, który wygląda zawsze, jakby miał opaść, a nie opada, jest cudowny. Ale jeżeli idzie o nosy, to mój sprawia mi wiele zmartwienia. Wiem, że gdy będę miała czterdzieści lat, stanie się zupełnie byrnowski. Czy wyobrażasz sobie, jak będę wyglądała w czterdziestym roku życia, Aniu?

— Jak stara, zamężna matrona — odpowiedziała Ania przekornie.

— Nie chcę — rzekła Fila, rozsiadając się wygodnie, aby zaczekać na swoje towarzystwo. — Józek, potworze, ani się waży siadać na moich kolanach! Czy mam iść tańczyć z suknią pokrytą kocimi włosami? Nie, Aniu, *nie chcę* wyglądać jak matrona, ale bez wątpienia wyjdę za mąż.

— Za Olesia czy za Alfonsa? — zapytała Ania.

— Za jednego z nich zapewne — westchnęła Fila — jeżeli zdołam się kiedy zdecydować, za którego.

— Nie powinniśmy być trudno zdecydować się — rzekła ciotka Jakubina z przyganą.

— Urodziłam się niezdecydowana, cioteczko, i nic mnie już nie zmieni.

— Powinnabyś być bardziej zrównoważona, Filipino.

— Najlepiej jest oczywiście być zrównoważoną — przyznała Fila — ale traci się przez to wiele przyjemności. Co do Olesia i Alfonsa, gdybyś ich znała, zrozumiałabyś, dlaczego tak trudno jest wybierać wśród nich. Obaj są jednakowo ładni.

— W takim razie znajdź sobie kogoś jeszcze ładniejszego — podsunęła jej ciotka Jakubina. — Oto na przykład ten student ostatniego roku, który ci jest tak oddany, Will Leslie. Ma takie piękne, wielkie, łagodne oczy.

— Trochę są za wielkie i za łagodne — zupełnie jak u krowy — rzekła Fila okrutnie.

— A co sądzisz o Jerzym Parkerze?

— Nic o nim nie można powiedzieć poza tym, że zawsze wygląda, jakby przed chwilą został nakrochmalony i wyprasowany.

— Więc Marek Holworthy. Jemu nic nie możesz zarzucić.

— Nie, on byłby dobry, gdyby nie był ubogi. Muszę wyjść bogato za mąż, ciotko Jakubino. Majątek i uroda są niezbędnymi kwalifikacjami. Chętnie wyszłabym za Gilberta Blytha, gdyby był bogaty.

— O, rzeczywiście? — rzekła Ania nieco złośliwie.

— Niezbyt lubimy tę myśl, chociaż same nie chcemy Gilberta, o nie — zażartowała Fila. — Ale nie mówmy o rzeczach niemiłych. Kiedyś będę zapewne musiała wyjść za mąż, ale postaram się, póki się da, odsuwać ten przykry dzień.

— Nie powinnaś wychodzić za człowieka, którego nie kochasz — rzekła ciotka Jakubina.

— Słyszę, że powóz zajechał! Lecę już. Do widzenia, moje dwie staromodne kobietki!

Gdy Fila wyszła, ciotka Jakubina uroczyście spojrzała na Anię.

— To ładna i słodka dziewczyna i ma poczciwe serce, ale czy szczerze mówiąc główka jej jest zupełnie w porządku, Aniu?

— O, nie sądzę, aby w głowie jej miało być coś nie w porządku — odpowiedziała Ania, ukrywając uśmiech. — Taki ma tylko sposób mówienia.

Ciotka Jakubina potrząsnęła głową.

— Pragnę wierzyć, Aniu. Pragnę wierzyć, gdyż lubię ją. Ale nie rozumiem jej. Wyprowadza mnie z równowagi. Nie jest podobna do żadnej z dziewcząt, jakie znałam, ani z tych, jakimi ja sama byłam.

- Iloma to dziewczynkami ty byłaś, ciotko Jakubino?  
— Przynajmniej tuzinem, moja kochana.

## ROZDZIAŁ XX. GILBERT MÓWI

— Był to długi i prozaiczny dzień — ziewnęła Fila, przeciągając się leniwie na kanapie, pozbywszy się dwóch natarczywych kotów.

Ania podniosła wzrok znad *Klubu Pickwicka*. Teraz, po egzaminach wiosennych, zaczęła się Dickensem.

— Dzień był prozaiczny dla nas — rzekła w zadumie. — Ale dla niektórych ludzi był to dzień cudowny. Niektórzy byli dziś szczęśliwi. Może gdzieś dokonano dzisiaj jakiego wielkiego czynu lub napisano wielki poemat, lub urodził się wielki człowiek. A niejedno serce zostało złamane, Filo.

— Po co psujesz swoją piękną myśl, dodając to ostatnie zdanie — mruknęła Fila. — Nie lubię myśleć o złamanym sercach i innych niemiłych rzeczach.

— Czy sądzisz, że zdołasz przez całe życie unikać niemiłych rzeczy, Filo?

— Boże wielki, nie. Czyż i teraz nie jestem na nie narażona? Nie uważasz chyba Olesia i Alfonsa za rzeczy mile, gdy mnie po prostu dręczą przez całe życie?

— Nigdy niczego nie traktujesz poważnie, Filo.

— A dlaczego mam to robić? Dość jest ludzi, którzy tak postępują. Światu potrzebni są tacy ludzie jak ja, Aniu. Okropny stałby się, gdyby wszyscy byli tak straszliwie poważni. *Moim* zadaniem jest czarować i wabić. A teraz wyznaj, czy życie w „Ustroniu Patty” nie było rzeczywiście o wiele jaśniejsze i miłsze ostatniej zimy, gdy ja tu byłam, aby was psuć?

— Owszem — przyznała Ania.

— I wszystkie mnie lubicie, nawet ciotka Jakubina, która jest zdania, że jestem zupełnie zwariowana. Więc dlaczego mam się starać być inną<sup>64</sup>? O, moja kochana, tak mi się chce spać! Nie spałam wczoraj do pierwszej, gdyż czytałam okropną historię o duchach. Czytałam ją w łóżku, a gdy skończyłam, czy sądzisz, że mogłam wyjść z łóżka, żeby zgasić światło? Nie! I gdyby Stella nie przyszła na szczęście późno, lampa paliłaby się do rana. Kiedy usłyszałam kroki Stelli, zawołałam ją, wyjaśniłam jej swoje straszliwe położenie i poprosiłam, żeby zgasila światło. Gdybym wstała sama, żeby to zrobić, na pewno coś by mnie złapało za nogę w powrotnej drodze do łóżka. Ale Aniu, czy ciotka Jakubina postanowiła wreszcie, co zrobi tego lata?

— Tak, chce pozostać tutaj. Wiem, że czyni to przez te przeklęte koty, chociaż powiada, że miałaby za wiele kłopotu z zakładaniem własnego gospodarstwa, a nienawidzi wizyt.

— Co czytasz?

— *Klub Pickwicka*.

— Przy tej książce jestem zawsze głodna — rzekła Fila. — Tyle tam jest dobrego jedzenia! Wszystkie osoby stale się raczą szynką, jajkami i ponczem. Gdy czytam *Klub Pickwicka*, idę zawsze potem do kredensu posilić się. Na samą myśl o tym przypomina mi się, że konam z głodu. Czy jest coś do zjedzenia w spiżarni<sup>65</sup>, Królowo Anno?

— Zrobiłam dzisiaj rano cytrynowy pasztet. Możesz dostać kawałek.

Fila wybiegła do spiżarni, a Ania w towarzystwie Moruska udała się do ogrodu owocowego. Był wilgotny wieczór wczesnej wiosny. Choć śnieg nie stał jeszcze, Gilbert znalazł w jakimś zakątku kilka białych kwiatków. Nadszedł z parku, trzymając je w ręku.

Ania siedziała na wysokim szarym murze w ogrodzie i spoglądała na nagi krzak przed sobą. Marzyła. Ściągnęła brwi, gdy Gilbert nadszedł przez ogród. Ostatnio urządziła się stale tak, aby nigdy nie zostać sama z Gilbertem. Teraz jednak zaskoczył ją niespodzianie i nawet Morusek opuścił ją.

Gilbert usiadł obok niej na murze i podał jej konwalie.

— Czy ci to nie przypomina naszego domu i dawnych zabaw z czasów szkolnych, Aniu?

<sup>64</sup>być inną — dziś popr.: być inna. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>spiżarnia — dziś popr.: spiżarnia. [przypis edytorski]

Ania ujęła kwiaty i ukryła w nich twarz.

— W tej chwili znajduję się myślą na ugorach pana Silasa Slona — odpowiedziała z zachwytem.

— Sądzę, że za kilka dni będziesz tam w rzeczywistości.

— Nie, dopiero za dwa tygodnie. Jadę z Filą do Bolingbroke. Przed powrotem do domu złożę jej tam wizytę. Będziesz w Avonlea przed moim przyjazdem.

— Nie, przez całe lato nie będę w Avonlea, Aniu. Zaproponowano mi pracę w redakcji „Nowin Codziennych” i mam zamiar ją przyjąć.

— O — rzekła Ania. Zastanawiała się, jak minie całe lato w Avonlea bez Gilberta. Myśl o tym sprawiała jej jednak jakąś przykrość. — Doskonale — zakończyła, — to dla ciebie oczywiście bardzo dobrze.

— Tak, starałem się dostać tę pracę. Pozwoli mi się ona utrzymać w przyszłym roku.

— Nie powinienes pracować *zbyt* wiele — rzekła Ania, nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co właściwie mówiła. Pragnęła, aby Fila wyszła do ogrodu. — Tej zimy bardzo usilnie studiowałeś. Czy to nie czarujący wieczór? Wiesz, znalazłam dzisiaj rano pod tamtym drzewem pęczuszek białych fiołków. Miałam wrażenie, jakbym odkryła kopalnię złota.

— Stałe odkrywasz kopalnie złota — rzekł Gilbert, także nieprzytomny.

— Chodźmy i zobaczymy, czy nie znajdziemy jeszcze więcej — zaproponowała Ania z zapalem. — Zawołam Filę i...

— Dajże teraz pokój Fili i fiołkom, Aniu! — przerwał Gilbert spokojnie, ujmując dłoń jej w uścisk, z którego się nie mogła wyzwolić. — Muszę ci coś powiedzieć.

— O, nie mów tego! — zawołała Ania błagalnie. — Nie mów, *proszę cię*, Gilbertcie.

— Muszę! Tak sprawy dalej trwać nie mogą. Aniu, kocham cię! Wiesz o tym. Ja... ja... ci nie mogę powiedzieć, jak bardzo. Czy przyrzekniesz mi, że kiedyś zostaniesz moją żoną?

— Ja... ja... nie mogę... — rzekła Ania. — O, Gilbertcie... Ty... ty sam wszystko zepsułeś.

— Czy ci w ogóle na mnie nie zależy? — zapytał Gilbert po bardzo przykrej pauzie, podczas której Ania nie ważyła się podnieść wzroku.

— Nie... nie w ten sposób... Bardzo mi na tym zależy, żeby mieć w tobie przyjaciela, ale nie kocham cię, Gilbertcie.

— Ale czy nie możesz mi dać jakiejś nadziei, że kiedyś się to zmieni?

— Nie, nie mogę! — zawołała Ania z rozpaczą. — Nigdy... nigdy nie mogę cię kochać... w ten sposób, Gilbertcie! Nigdy już nie mów ze mną o tym.

Powstała nowa pauza, tak długa i tak przykra, że Ania zmuszona była wreszcie podnieść wzrok. Twarz Gilberta była zupełnie biała, a oczy jego... — ale Ania zadrżała i odwróciła się. Nie było w tym nic romantycznego. Czy oświadczyzny muszą być albo groteskowe albo... straszne? Czy mogłaby zapomnieć kiedyś twarz Gilberta?

— Może kto inny...? — zapytał wreszcie Gilbert cicho.

— Nie, nie — rzekła Ania szybko. — Na nikim mi w ten sposób nie zależy... *lubię* cię więcej, niż kogokolwiek innego na świecie, Gilbertcie, i musimy... *musimy* pozostać nadal przyjaciółmi.

Gilbert roześmiał się gorzko.

— Przyjaciółmi! Twoja przyjaźń nie może mi wystarczyć, Aniu! Mnie trzeba twej miłości! A ty mi mówisz, że tego nigdy mieć nie będę!

— Przykro mi, wybacz mi, Gilbertcie.

To było wszystko, co Ania zdołała powiedzieć. Gdzie, o, gdzie były te wszystkie wspiane przemowy, jakimi w duchu przywykła odmawiać swoim odtrąconym adoratorom?

Gilbert łagodnie wypuścił jej rękę.

— Nie mam ci czego przebaczać. Były czasy, gdy myślałem, że zależy ci na mnie. Sam się oszukałem, to wszystko. Do widzenia, Aniu.

Ania udała się do swego pokoju, usiadła na fotelu przy oknie i zapłakała gorzko. Czuliła się tak, jakby coś nieobliczalnie drogiego znikło z jej życia. Była to oczywiście przyjaźń Gilberta. O, dlaczego musiała ją stracić w ten sposób?

— Co się stało, kochanie? — zapytała Fila, wchodząc w mroku do pokoju.

Ania nie odpowiedziała. W tej chwili pragnęła, aby Fila była o tysiące mil od niej.

— Zdaje mi się, że posunęłaś się tak daleko, iż dałaś kosza Gilbertowi Blythowi. Jesteś głupia, Anno Shirley!

— Czy nazywasz głupim odmówić ręki człowiekowi, którego się nie kocha? — zapytała Ania chłodno.

— Nie znasz miłości. Wymyśliłaś sobie coś, co tak nazwałaś, i myślisz, że w rzeczywistości miłość jest właśnie tym. Jest to pierwsze rozumne zdanie, jakie wypowiedziałam w swoim życiu. Dziwię się, że się na to zdobyłam.

— Filo — błagała Ania — proszę cię, odejdz i zostaw mnie na chwilę samą. Cały mój świat rozpadł się w gruzy. Muszę go odbudować na nowo.

— Bez Gilberta? — zapytała Fila, odchodząc.

„Świat bez Gilberta!”, powtórzyła Ania smutno w myśli. Czy nie byłby to świat ponury i samotny? Ale to wszystko było winą Gilberta. To on zniszczył ich piękne koleżeństwo. Teraz musiała się nauczyć żyć bez niego.

## ROZDZIAŁ XXI. W CZORAJSZY RÓŻE

Owe dwa tygodnie, które Ania spędziła w Bolingbroke, upłynęły niezmiernie miło, z lekkim jednak posmakiem niezadowolenia i bólu, ilekroć myślała o Gilbertcie. Ale nie miała wiele czasu na myślenie o nim. Mount Holly, piękne miejsce zamieszkania Gordonów, był pięknym domem, odwiedzanym często przez wesołych przyjaciół Fili. Cały ten okres składał się z nieustannych przejażdżek, tańców, zabaw i wycieczek wioślarskich, organizowanych przez Filę. Oleś i Alfons tak wytrwale brali we wszystkim udział, iż Ania zastanawiała się, czy robili oni w ogóle coś innego poza ubieganiem się o względy błędnego ognika — Fili. Byli to dwaj ładni, męscy młodzieńcy, ale Ania nie chciała wydać opinii, który z nich był ładniejszy.

— A ja tak na ciebie liczyłam, że zadecydujesz, któremu z nich mam dać słowo! — ubolewała Fila.

— Musisz to sama uczynić; jeśli idzie o to, kogo inni mają poślubić, jesteś niezmiernie miarodajna — odpowiedziała Ania nieco zgryźliwie.

— O, to zupełnie inna sprawa! — wyznała Fila szczerze.

Najmilszym jednak zdarzeniem w czasie pobytu Ani w Bolingbroke były odwiedziny jej miejsca urodzenia, małego, starego, żółtego domku na odległej ulicy, o którym tak często marzyła. Z zachwytem przyglądała mu się, gdy weszły wraz z Filą przez bramę.

— Wygląda prawie zupełnie tak, jak go sobie wyobrażałam — rzekła. — nie ma wprawdzie powojów nad oknem, ale jest bez hiszpański przy wrotach i... tak, w oknach są muślinowe firanki! Jaka jestem rada, że ten domek jest jeszcze żółto malowany!

Bardzo wysoka i bardzo szczupła kobieta otworzyła drzwi.

— Tak, Shirleyowie mieszkali tu przed dwudziestu laty — odpowiedziała na pytanie Ani. — Wynajęli ten dom. Przypominam ich sobie. Oboje zmarli jednocześnie na febrę. Strasznie to było smutne. Zostawili dzieciątko. Przypuszczam, że nie żyje już od dawna. Było to chorobliwe maleństwo. Poczciwy Thomas i jego żona przyjęli je, jakby nie mieli dość własnych dzieci.

— Nie umarłam — rzekła Ania z uśmiechem. — Ja byłam tym dzieckiem.

— Co pani mówi! Ale też pani wyrosła! — zawołała kobieta, jakby była niezmiernie zdumiona, że Ania nie była już dzieckiem. — Niech pani wejdzie, chcę panią obejrzeć. Teraz widzę podobieństwo! Ma pani cerę tatusia. Włosy też miał rude. Ale oczy i usta ma pani zupełnie po mamusi. Była to śliczna kobietka. Córnica moja chodziła do jej szkoły i traciła dla niej głowę. Pochowano ich w jednym grobie, a grono nauczycielskie wystawiło im pomnik w uznaniu za ich wierną pracę. Niechże pani wejdzie!

— Czy pozwoli mi pani obejrzeć dom? — zapytała Ania z zapalem.

— Ależ naturalnie! Jeżeli pani tego pragnie! Nie zajmie to pani wiele czasu, niewielki jest. Ciągłe nalegam na męża, żeby wybudował nową kuchnię, ale on nie na leży do ludzi, co się bardzo śpieszą. Tu jest salonik, a tam na górze dwa pokoje. Niech pani sama wszystko obejrzy. Muszę zajrzeć do dziecka. Pani urodziła się w pokoju z wschodniej strony. Przypominam sobie, jak mamusia pani mówiła, że lubiła patrzeć na wschód słońca. I zdaje mi się, iż słyszałam, że urodziła się pani właśnie w chwili, gdy słońce wschodziło, a światło jego padło na pani twarzyczkę i to była pierwsza rzecz, jaką matka pani ujrziała.



Ania weszła po wąskich schodach do małego pokoiku wschodniego; serce jej było przepelnione. Pokój ten był dla niej niby ołtarz. Tutaj przeżyła matka jej wszystkie marzenia przyszłego macierzyństwa. Tutaj padło na nie obie w świętej godzinie narodzin czerwone światło wschodzącego słońca. Tutaj zmarła jej matka. Ania rozejrzała się ze czcią; oczy miała pełne łez. Była to jedna z najcenniejszych chwil jej życia, która zawsze jasno wykwitowała w jej pamięci.

— I pomyśleć, że w chwili, gdy się urodziłam, matka moja była młodsza, niż ja teraz! — szepnęła.

Gdy Ania zeszła ze schodów, spotkała w sieni panią domu, która podała jej małą, zakurzoną paczuszkę, związaną wyblakłą, niebieską wstążką.

— Oto paczuszka starych listów, które znalazłam w jakimś zakątku, gdy się tu sprowadziłam. Nie wiem, co to za listy, nigdy się nie skusiłam, żeby do nich zajrzeć, ale na jednym jest adres: Panna Berta Willis, a to było panięńskie nazwisko mamusi pani. Jeżeli pani na tym zależy, może je pani zabrać.

— O, dziękuję pani, dziękuję pani! — zawołała Ania, z zapalem chwytając paczuszkę.

— To było wszystko, co znalazłam w domu — rzekła gospodyni. — Meble zostały wszystkie sprzedane, aby zapłacić rachunek lekarza, a pani Thomas zabrała suknie i drobiazgi mamusi pani. Myślę, że nie na długo starczyły dla gromadki malców Thomasów.

— Nie posiadam ani jednej rzeczy, która należała do mojej matki — rzekła Ania zdławionym głosem. — Nigdy... nigdy... nie będę pani mogła wyrazić swojej wdzięczności za te listy...

— Chętnie je pani daję. O Boże! Ale też oczy ma pani zupełnie jak matka! Jej oczy tak samo były wymowne. Ojciec pani był niezmiernie miły. Zdaje mi się, że słyszałam od ludzi, kiedy się ta para pobrała, iż nigdy nie było małżeństwa bardziej w sobie zakochanego. Biedne stworzenia, niedługo się tym szczęściem cieszyły! Ale póki żyli, byli bardzo szczęśliwi, a i to wiele znaczy.

Ania nie mogła się doczekać chwili powrotu do domu, aby przeczytać swoje cenne listy. Przedtem jednak odbyła jeszcze jedną pielgrzymkę. Poszła sama do zielonego zakątka starego cmentarza w Bolingbroke, gdzie leżeli ojciec jej i matka, i złożyła na ich grobie białe kwiaty, które z sobą przyniosła.

Potem pobiegła szybko z powrotem do Mount Holly, zamknęła się sama w pokoju i poczęła czytać listy. Niektóre pisane były przez ojca, inne przez matkę. Niewiele ich było, może tuzin razem, gdyż Walter i Berta Shirley przez czas swego małżeństwa rzadko się rozłączali. Listy były poźółkłe, spłowiałe i zatarte, zżarte zębem minionego czasu. Na tych splamionych stronicach nie było głębokich słów wielkiej mądrości, lecz jedynie słowa miłości i zaufania. Biła z nich słodycz rzeczy minionych. Berta Shirley posiadała dar pisania listów, które ucieleśniały w słowach i myślach jej czarującą indywidualność i nawet po tak wielkim upływie czasu zachowały jej piękność i wdzięk. Listy te były czułe, poufne, święte. Najdoskonalszym był dla Ani list, napisany do ojca po jej urodzeniu w czasie jego krótkiej nieobecności. List ten pełen był dumy młodej matki, która opowiada o swoim dziecku, o jego mądrości, piękności i tysiącznych słodkich cechach.

„Najbardziej kocham ją, gdy śpi, a bardziej jeszcze, gdy się obudzi”, pisała Berta Shirley w dopisku. Prawdopodobnie było to ostatnie zdanie, jakie kiedykolwiek napisała. Śmierć jej była bardzo bliska.

— To był najpiękniejszy dzień mego życia — rzekła Ania do Fili tego wieczora. — *Odnalazłam* swego ojca i matkę. Te listy uczyniły ich dla mnie *rzeczywistymi*. Nie jestem już sierotą. Mam wrażenie, jakbym otworzyła książkę i znalazła między jej kartkami wczorajsze róże, słodkie i czarujące...

## ROZDZIAŁ XXII. WIOSNA I ANIA WRACAJĄ NA ZIELONE WZGÓRZE

Blask ognia migotał na ścianach kuchni na Zielonym Wzgórzu, gdyż wieczór był chłodny; przez otwarte okno wschodnie płynęły łagodne, słodkie odgłosy nocy. Maryla siedziała przy ogniu — przynajmniej cieplej: duchem kroczyła po dawnych drogach, stopami, które znowu stały się młode. Ostatnimi czasami Maryla spędziła w ten sposób niejedną godzinę, robiąc jednocześnie pończochy dla bliźniąt.

„Zdaje się, że się starzeję”, pomyślała.

Ale Maryla bardzo mało zmieniła się w ostatnich dziewięciu latach. Stała się jeszcze trochę węższa tylko i nawet jeszcze bardziej kanciasta. Włosy jej odrobinę bardziej posiwiały. Spięte były tymi samymi jeszcze dwiema szpilkami. Ale wyraz jej twarzy zmienił się jednak. Ów rys wokół ust, który znamionował lekki humor, rozwinął się dziwnie, oczy jej stały się bardziej miękkie i łagodne, uśmiech częstszy i czulszy.

Maryla myślała o całym swoim minioym życiu, o swym twardym, ale nie nieszczęśliwym dzieciństwie, o zazdrośnie ukrywanych marzeniach i płomiennych nadziejach lat dziewczęcych, o długich, szarych latach skromnego życia następnego okresu. I o przybyciu Ani — tego żywego, pełnego fantazji, impulsywnego dziecka z sercem pełnym miłości i światem pełnym wyobraźni, które wniosło w jej dom barwę i światło i rozkwitło tutaj jak róża. Maryla czuła, że z tych sześćdziesięciu lat swoich żyła tylko przez dziewięć, które nastąpiły po przybyciu Ani. A jutro wieczorem Ania miała powrócić do domu.

Drzwi kuchenne otworzyły się. Maryla podniosła wzrok, spodziewając się, że to pani Linde. Przed nią stała Ania, wysmukła, z błyszczącymi oczyma, z rękami pełnymi konwalij<sup>66</sup> i fiołków.

— Ania! — zawołała Maryla.

Po raz pierwszy w życiu została zaskoczona w swej powściągliwości. Chwyciła dziewczynkę w ramiona i przycisnęła ją i kwiaty do serca, całując gorąco jasne włosy i słodką twarz.

— Nie spodziewałam się ciebie przed jutrzejszym wieczorem! Jak przyjechałaś z Carmody?

— Przyszłam pieszo, Marylo. Czyż za czasów seminarium nie robiłam tego setki razy? Pocztylion przywiezie jutro mój kufer. Nagle zatęskniłam za domem i przyjechałam o dzień wcześniej. O, taki miałam cudowny spacer w zmroku majowym! Zatrzymałam się przy ugorach i zebrałam te konwalie. W Dolinie Fiołków narwałam tych kwiatków. Moc ich tam teraz rośnie. Powąchaj, Marylo.

Maryla powąchała posłusznie, ale interesowała ją więcej Ania niż woń fiołków.

— Siadaj, dziecko, musisz być rzeczywiście zmęczona. Przygotuję ci kolację.

— Pięknie zachodzi dziś księżyc za pagórkami, Marylo, a jak mi żaby śpiewały po drodze z Carmody! Lubię muzykę żab. Wiąże się ona z moimi najszcześniejszymi wspomnieniami wieczorów wiosennych. I przypomina mi zawsze ów pierwszy wieczór, kiedy tutaj przybyłam. Czy pamiętasz jeszcze, Marylo?

— O tak — rzekła Maryla z przejęciem — nigdy pewnie tego nie zapomnę.

— Owego roku śpiewały tak głośno w bagnach i w stawie! Przysłuchiwałam się im w mroku z okna swego pokoju i dziwiłam się, że mogły być zarazem tak zadowolone i smutne. O, ale jak to dobrze być znowu w domu! Redmond był wspaniały, a Bolingbroke czarujący — ale Zielone Wzgórze to mój dom!

— Gilbert podobno tego lata nie przyjedzie do domu — rzekła Maryla.

— Nie.

Coś w tonie Ani skłoniło Marylę do spojrzenia na nią bystro, ale Ania najwidoczniej zajęta była ustawianiem swoich fiołków w wazonie.

— Spójrz, czy nie są słodkie? — ciągnęła szybko. — Rok jest książką, prawda, Marylo? Stronice wiosenne zapisane są konwalia i fiołkami, letnie różami, jesienne czerwonymi liśćmi klonowymi, a zimowe jodłą i świerkami.

— Czy Gilbert dobrze zdał egzamin? — nalegała Maryla.

— Wyśmienicie! Był prymusem w swojej klasie. Ale gdzie bliźnięta i pani Linde?

— Małgorzata i Tola są u pana Harrisona, Tadzio poszedł do Boulterów. Zdaje się, że nadchodzi już.

Tadzio wpadł nagle, ujrzał Anię, zatrzymał się, potem rzucił się na nią z okrzykiem radości.

— O, Aniu, jakże się cieszę, że cię widzę! Wiesz, Aniu, od zeszłej jesieni urosłem o dwa cale! Pani Linde zmierzyła mnie dzisiaj, i wiesz, Aniu, straciłem przedni ząb! Pani Linde przywiązała do niego jeden koniec nitki, drugi umocowała przy klamce, a potem zamknęła drzwi. Sprzedałem go Emilce za dwa centy. Emilek zbiera zęby.

<sup>66</sup>konwalij — dziś powszechniejsza forma D. lm: konwalii. [przypis edytorski]

— A na cóż mu zęby? — zapytała Maryla.

— Chce sobie zrobić naszyjnik z zębów, żeby móc grać wodza Indian! — wyjaśnił Tadzio, wdrapując się na kolana Ani. — Ma już piętnaście, a że i inni chłopcy już mu swoje zęby przyrzekli, nie ma sensu konkurować z nim i zbierać także. Powiadam ci, że Boulterowie to doskonali kupcy.

— Czy byłeś grzeczny u pani Boulter? — zapytała Maryla surowo.

— Tak, ale co to chciałem powiedzieć, Maryło, zmęczyło mnie to już, dość już mam grzeczności.

— Zdaje się, że prędzej ci się sprykrzy być niegrzecznym, Tadzio — rzekła Ania.

— Ale to by było przyjemnie, prawda? — nalegał dalej Tadzio. — Potem mógłbym oczywiście żałować...

— Żal nie wystarczyłby, Tadzio, musiałbyś ponosić skutki swego niegrzecznego zachowania. Czy pamiętasz jeszcze ową niedzielę ubiegłego lata, gdy nie poszedłeś do kościoła? Powiedziałeś mi wtedy, że nie oplaca się być niegrzecznym. Co robiliście dzisiaj z Emilkiem?

— O, łowiliśmy ryby i goniliśmy kota, i wybieraliśmy jajka ptasie, i krzyczeliśmy, żeby słuchać echa. W krzakach za stodołą Boulterów jest wspaniałe echo. Aniu, co to jest echo? Muszę to wiedzieć!

— Echo to piękna nimfa, Tadzio, która mieszka daleko za lasami i śmieje się pomiędzy pagórków do świata.

— Jak ona wygląda?

— Włosy i oczy ma ciemne, a szyję i ramiona białe jak śnieg. Żaden człowiek nie może jej nigdy ujrzeć, szybsza jest niż jeleni, a jej złudny głos jest wszystkim, co o niej wiemy. Możesz ten głos usłyszeć w nocy, możesz usłyszeć, jak się śmieje pod gwiazdami. Ale nigdy nie możesz tej nimfy zobaczyć. Ucieka, gdy ją gonisz, i zawsze cię wyśmiewa z następnego pagórka.

— Czy to wszystko prawda, Aniu? Czy też to taka bujda tylko? — zapytał Tadzio zamyślony.

— Tadzio — rzekła Ania z rozpaczą — czy nie masz dość rozumu, żeby odróżnić bajkę od kłamstwa?

— W takim razie czym jest to, co się odzywa zza krzaków u Boulterów? — upierał się Tadzio.

— Gdy będziesz trochę starszy, Tadzio, wyjaśnię ci wszystko.

Słowa te nadały myślom Tadzia nowy zwrot, gdyż po chwili zastanowienia szepnął uroczyście:

— Aniu, ja się chcę ożenić...

— Kiedy? — zapytała Ania z taką samą powagą.

— O, naturalnie dopiero gdy będę dorosły.

— No dobrze, to dla mnie ulga, Tadzio. A kim jest twoja wybranka?

— Stella Fletcher. Chodzi do tej samej klasy co ja. Aniu, ona jest najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałeś. Gdybym umarł, zanim będę dorosły, musisz się nią zaopiekować, dobrze?

— Tadeuszu Keith, przestań gadać takie głupstwa! — rzekła Maryla surowo.

— To nie głupstwa — zaprotestował Tadzio tonem obrazy. — Ona jest moją poślubioną żoną, a gdy umrę, będzie moją poślubioną wdową, prawda? A nie ma ona nikogo, kto by się o nią zatroszczył, prócz swojej starej babki.

— Chodź, zjedz kolację, Aniu — rzekła Maryla — i nie zachęcaj dziecka do gadania głupstw.

## ROZDZIAŁ XXIII. JASIO NIE MOŻE ODNALEŹĆ LUDKU SKALNEGO

Życie w Avonlea było tego lata bardzo miłe, chociaż Ania często wśród radości wakacyjnej doznawała wrażeń, że utraciła coś, co właściwie powinno by tu być. Nie chciała przyznać, nawet w najintymniejszych myślach, że powodem tego uczucia była nieobecność Gilberta. Ale gdy musiała sama wracać do domu z zebranych kościelnych lub z burzliwych posiedzeń K. M. A., podczas gdy Diana z Alfredem i inne wesołe pary przechadzały się

o zmroku po opromienionym światłem gwiazd gościńcu, doznawała w sercu dziwnego bólu osamotnienia, którego sobie nie umiała wytłumaczyć. Gilbert nie pisał do niej nawet, co przecież — jak sądziła — powinien był robić. Wiedziała, że od czasu do czasu pisywał do Diany, ale nie chciała jej o niego wypytywać, zaś Diana, która sądziła, że Ania otrzymuje od niego wiadomości, sama przez się o niczem jej nie informowała. Matka Gilberta, wesola, szczerza i serdeczna pani, nie posiadająca jednak za wiele taktu, miała zwyczaj wprawiać Anię w zakłopotanie, pytając ją zawsze w obecności gromadki młodzieży i zawsze głośno, czy miała ostatnio wiadomości od Gilberta. Biedna Ania mogła się tylko rumienić straszliwie i mrużyć: „Niezupełnie ostatnio”, co wszyscy, nie pomijając i samej pani Blythe, uważali za zwykłą wstydlivość dziewczęcą.

Nie bacząc jednak na to, spędzała Ania lato bardzo mile. Priscilla przybyła z wizytą w czerwcu, a gdy odjechała, przyjechali państwo Inving, Jasio i Karolina Czwarta na lipiec i sierpień.

Chatka Ech stała się znowu widownią zabaw, a echa nad rzeką miały wiele roboty, odbijając śmiechy, które brzmiały nieustannie w ogrodzie.

Panna Lawenda nie zmieniła się wcale, stała się tylko jeszcze słodsza i piękniejsza. Jasio ubóstwiał ją, a zażyłość ich sprawiała radosne wrażenie.

— Ale mimo to nie nazywam jej mamą — oznajmił Ani. — Ta nazwa należy się tylko mojej własnej, małej mateczce, nie mogę jej nadać nikomu innemu. Rozumie mnie pani przecież. Ale nazywam ją „mamą Lawendą” i poza ojcem najbardziej ją kocham. Nawet... nawet kocham ją troszeczkę więcej, niż panią.

— Jak też być powinno — odpowiedziała Ania.

Jasio miał teraz trzynaście lat i był na swój wiek bardzo wysoki. Twarz jego i oczy były tak piękne, jak zawsze, a siła jego wyobraźni była ciągle jeszcze niby przyzmat, który wszelki podający nań promień światła rozszczepiał na kolory tęczy. On i Ania robili piękne wycieczki do lasu, na pola i wybrzeże. Trudno było znaleźć bardziej odpowiadające sobie „pokrewne duchy”.

Karolina Czwarta rozkwitła dziewczęcym wdziękiem. Włosy upięte miała teraz w wielki węzeł, ale twarz jej ciągle jeszcze była tak piegowata, nos ciągle jeszcze tak spłaszczony, a usta i uśmiech ciągle jeszcze tak szerokie, jak zawsze.

— Nie sądzi pani chyba, że mówię z akcentem amerykańskim, panno Shirley? — zapytała.

— Nie zauważyłam tego, Karolino.

— To mnie rzeczywiście cieszy. Podobno w domu mówiłam tak, ale myślę, że mnie tym tylko drażniono. Nie chcę mieć akcentu amerykańskiego. Nie mogę co prawda powiedzieć ani słowa przeciwko jankesom, panno Shirley. Są oni rzeczywiście cywilizowani. Ale kochana Wyspa Księcia Edwarda jest mi zawsze droższa.

Pierwsze dwa tygodnie spędził Jasio z babką, panią Irving, w Avonlea. Gdy przybył, Ania spotkała się z nim i ujrzała, że płonął pragnieniem znalezienia się na wybrzeżu — gdzie powinna być Nora, Złota Pani i Bliźnięta-Żeglarze. Nie mógł się doczekać, aż zje kolację. Czyż mógł nie ujrzeć twarzy nimfy Nory, która wyczekiwała go z tęsknotą na wierzchołku skały? Ale gdy powrócił z wybrzeża o zmroku, był bardzo trzeźwym chłopcem.

— Czy nie odnalazłeś swego Ludku Skalnego? — zapytała Ania.

Jasio potrząsnął głową z zaskowaniem.

— Bliźnięta-Żeglarze i Złota Pani w ogóle już nie przyszedli — rzekł. — Nora była, ale to już nie ta sama Nora, zmieniła się.

— O Jasiu, to ty się zmieniłeś — odpowiedziała Ania. — Stałeś się za stary dla Ludku Skalnego. Dla nich tylko dzieci są odpowiednimi towarzyszami zabaw. Obawiam się, że Bliźnięta-Żeglarze nigdy już nie przybędą do ciebie w czarownej łodzi perłowej z żaglem z promieni księżycowych. A złota Pani także nie zagra ci już na złotej harfie. Nawet Nory nie będziesz już widywał. Musisz zapłacić cenę tego, że stałeś się dorosły, Jasiu. Musisz porzucić kraj baśni.

— Widzę, że oboje jak dawniej gadacie głupstwa — rzekła stara pani Irving, na wpół pobłażliwie, na wpół karcąco.

— O nie — rzekła Ania, poważnie potrząsając głową. — Staliśmy się bardzo, bardzo mądrzy, a szkoda... Stajemy się o wiele mniej zajmujący, gdy się nauczyliśmy, że mowa dana nam jest po to, aby ukrywać myśli.

— Ale tak nie jest, mowa dana nam jest po to, żeby wyrażać myśli — odpowiedziała pani Irving poważnie.

Ania spędziła w Chatce Ech dwa tygodnie w początku sierpnia. Mieszkając tam, starała się przynaglic Ludwika Speeda, który tak powolnie zabiegał o względy Teodory Dix. W tym samym czasie znajdował się tam także Arnold Sheram, stary przyjaciel Irvingów, który nie przyczyniał się jednak ani trochę do powszechnej radości.

— Jak miły był ten okres — rzekła Ania. — Czuję się orzeźwiona. A za dwa tygodnie będę znowu w Kingsporcie i w Redmondzie i w „Ustroniu Patty”. „Ustronie Patty” to najczarowniejszy dom, panno Lawendo. Mam wrażenie, jakbym miała dwa domy rodzinne — jeden to Zielone Wzgórze, a drugi „Ustronie Patty”. Ale gdzie się podziało lato? Wydaje mi się, że dzień minął zaledwie od owej chwili, gdy przybyłam wieczorem wiosennym z konwalią. Kiedy byłam mała, nie widziałam z jednego końca lata drugiego. Rozciągało się przede mną niby bezgraniczny okres czasu. Teraz jest króciutkie jak bajka.

— Aniu, czy jesteś jeszcze tak zaprzyjaźniona z Gilbertem Blythem, jak dawniej? — zapytała panna Lawenda spokojnie.

— Jestem tak samo przyjaciółką Gilberta, jak zawsze, panno Lawendo.

Panna Lawenda potrząsnęła głową.

— Widzę, że coś się zepsuło, Aniu. Będę natarczywa i zapytam cię, co. Czy pospie-raliście się?

— Nie, tylko że Gilbert wymaga ode mnie czegoś więcej, niż przyjaźni, a ja mu więcej dać nie mogę.

— Czy jesteś tego pewna, Aniu?

— Zupełnie pewna.

— Bardzo, bardzo mi żal.

— Ciekawam, dlaczego każdy sądzi, że powinnam wyjść za Gilberta — rzekła Ania rezolutnie.

— Ponieważ stanowicie idealną parę, Aniu. Nie oburzaj się, to fakt.

## ROZDZIAŁ XXIV. ZJAWIA SIĘ JANUSZ<sup>67</sup>

*Prospect Point, 20 sierpnia*

Kochana Aniu!

Muszę sobie porządnie przetrzeć oczy, żeby napisać do Ciebie. Tego lata bezwstydnie Cię zaniedbywałam, ale ten sam los spotkał wszystkich innych, z którymi powinnam korespondować. Mam odpowiedzieć na olbrzymią ilość listów. Piszę jednak do Ciebie, chociaż mi się okropnie chce spać. Wczoraj wieczorem byliśmy z kuzynką Emilią u sąsiadów. Było tam jeszcze wielu innych gości, a gdy tylko te nieszczęsne istoty opuściły nas, gospodyni i jej trzy córki poczęły na nich ostrzyć języki. Wiedziałam, że gdy my odejdziemy, będzie to samo. Kiedyśmy przyszły do domu, pani Lili oznajmiła nam, że chłopiec, który służy u tej sąsiadki, ma szkarlatynę. Pani Lili zawsze skłonna jest do udzielania takich wesołych wiadomości. Czuję niebывały lęk przed szkarlatyną. Nie mogłam spać, gdyż cały czas myślałam o tym. Przewracałam się na łóżku, a gdy zadrzemałam na chwilę, trapiły mnie okropne sny. A o trzeciej obudziłam się z gorączką, bolało mnie gardło, a głowa pękała mi. Byłam pewna, że mam szkarlatynę. W przerażeniu wstałam, wzięłam książkę lekarską kuzynki Emilii i zbadałam symptomy szkarlatyny. Aniu, miałam je wszystkie! Położyłam się więc z powrotem, a że wiedziałam już najgorsze, przespałam resztę nocy jak suseł. Ale dzisiaj rano czułam się już zupełnie dobrze, więc nie mogła to być szkarlatyna. Zresztą, gdybym się wczoraj wieczorem zaraziła, choroba nie mogła-

<sup>67</sup>Janusz — w oryg. ang.: Jonas. [przypis edytorski]

by się tak szybko rozwinać. W dzień rozumiem to oczywiście, ale o trzeciej w nocy nie potrafiłam myśleć logicznie.

Jesteś pewnie ciekawa, co robię w Prospect Point. Lubię zawsze spędzać jeden miesiąc lata na wybrzeżu, a ojciec nalega stale, żebym jechała do wyborowego pensjonatu jego kuzynki z trzeciej linii w Prospect Point. Przyjechałam więc tu jak zwykle przed dwoma tygodniami. I jak zwykle pocziwy „wuj” Marek Miller przywiózł mnie ze stacji swoim starym powozikiem. Jest to miły staruszek. Dał mi całą garść różowych miętówek. Miętówki wydają mi się zawsze czymś w rodzaju religijnych słodczy, zapewne dlatego, że gdy byłam małą dziewczynką, babcia Gordon dawała mi je zawsze w kościele. Kiedyś zapytałam, nawiązując do zapachu miętówek: „Czy to jest zapach świętości?”. Nie chciałam jeść miętówek wuja Marka, gdyż wyłowił je po prostu z kieszeni razem z kilkoma zardzewiałymi gwoździami i innymi drobiazgami. Ale nie mogłam urazić jego uczuć, więc ostrożnie rzucałam je od czasu do czasu na drogę. Gdy poz byłam się ostatniej, wuj Marek rzekł z lekką naganą: „Nie powinna pani zjadać od razu wszystkich słodczy, panno Filo, zepsuje sobie pani żołądek”.

Kuzynka Emilia ma prócz mnie tylko pięcioro pensjonarzy, cztery starsze panie i jednego młodzieńca. Sąsiadką moją z prawej strony jest pani Lili. Należy ona do osób, którym największą przyjemność sprawia opowiadać ze wszystkimi szczegółami o swoich dolegliwościach i chorobach. Trudno wymienić jakąś chorobę, aby nie powiedziała zaraz, potrząsając głową: „A, znam to aż nazbyt dobrze”. I wylicza potem wszystkie szczegóły. Janusz powiada, że kiedyś wspomniał w jej obecności o „ataksji ruchomej”, a ona oznajmiła, że zna to aż nazbyt dobrze. Chorowała na to od dziesięciu lat, aż uleczył ją wreszcie jakiś znachor.

Kto to jest Janusz? Cierpliwości, Aniu! Dowiesz się wszystkiego o Januszu we właściwym czasie i na właściwym miejscu. Nie należy go mieszać z czcigodnymi starymi paniami.

Sąsiadką moją z lewej strony przy stole jest pani Phinney. Mówi zawsze bolesnym głosem — zawsze się człowiek spodziewa, że lada chwila wybuchnie łzami. Sprawia ona wrażenie, jakby życie jej było istotnie padolem płaczu, i uważa, że uśmiech — nie mówiąc już o śmiechu — jest istotnie lekkomyślnością nie do przebaczenia. Jest o mnie gorszego jeszcze zdania, niż ciotka Jakubina.

Panna Maria Grimsby siedzi w rogu stołu. Pierwszego dnia po przybyciu powiedziałam do panny Marii, że zanoszę się na deszcz. A ona roześmiała się. Powiedziałam, iż zdaje mi się, że są tu moskity. A ona roześmiała się. Powiedziałam, że Prospect Point jest piękny jak zawsze. A ona roześmiała się. Gdybym powiedziała pannie Marii, że ojciec mój powiesił się, matka się otruliła, brat znajduje się w więzieniu, a ja mam galopujące suchoty, ona roześmiałaby się. Nie potrafi inaczej, tak się urodziła. Ale jest to bardzo smutne i okropne.

Następną starą damą jest pani Grant. Jest to słodka, kochana staruszka. Ale nigdy nie mówi o nikim nic, prócz dobrego, jest więc bardzo niezajmującą w rozmowie.

A teraz Janusz!

Pierwszego dnia po przybyciu ujrzałam młodzieńca, który siedział naprzeciw mnie przy stole i uśmiechnął się do mnie, jakby mnie znał od kołyski. Od wuja Marka wiedziałam, że nazywa się on Janusz Blake i jest studentem teologii z St. Columba, a tego lata sprawuje obowiązki w kościele misyjnym w Prospect Point.

Jest to bardzo brzydki młodzieniec — rzeczywiście, najbrzydszy to mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ma wysoką, niezgrabną figurę o absurdalnie długich nogach. Włosy ma barwy lnu i gładkie, oczy zielonkawe, usta wielkie, a uszy... ale staram się nie myśleć o jego uszach!

Ma bardzo miły głos — gdy się przymyka oczy, jest czarujący — i ma zaprawdę piękną duszę i charakter.

Natychmiast zaprzyjaźniliśmy się z sobą. Oczywiście jest absolwentem Redmondu i to jest ogniwem, które nas łączy. Chodziliśmy razem na ryby i wiosłowaliśmy, spacerowaliśmy po wybrzeżu przy świetle księżyca. Przy świetle księżyca był bardzo ładny. Starym damom prócz pani Grant Janusz się nie podoba, gdyż śmieje się i żartuje, a moje trzpiotowate towarzystwo woli od ich obecności.

Nie chciałam jednak, Aniu, aby mnie uważał za trzpiotkę. Śmieszne to jest. Dlaczego miałoby mi zależeć na tym, co myśli o mnie płowowłosa osoba, imieniem Janusz, której nigdy dotąd nie widziałam?

Ubiegłej niedzieli Janusz kazał w kościele wiejskim. Poszłam tam oczywiście, ale nie mogłam zrozumieć, że Janusz ma wygłaszać kazanie. Fakt, że jest on duchownym czy ma nim zostać, wydawał mi się stale jakimś żartem.

Więc Janusz kazał. A nawiasem mówiąc, kazał dziesięć minut. Czulałam się tak mała i niepozorna, iż miałam wrażenie, że jestem niedostrzegalna gołym okiem. Janusz nie powiedział ani słowa o kobietach i ani razu nie spojrzął na mnie. Ale rozumiałam mimo to, jaką byłam nędzną, lekkomyślną, małoduszną, drobną istotką i jak bardzo musiałam się różnić od ideału kobiecego Janusza. Ona musiałaby być wielka i silna, i szlachetna. Był taki poważny i subtelny, i szczery. Był wszystkim, czym duchowny powinien być. Nie rozumiałam, że mógł mi się kiedyś wydawać brzydkim — ale przecież jest jednak brzydki! — mimo swych natchnionych oczu i inteligentnych brwi.

Było to wspaniałe kazanie, gotowa byłam słuchać go przez całe życie. O, pragnęłam w tej chwili być taką<sup>68</sup>, jak Ty, Aniu.

Po drodze do domu przyłączył się do mnie i uśmiechał się tak wesoło, jak zwykle, ale uśmiech jego nie mógł mnie już złudzić. Ujrzałam *prawdziwego* Janusza. Ciekawa byłam, czy ujrzy on kiedykolwiek *prawdziwą* Filę, której nie widział dotąd *nikt*, nawet Ty, Aniu.

„Januszu”, rzekłam, zapominając nazwać go panem Blake — czy to nie było okropne? — ale bywają chwile gdy takie sprawy nie mają znaczenia — „Januszu, jest pan urodzony na duchownego! Nie *mógł* pan zostać niczym innym!”

„Nie, nie mogłem”, odpowiedział Janusz trzeźwo. „Przez długi czas próbowałem zostać czymś innym, gdyż nie chciałem być duchownym. Ale ostatecznie zrozumiałem, że urząd ten został mi przeznaczony, i z pomocą Bożą spróbuję go pełnić”.

Głos jego był cichy i pokorny. Pomyślałam, że będzie on pełnił swój urząd dobrze i szlachetnie. Szczęśliwą wydawała mi się kobietą, która z natury byłaby dla niego przeznaczona i potrafiłaby mu pomagać. *Ona* nie byłaby piórkiem, które lada wietrzyk unosi w górę, *ona* wiedziałaby zawsze, który kapelusz włożyć, prawdopodobnie miałyby tylko jeden. Duchowni nie są nigdy bogaci. Ale nie martwiłoby jej na pewno, że ma tylko jeden kapelusz, albo i żadnego, gdyż miałyby Janusza.

Aniu, nie śmieję mówić, albo napomykać, albo myśleć choćby, że zakochałam się w panu Januszu Blake. Czyż może *dla mnie* coś znaczyć skromny, ubogi, brzydki teolog, imieniem Janusz? Jak powiada wuj Marek, jest to niemożliwe, co więcej — nieprawdopodobne.

*Dobranoc!*

*FILA*

P. S. Jest to niemożliwe, ale strasznie się boję, że to jest prawdą. Jestem szczęśliwa i zrozpaczona, i przerażona. Jemu nigdy na mnie nie będzie zależało, wiem o tym. Czy sądzisz, że mogłabym się kiedyś stać znośną pastorową, Aniu?

*F. G.*

## ROZDZIAŁ XXV. ZJAWIA SIĘ KSIĄŻĘ Z BAJKI

— Zastanawiam się, co teraz robić — rzekła Ania, wyglądając przez okno „Ustronia Patty” na oddalone sosny w parku. — Mam wolne popołudnie, które mogę spędzić w słodkiej beczynności, ciotko Jakubino. Czy mam je spędzić tutaj, gdzie pali się wesoły ogień, gdzie stoi miska wspaniałych jabłek, gdzie mruczą trzy zgodne koty, a dwa niewinne psy porcelanowe podnoszą zielone noski? Czy też pójść do parku, gdzie kuszą mnie szare drzewa i szare wody, uderzające o nadbrzeżne skały przystani?

<sup>68</sup>*być taką* — dziś popr.: być taka. [przypis edytorski]

— Gdybym była tak młoda, jak ty, zdecydowałabym się na przechadzkę po parku — odpowiedziała ciotka Jakubina, łaskocząc żółte ucho Józka drutem do robienia pończoch.

— Sądziłam, że uważasz się za równie młodą, jak któraś z nas, cioteczko — zażartowała Ania.

— Owszem, w duszy. Ale muszę przyznać, że nogi moje nie są tak młode, jak twoje. Idź i rozkoszuj się świeżym powietrzem, Aniu, ostatnio wyglądasz bardzo blade.

— Pójdę chyba do parku — rzekła Ania z decyzją. — Nie czuję się dzisiaj usposobiona do przebywania w domu. Muszę być sama, wolna i dzika. Park będzie pusty, gdyż wszyscy poszli pewnie na zawody piłki nożnej.

— A dlaczego ty nie poszłaś?

— Nikt mnie nie zaprosił. A raczej nikt prócz tego okropnego małego Dana Ragera. Za żadną cenę nie poszłabym z nim. Ale żeby nie zranić jego delikatnych uczuć, powiedziałam, że nie bywam w ogóle na zawodach piłkarskich. Nie zależy mi na tym zresztą. Nie jestem dziś usposobiona do piłki nożnej.

— Więc wyjdź trochę na świeże powietrze — powtórzyła ciotka Jakubina — ale zabierz parasol, bo zdaje mi się, że będzie deszcz. Czuję reumatyzm w nodze.

— Tylko starzy ludzie miewają reumatyzm, cioteczko!

— Każdy narażony jest na reumatyzm w nogach, Aniu. Ale tylko starzy ludzie miewają reumatyzm w duszy. Dzięki Bogu, ja go nie mam. Gdy dostaniesz reumatyzm w duszy, możesz sobie iść zaraz zamówić trumnę.

Był listopad, miesiąc karmazynowych zachodów słońca, odlatujących ptaków, głębokich, smutnych hymnów morza, namiętnego śpiewu wichru w sosnach. Ania wałęsała się po alejach parku, aby — jak mówiła — silny wicher wywiał mgłę z jej duszy. Nie była przyzwyczajona do mgły na duszy. Ale od powrotu do Redmondu na ten trzeci rok, w duchu jej życie nie odbijało się już z dawną idealną przejrzystością.

Na zewnątrz życie w „Ustroniu Patty” nie zmieniło się zupełnie i było nadal miłą kolejnością pracy, studiów i doskonalenia się. W wieczory piątkowe wielka ogrzana bawialnia pełna była gości i rozbrzmiewała nieustannymi żartami i chichotami, zaś ciotka Jakubina promiennie uśmiechała się do wszystkich. Listy od Janusza nadchodziły do Fili co rano, a co wieczór odchodziła do niego odpowiedź. Był on ulubieńcem wszystkich w „Ustroniu Patty”, chociaż ciotka Jakubina potrząsała głową, wyrażając pogląd, że studenci teologii nie są tym, czym być powinni.

— Bardzo jest miły, moja droga — rzekła do Fili — ale duchowni powinni być poważniejsi i bardziej majestatyczni.

— Czyż człowiek nie może się śmiać, a jednak być kapłanem? — zapytała Fila.

— *Ludzie* tak, ale ja mówiłam o *duchownych*, moja droga — zganiała ją ciotka Jakubina. — Nie powinnaś też tak flirtować z panem Blake, rzeczywiście nie powinnaś.

— Nie flirtuję z nim — zaprotestowała Fila.

Nikt jej nie wierzył, prócz Ani. Inni sądzili, że bawi się ona w tym wypadku zupełnie tak samo, jak zwykle, i bez ogródki oświadczała jej, że postępuje bardzo źle.

— Pan Blake nie należy do gatunku Olesiai Alfonsa — rzekła raz Stella surowo. — Traktuje on wszystko poważnie. Możesz mu złamać serce.

— Czy sądzisz rzeczywiście, że mogłabym? — zapytała Fila. — Rada bym była, gdybym mogła w to wierzyć.

— Filipo Gordon! Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś tak zupełnie pozbawiona uczucia. Jak możesz mówić, że byłabyś rada, gdybyś mogła złamać komuś serce!

— Nie tak powiedziałam, moja droga. Powtarzaj moje słowa dokładnie. Powiedziałam, że rada bym była, gdybym mogła uwierzyć, że *zdołałabym* je złamać. Chciałabym wiedzieć, że posiadam siłę po temu.

— Nie rozumiem cię, Filo. Wodzisz go za nos, a wiesz, że nie masz przy tym poważnych zamiarów.

— Chcę go doprowadzić do tego, żeby mi się oświadczył... jeżeli zdołam — odpowiedziała Fila spokojnie.

— Nie będę się z tobą spierała — rzekła Stella beznadziejnie.

Gilbert przychodził niekiedy w piątki. Zawsze wydawał się w dobrym humorze i dostrzymywał innym kroku w żartach i docinkach. Towarzystwa Ani nie szukał szczególnie, ale go też nie unikał. Gdy się przypadkiem znaleźli razem, rozmawiał z nią uprzejmie

Starość



i powściągliwie, jak z nową znajomą. Stara przyjaźń minęła zupełnie. Ania odczuwała to wyraźnie, ale powiadała sobie, że rada jest i wdzięczna Gilbertowi za jego zupełne przewyciężenie rozczarowania w stosunku do niej. Obawiała się istotnie owego wieczora kwietniowego w ogrodzie, że go dotkliwie zraniła i że rana ta długo się będzie leczyła. Teraz widziała, że nie było powodu do uskarżania się na to. Wielu ludzi umarło już i robaki ich zjadły — ale nie umarli z miłości. Gilbertowi najwidoczniej nie groziło niebezpieczeństwo bliskiej śmierci. Zażywał życia i był pełen ambicji i werwy. On nie potrafił usyschać z rozpaczy dlatego, że jakaś kobieta była piękna i zimna. Ania, przysłuchując się nieustannie paplaninie jego z Filą, zastanawiała się, czy nie wmówiła sobie tylko owego błysku w jego oczach, gdy mu powiedziała, że nigdy nie będzie jej na nim zależało.

Nie brakło takich, którzy chętnie zajęliby wakujące po Gilbertcie miejsce. Ale Ania odrzucała ich zabiegi bez lęku. Gdyby właściwy „książę z bajki” nigdy nie miał przyjść, nie chciała zastępcy. Tak sobie powiedziała surowo owego szarego dnia w wietrznym parku.

Nagle spełniła się przepowiednia ciotki Jakubiny i deszcz lunął z poświstem. Ania otworzyła parasol i poczęła zbiegać ze zbrocza. Gdy wbiegała na ulicę portową, dziki wichur powiał obok niej. W jednej chwili parasol jej wyrzucił się na opak. Ania chwyciła z rozpaczą za druty. A potem... tuż obok niej rozległ się jakiś głos:

— Przepraszam, czy mogę pani zaoferować swój parasol?

Ania podniosła wzrok. Wysoki, piękny i dystyngowany, z ciemnymi, melancholijnymi, niezgłębionymi oczyma, z melodyjnym, sympatycznym głosem, tak, prawdziwy bohater jej marzeń stał przed nią cieleśnie. Nie mógłby bardziej odpowiadać jej ideałowi, gdyby był nawet zrobiony na zamówienie.

— Dziękuję panu — odpowiedziała zmieszana.

— Może pośpieszymy do tego małego pawilonu na końcu ulicy? — zaproponował nieznajomy. — Możemy tam przeczekać, aż ulewa przeminie. Nie potrwa to pewnie długo.

Słowa te były zupełnie zwyczajne, ale ten ton! I ten uśmiech, który im towarzyszył! Ania czuła, że serce jej bije, jak nigdy dotąd.

Pobiegli razem do pawilonu i bez tchu usiedli pod jego gościnnym dachem. Ania ze śmiechem podniosła swój wyrzucony parasol.

— Gdy parasol mój wywraca się stroną wewnętrzną na zewnątrz, przekonywam<sup>69</sup> się o złośliwości przedmiotów martwych — rzekła wesoło.

Krople deszczu padały na jej połyskujące włosy. Rozluźnione ich loki wiły się na jej szyi i czole. Policzki miała zarumienione, oczy rozszerzone i błyszczące. Towarzysz jej spoglądał na nią z uwielbieniem. Uczuła, że rumieni się pod jego spojrzeniem. Kim on mógł być? Na kłapie jego płaszcza widniała biało-szkarłatna wstążeczka redmondzka. Dotychczas Ania sądziła, że zna przynajmniej z widzenia wszystkich studentów Redmondu, z wyjątkiem „nowicjuszków”. A ten uprzejmy młodzieniec z pewnością nie był „nowicjuszem”.

— Jak widzę, jesteście kolegami — rzekł, spoglądając z uśmiechem na barwy Ani. — Powinno by to właściwie wystarczyć jako powód do zawarcia znajomości. Moje nazwisko jest Royal Gardner. A pani jest ową panną Shirley, która niedawno recytowała podczas wieczoru filomackiego Tennysona, prawda?

— Tak, ale nie mogę sobie pana zupełnie przypomnieć — przyznała Ania otwarcie. — Na którym pan jest kursie, jeśli wolno zapytać?

— Mam wrażenie, jakbym jeszcze nie był na żadnym. Przed dwoma laty przerwałem studia w Redmondzie, przesłuchawszy tu dwa lata. Potem bawiłem w Europie. Teraz powróciłem, aby ukończyć studia.

— I ja jestem na trzecim roku — rzekła Ania.

— Więc jesteście nie tylko kolegami uniwersyteckimi, ale nawet z tego samego kursu. Pogodziłem się ze stratą tych dwóch lat, które pożarła szarańcza — rzekł jej towarzysz.

Deszcz lał nieustannie przez pół godziny. Ale czas ten wydał się Ani rzeczywiście bardzo krótki. Gdy chmury przerzedziły się i blade słońce listopadowe przedarło się przez nie, Ania i jej towarzysz ruszyli razem w stronę domu. Zanim stanęli przed bramą „Ustronia Patty”, nowy znajomy poprosił o pozwolenie odwiedzenia jej i otrzymał je. Ania weszła do domu z rozpalonymi policzkami, a serce jej biło mocno. Morusek, który skoczył jej

<sup>69</sup>przekonywam się — dziś powszechniejsza forma 1 os. lp cz.ter.: przekonuję się. [przypis edytorski]

na kolana i chciał ją polizać, spotkał się z bardzo obojętnym powitaniem. Ania, której dusza pełna była teraz romantycznego dreszczu, nie mogła zwrócić uwagi na kotka.

Tego wieczora doręczano w „Ustroniu Patty” paczkę dla panny Shirley. Było to pudełko, zawierające tuzin wspaniałych róż. Fila natarczywie rzuciła się na wizytówkę, która wypadła z pudełka, i przeczytała nazwisko z poetyczną dedykacją, napisaną na drugiej stronie.

— Royal Gardner! — zawołała. — No, Aniu, nie wiedziałam, że znasz Roya Gardnera!

— Spotkałam go dzisiaj po południu w parku podczas deszczu — wyjaśniła Ania szybko. — Parasol mój wyrzucił się na opak, a on przyszedł mi ze swoim z pomocą.

— O! — Fila z zaciekawieniem spojrzała na Anię. — I czyż ten zupełnie prozaiczny przypadek jest dostatecznym powodem, że przysła ci on tuzinami wysokopienne róże z nader sentymentalnym wierszem? I dlaczego właściwie mamy się rumienić jak boska róża, gdy spoglądamy na jego wizytówkę? Aniu, twoja twarz cię zdradza.

— Nie gadaj głupstw, Filo. Czy znasz pana Gardnera?

— Znam jego dwie siostry i słyszałam o nim. Każdy go w Kingsporcie zna ze słyszenia. Gardnerowie należą do najbogatszych i najbardziej synych z synich nosów. Roy jest czarująco piękny i mądry. Przed dwoma laty zdrowie jego matki było zagrożone, i Roy musiał opuścić uniwersytet i wyjechać z nią zagranicę. Ojciec jego nie żyje. Roy musiał być bardzo zmartwiony koniecznością przerwania studiów, ale podobno zniósł to dzielnie. Fe, fe, Aniu, wietrzę tu jakiś romans. Jestem prawie zazdrosna, ale niezupełnie. Ostatecznie Roy Gardner to nie Janusz.

— Gąsko! — rzekła Ania wyniośle.

Ale tej nocy długo leżała z otwartymi oczyma, nie pragnąc wcale spać. Rojenia na jawie były dla niej daleko bardziej kuszące, niż najpiękniejsze wizje z krainy snów. Czy prawdziwy książę przyszedł wreszcie? Przypominając sobie owe ciemne, piękne oczy, które tak głęboko spoglądały w jej oczy, była Ania skłonna wierzyć, że to był on.

## ROZDZIAŁ XXVI. ZJAWIA SIĘ KRYSZYNA

Dziewczęta z „Ustronia Patty” ubierały się na przyjęcie, jakie studenci trzeciego roku wydawali dla słuchaczy ostatniego kursu w lutym. Ania przeglądała się z dziewczęcym zadowoleniem w lustrze niebieskiego pokoju. Nosila wyjątkowo piękną suknię. Początkowo była to tylko skromna sukienka z kremowego jedwabiu, pokrytego szyfonem. Ale Fila nalegała, aby Ania pozwoliła jej zabrać tę suknię do domu na święta Bożego Narodzenia, i cały szyfon pokryła wyhaftowanymi małymi pączkami róż. Paluszki Fili były zręczne, a rezultatem była suknia, która stała się przedmiotem zazdrości każdej dziewczynki w Redmondzie, Nawet Ala Boone, której suknie wieczorowe pochodziły z Paryża, tęsknym wzrokiem spoglądała na te pączki róż, gdy Ania wchodziła po schodach Redmondu.

Ania badała efekt białej orchidei we włosach. Roy Gardner przysłał jej na przyjęcie białe orchidee, a Ania wiedziała, że żadna z jej koleżanek nie będzie miała tego wieczora białych orchidei. W tej chwili weszła Fila, z uwielbieniem spoglądając na przyjaciółkę.

— Aniu, tego wieczora będziesz niewątpliwie wyglądała najpiękniej. Na dziesięć wieczorów podczas dziewięciu z łatwością mogę cię zaćmić. Ale dziesiątego rozkwitasz nagle, czymś, co gasi zupełnie mój urok. Jak ty to robisz?

— To zasługa sukni, moja droga, piękne piórka.

— To nie to. Niedawno zajaśniałaś tak pewnego wieczora, chociaż nosiłaś tylko niebieską bluzkę flanelową, którą uszyła ci pani Linde. Gdyby Roy nie stracił już dla ciebie głowy i serca, stałoby się to na pewno dzisiejszego wieczora. Ale nie lubię, jak nosisz orchidee, Aniu. Nie, to nie zazdrość. Orchidee nie wydają mi się *odpowiednie* dla ciebie. Są zbyt egzotyczne, zbyt tropikalne, zbyt wyzywające. Nie wsadzaj ich do włosów.

— Dobrze, nie zrobię tego. Przyznaję, że i mnie się nie podobały. Nie sądzę, aby były dla mnie odpowiednie. Roy nie przysyła mi ich często, wie, że lubię kwiaty, z którymi mogę współżyć. Orchidee to tylko kwiaty do składania wizyt.

— Janusz przysłał mi kilka pięknych różowych pąków róż na wieczór, ale sam nie przyjdzie. Powiada, że ma jakieś zebranie kościelne w ubogiej dzielnicy miasta. Myślę,

że nie chciał wcale przyjąć. Aniu, strasznie się boję, że Januszowi w istocie nie bardzo na mnie zależy, i próbuję się zdecydować, czy mam uschnąć z żalu i umrzeć, czy też żyć nadal, aby skończyć studia i stać się mądrą i użyteczną.

— Ponieważ niemożliwym jest, abyś się stała mądrą i użyteczną, więc lepiej by było, gdybyś uschnęła<sup>70</sup> z żalu i umarła — odpowiedziała Ania niemiłosiernie.

— Aniu bez serca!

— Filo bez rozumu! Wiesz doskonale, że Janusz cię kocha.

— Ale... nie chce mi tego *powiedzieć*. A ja go do tego nie mogę *zmusić*. Okazuje to, to muszę przyznać, ale przemawianie oczyma nie jest dostatecznym powodem, żeby haftować serwetki i robić ażurki do obrusa. Nie zacznę tej roboty wcześniej, aż rzeczywiście będę zaręczona. To by było kuszeniem losu.

— Pan Blake lęka się zapytać cię, czy chcesz wyjść za niego, Filo, jest ubogi i nie może ci zaofiarować domu, jaki miałaś zawsze. Wiesz, że to jest jedyny powód, dla którego się nie odzywa.

— Przypuszczam, że tak jest — przyznała Fila boleśnie. — No, dobrze — rzekła, poweselawszy nagle. — Jeżeli on nie chce się mnie oświadczyć, oświadczę się ja jemu. W ten sposób będę pewna, że wszystko będzie w porządku. Nie będę się tym martwiła. Nawiasem mówiąc, Gilbert Blythe chodzi stale z Krystyną Stuart. Czy wiesz o tym?

Ania zapinała właśnie na szyi mały łańcuszek złoty. Nagle przekonała się, że zamek źle funkcjonował. Co się z nim stało — czy też z palcami?

— Nie — rzekła obojętnie — kto to jest Krystyna Stuart?

— Jest to siostra Ronalda Stuarta. Studiuje tej zimy muzykę w Kingsporcie. Nie widziałam jej, ale podobno jest bardzo ładna, a Gilbert ma za nią szaleć. Jakże ja byłam zła, gdy odrzuciłaś Gilberta, Aniu! Ale Roy Gardner był dla ciebie przeznaczony. Teraz to widzę. Ostatecznie miałaś jednak rację.

Ania nie zarumieniła się, jak zwykle, gdy dziewczęta napomykały o jej przyszłym małżeństwie z Royalem Gardnerem jako o rzeczy zdecydowanej. Nagle poczuła się nieco nieswojo. Paplanina Fili wydawała się jej trywialna i nudna. Klapsnęła biednego Moruska.

— Wynoś mi się zaraz z tej poduszki, wstrętny kocie! Dlaczego nie siedzisz na dole, gdzie twoje miejsce?

Ania wzięła orchidee i zeszła na dół, gdzie ciotka Jakubina przydawała przed szeregiem palt, rozwieszonych przed ogniem. Roy Gardner czekał na Anię i pieścił kota Magdy. Kot nie miał do niego zaufania; stale odwracał się do niego tyłem. Ale wszyscy inni w „Ustroniu Patty” bardzo lubili Roya. Ciotka Jakubina, zachwycona jego uprzejmością i przekonującym tonem jego głosu, twierdziła, że jest on najmilszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znała i że Ania jest bardzo szczęśliwą dziewczyną. Takie uwagi gniewały Anię. Zaloty Roya były rzeczywiście tak romantyczne, jak tylko pragnąć mogło serce dziewczęce, ale Ania nie chciała, aby ciotka Jakubina i dziewczęta uważały sprawę za załatwioną. Gdy Roy, pomagając jej włożyć płaszcz, wypowiedział jakiś poetyczny komplement, nie zarumieniła się i nie zadrżała jak zwykle, a jemu wydała się Ania podczas krótkiej drogi do Redmondu nieco milcząca. Gdy wychodziła z garderoby, miał wrażenie, że wygląda nieco blade. Ale kiedy weszli na salę, kolory powróciły nagle na jej twarz, a oczy zabłyśły znowu. Zwróciła się do Roya z najweselszym swoim wyrazem. Roy odpowiedział jej uśmiechem, jaki Fila nazywała „głębokim, czarnym, aksamitnym uśmiechem”. Ale w istocie Ania nie widziała w ogóle Roya. Uświadomiła sobie w tej chwili, że naprzeciwko niej stał pod palmą Gilbert, rozmawiając z dziewczyną, która musiała być Krystyną Stuart.

Była bardzo piękna i elegancka, wysoka, o ciemnoniebieskich oczach i ciemnych, połyskujących, gładkich włosach.

„Wygląda zupełnie tak, jak ja pragnęłam zawsze wyglądać”, pomyślała Ania przygnębiona. „Cera jak płatki róż. Błyszczące fiołkowe oczy. Kruczo czarne włosy. Tak, ona ma to wszystko. Dziwne, że nie nazywa się Kordelia Fitzgerald. Ale zdaje mi się, że figurę ma gorszą ode mnie, a nos już na pewno”.

Ania czuła się tym faktem nieco pocieszona.

<sup>70</sup>uschnęła — dziś popr. forma 3 os. lp cz.przesz. r.ż.: uschła. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XXVII. WZAJEMNE ZWIERZENIA

Marzec był tej zimy niezwykle łagodny i przyniósł ze sobą dni świeże i złociste, i dźwięczne.

Dziewczęta w „Ustroniu Patty” znajdowały się pod wrażeniem egzaminów kwietniowych. Uczyły się wytrwale. Nawet Fila zasiadła nad książkami z zapalem, którego trudno się było po niej spodziewać.

— Chcę zdobyć stypendium Johnsona za matematykę — oświadczyła spokojnie. — Mogłabym tego łatwo dokonać w greckim, ale wolę zdobyć matematyczne, gdyż chcę dowieść Januszowi, że jestem niezmiernie mądra.

— Janusz kocha cię bardziej dla twoich wielkich brunatnych oczu i twego uśmiechu, niż dla całego mózgu, jaki kryje się pod twymi lokami — rzekła Ania.

— Kiedy ja byłam dziewczynką, nie uważano za wytworne, aby kobieta znała się na matematyce — wtrąciła ciotka Jakubina. — Ale czasy się zmieniły. Nie wiem, czy na lepsze. Czy umiesz gotować, Filo?

— Nie, nigdy w życiu nie ugotowałam niczego, prócz ciasta miodowego, a i to było spartaczzone. Płaskie w środku, a wysokie na brzegach. Znasz ten rodzaj. Ale cioteczko, jeżeli poważnie wezmę się do nauki gotowania, czy sądzisz, że ten mózg, który zdolny jest zdobyć stypendium matematyczne, nie będzie się też nadawał do nauki gotowania?

— Może — odpowiedziała ciotka Jakubina ostrożnie. — Nie ganię wyższego wykształcenia u kobiet. Córnka moja ma tytuł magistra sztuk. Umie też gotować. Ale gotowania nauczyłam ją *zanim* nauczyciel uniwersytecki począł ją uczyć matematyki.

W marcu nadszedł list od panny Patty Spofford, która donosiła, że ona i panna Maria zdecydowały się spędzić w Europie jeszcze rok.

„Możecie więc mieszkać w «Ustroniu Patty» także przyszłej zimy”, pisała. „Maria i ja pojedziemy przez Egipt: chciałabym przed śmiercią ujrzeć Sfinksa”.

— Wyobraź sobie te dwie damy, podróżujące po Egipcie. Ciekawam, czy oglądając Sfinksa, będą robiły swoją robotkę — zaśmiała się Priscilla.

— Cieszę się, że możemy pozostać jeszcze rok w „Ustroniu Patty” — rzekła Stella. — Obawiałam się, że one powrócą. A wtedy nasze wesołe, małe gniazdko byłoby rozbite. A my, biedne, nieopierzone pisklęta, zostałybyśmy znowu wyrzucone w bezlitosny świat pensjonatów.

— Idę na spacer do parku — oznajmiła Fila, odkładając książkę. — Zdaje mi się, że gdy będę miała osiemdziesiąt lat, będę rada, że udałam się dzisiajszego wieczora na ten spacer.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała Ania.

— Chodź ze mną, a powiem ci, moja droga.

Przechadzając się po parku, dziewczęta rozkoszowały się urokiem tego wieczora marcowego.

— Gdybym wiedziała, jak to zrobić, napisałabym teraz poemat o tym czarownym zachodzie słońca — oświadczyła Fila, gdy się zatrzymały na otwartym miejscu, gdzie różowy blask padał na zielone wierzchołki sosen. — Tak tu jest cudownie! Ta wielka cisza i te ciemne drzewa, które wydają się zawsze jak pogrążone w zadumie!

— Gdy przechodzę pod sosnami, czuję się zawsze tak bliska Bogu — odpowiedziała Ania.

— Aniu, jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie! — wyznała nagle Fila.

— Więc pan Blake oświadczył ci się jednak nareszcie? — zapytała Ania spokojnie.

— Tak, a ja w trakcie tego trzy razy kichnęłam. Czy to nie straszne? Ale powiedziałam „tak” prawie zanim skończył. Bałam się, że się jeszcze odmyśli<sup>71</sup> i urwie. Jestem pijana ze szczęścia. Trudno mi było rzeczywiście uwierzyć, że Januszowi spodoba się tak lekkomyślne stworzenie, jak ja.

— Filo, właściwie nie jesteś lekkomyślna — rzekła Ania poważnie. — Pod twoją lekkomyślną powierzchnią kryje się poczciwa, wierna dusza kobieca. Dlaczego ją ukrywasz?

— Nie umiem inaczej, Królowo Anno. Masz rację, w głębi serca nie jestem lekkoduchem. Ale dusza moja pokryta jest pewnego rodzaju frywolną skórą, której nie potrafię

<sup>71</sup>odmyślić się — dziś raczej: rozmyślić się. [przypis edytorski]

ściągnąć. Panna Poyser powiada, że trzeba by mię na nowo posiekać i stworzyć inaczej. Ale Janusz zna mnie, jaką jestem w istocie, i kocha mnie, razem z moją lekkomyślnością. I ja jego kocham. Nigdy w życiu nie byłam tak zaskoczona, jak w chwili, gdy się przekonałam, że go kocham. Nigdy mi się nie wydawało możliwym, abym się zakochała w brzydkim mężczyźnie. I pomyśleć, że mogłam się ograniczyć do jednego adoratora! I jeszcze imieniem Janusz. Ale będę go nazywała Jasiem. To takie miłe, krótkie imię. „Alfonsa” trudniej by mi było zdrobnić.

— A cóż na to Oleś i Alfons?

— O, powiedziała im podczas Bożego Narodzenia, że nigdy nie wyjdę za żadnego z nich. Zabawnym wydaje mi się teraz, że kiedykolwiek wierzyłam w tę możliwość. Byli tym obaj tak przejęci, że po prostu płakałam nad nimi, ryczałam. Ale wiedziałam, że na całym świecie istnieje tylko jeden mężczyzna, za którego mogłabym wyjść. Raz przynajmniej potrafiłam się zdobyć na decyzję, a przyszło mi to rzeczywiście łatwo.

— Czy sądzisz, że potrafisz też wytrwać w tym nadal?

— W decydowaniu się? Nie wiem, ale Jaś dał mi wspaniałą receptę. Powiada, że gdy znowu będę niezdecydowana, co robić, mam sobie życzyć, aby to było zrobione, gdy będę miała osiemdziesiąt lat. Ale Jaś sam umie się bardzo szybko decydować, byłoby więc źle, gdyby w jednym domu było pod tym względem za wiele zdolności.

— Co powiedzą twoi rodzice?

— Ojciec niewiele powie. Uważa on wszystko, co czynię, za słuszne. Ale matka będzie *mówiła*. O, język jej będzie tak samo byrnowski, jak jej nos. Ale ostatecznie wszystko się jednak ułoży.

— Będziesz musiała po ślubie z panem Blake zrezygnować z wielu drobnostek, które dotychczas miałaś, Filo.

— Ale będę miała *jego*. Nie będę żałowała innych rzeczy. Od czerwca za rok weźmiemy ślub. Jaś obsolwuje<sup>72</sup> tej wiosny w St. Columba. Potem weźmie mały kościół misyjny na ulicy Petersona w ubogiej dzielnicy. Wyobraź sobie mnie w ubogiej dzielnicy miasta! Ale poszłabym z nim nawet na lodowe góry Grenlandii.

— I to mówi dziewczyna, która powiadała zawsze, że nie poślubi mężczyzny, któryby nie był bogaty! — rzekła Ania do młodej sosny.

— O, nie wyrzucaj mi błędów młodości! W ubóstwie będę tak samo wesola, jak byłam za czasów bogactwa. Przekonasz się. Nauczę się gotować i przerabiać suknie. Zakupów nauczyłam się już, odkąd zamieszkałam w „Ustroniu Patty”, a kiedyś przez całe lato uczyłam w szkółce niedzielnej. Ciotka Jakubina powiada, że jeżeli wyjdę za Jasia, złamię mu karierę. Ale tak nie będzie. Wiem, że nie mam wiele rozumu, ale mam to, co jest ważniejsze: zdolność czynienia ludzi takimi, jaka ja jestem.

— Filo, jesteś niepoprawna. Ale kocham cię tak bardzo, że nie mogę wygłaszać teraz zdawkowych powinszowań, lecz szczęście twoje serdecznie mnie cieszy.

— Wiem o tym. W twoich wielkich szarych oczach widnieje szczerą przyjaźń, Aniu. Przyjdzie dzień, gdy ja spojrzę w ten sposób na ciebie. Poślubisz Roya, prawda, Aniu?

— Moja droga Filipo, czy słyszałaś kiedy o owej słynnej dziewczynie, która odpaliła mężczyznę, zanim się jej oświadczył? Nie chcę jej robić konkurencji, nie mogę więc powiedzieć mężczyźnie „tak” ani „nie”, *zanim* mi się oświadczy.

— Cały Redmond wie, że Roy stracił dla ciebie głowę — rzekła Fila szczerze. — A ty kochasz go także, prawda, Aniu?

— Sądzę... sądzę, że tak — odpowiedziała Ania, ociągając się.

Czuła, że wyznając to powinna się zarumienić, ale nie zarumieniła się. Rumieniła się natomiast zawsze, gdy w jej obecności wspominał ktoś o Gilbertcie i Krystynie. Gilbert Blythe i Krystyna Stuart zupełnie jej nie obchodzili, zupełnie. Ale Ania zrezygnowała z zastanawiania się nad powodem swoich rumieńców. Co do Roya, to oczywiście była w nim zakochana... zadurzona. Jakże mogło być inaczej? Czyż nie był jej ideałem? Kto mógł się oprzeć tym wspaniałym oczom i temu przekonywającemu głosowi? Czyż połowa dziewcząt redmondzkich nie płonęła z zazdrości? I jaki czarowny sonet przysłał jej w dzień urodzin z pudełkiem fiołków! Ania umiała każde słowo tego wiersza na pamięć. Gilbert nigdy by się nie zdobył na to, aby napisać sonet o jej brwiach. Ale za to Gilbert

<sup>72</sup>*obsolwować* (daw.) — ukończyć studia. [przypis edytorski]

znał się na dowcipach. Kiedyś opowiedziała Royowi wesołą anegdotę, a on nie zrozumiał pointy. Przypominała sobie koleżeński śmiech, jakim wraz z Gilbertem zanosili się przy tym dowcipie. Toteż Ania zastanawiała się, czy życie z człowiekiem, który nie posiadał zmysłu humoru, nie będzie na dłuższy czas nieco niezajmujące. Ale któż mógł wymagać od melancholijnego bohatera, by dostrzegał humorystyczną stronę życia? Byłoby to wręcz niezrozumiałe.

## ROZDZIAŁ XXVIII. WIECZÓR CZERWCOWY

— Ciekawam<sup>73</sup>, jakie byłoby życie w świecie, gdzie panowałby stale czerwiec — rzekła Ania, zbliżając się do Maryli i pani Linde, które siedziały na schodkach przed domem, rozmawiając o pogrzebie ciotki Atosy, której oddano dzisiaj ostatnią posługę.

Toła siedziała między nimi, pilnie odrabiając lekcje. Tadzio rozsiadł się na trawie, posępny i zadumany.

— Pewnie ci się już czerwiec znudził, albo jesteś zmęczona? — odpowiedziała Maryla z westchnieniem.

— To może prawda, ale czuję, że niełatwo znudzić się może czerwiec, gdy jest tak piękny jak dzisiaj. Wszyscy lubią czerwiec. Tadzio, skąd ta melancholijna listopadowa mina w okresie rozkwitu wiosny?

— Jestem chory i zniechęcony do życia — odparł młody pesymista.

— W dziesiątym roku życia? Boże wielki, jakie to smutne!

— To nie żarty — rzekł Tadzio z powagą. — Jestem zniechęcony — powtórzył z odważnym wysiłkiem.

— Dlaczego i przez co? — zapytała Ania, siadając obok niego.

— Ponieważ nowa nauczycielka, która przybyła do nas, gdy pan Holmes zachorował, zadała mi na poniedziałek dziesięć ćwiczeń rachunkowych. Zajmie mi to jutro cały dzień. To nieładnie pracować w niedzielę. Emilek Boulter powiada, że on by tego nie zrobił, ale Maryla mówi, że muszę. Ani trochę nie lubię panny Carson.

— Nie mów w ten sposób o swojej nauczycielce, Tadzio — rzekła pani Linde surowo. — Panna Carson jest bardzo miłą osobą.

— No, Tadzio, opanuj się — rzekła Ania. — Jutro jest znowu dzień. Pomogę ci w miarę możliwości. Nie psuj sobie tej czarownej godziny między jasnością a mrokiem i nie trap się teraz matematyką.

— Dobrze, usłucham cię — rzekł Tadzio, rozjaśniając twarz. — Jeżeli mi pomożesz w lekcjach, skończę je dość jeszcze wcześniej, żeby jeszcze zdążyć z Emilkiem na ryby. Szkoda, że pogrzeb starej ciotki Atosy nie przypadł na jutro zamiast na dzisiaj. Chciałem koniecznie pójść, bo Emilek powiada, że jego mama mówiła, że ciotka Atosa wstanie z trumny, aby zadrwić z ludzi, którzy przyszedli na jej pogrzeb. Ale Maryla mówi, że nie zrobiła tego.

— Biedna Atosa leżała spokojnie w swojej trumnie, rzekła pani Linde uroczyście. — Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak łagodnej. Ano, niewiele łez przelano nad jej biedną duszą. Elizjuszowie Wrightowie radzi są, że się jej pozbyli, a ja nie mogę powiedzieć, żebym im to brała za złe.

— Straszne to musi być zejść ze świata i nie pozostawić ani jednej istoty, która by nad tym bolała — rzekła Ania z dreszczem zgrozy.

— Biednej Atosy nie kochał nikt, prócz rodziców, to pewne, nawet mąż — oświadczyła pani Linde. — Była jego czwartą żoną. Był więc przyzwyczajony do małżeństwa. Po ślubie z nią żył jeszcze tylko kilka lat. Lekarz powiedział, że umarł na chorobę trawienia. Ale ja będę zawsze twierdziła, że umarł od języka Atosy. Biedaczka, wiedziała zawsze wszystko o sąsiadach, ale nigdy o sobie. Ale umarła już. A zdaje mi się, że następnym wielkim wydarzeniem będzie wesele Diany.

— Trudno wprost uwierzyć, że Diana wychodzi za mąż — westchnęła Ania, spoglądając poprzez drzewa Lasu Duchów w kierunku oświetlonego okna pokoju Diany.

— Nie widzę w tym nic dziwnego, jeżeli robi tak dobrą partię<sup>74</sup> — rzekła pani Linde z naciskiem. — Alfred Wright posiada piękną farmę i jest wzorem młodzieńca.

<sup>73</sup>ciekawam — dziś raczej: jestem ciekawa. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>robić dobrą partię (daw.) — korzystnie wychodzić za mąż. [przypis edytorski]

— W istocie nie jest on owym dzikim, złym zabijaką, za jakiego Diana chciała niegdyś wyjść — uśmiechnęła się Ania. — Alfred jest niezwykle dobry.

— Takim właśnie być powinien. Czy chciałabyś, żeby Diana dostała złego męża? Albo czy sama chciałabyś takiego?

— O nie! Nigdy bym nie chciała wyjść za człowieka złego, ale pragnęłabym, aby *potrafił* być złym, lecz *nie chciał*. Ale Alfred jest *beznadziejnie* dobry.

— Przyjdzie jeszcze dzień, gdy będziesz miała więcej rozumu — rzekła Maryla.

Maryla mówiła z goryczą. Była boleśnie rozczarowana, Wiedziała, że Ania odmówiła Gilbertowi. Plotki avonlejskie rozniosły już tę wiadomość, nie wiadomo skąd. Może Karol Slone domyślił się tego i domysł ten wypowiedział jako prawdę. Może Diana zdradziła to Alfredowi, a Alfred był niedyskretny. W każdym razie fakt ten był znany. Pani Blythe nie pytała już Ani przy ludziach ani na osobności, czy miała ostatnio wiadomość od Gilberta, lecz mijała ją z lodowatym skinieniem głowy. Ania, która zawsze lubiła wesołą i serdeczną matkę Gilberta, w duchu martwiła się z tego powodu. Maryla nie mówiła nic, ale pani Linde czyniła na ten temat wiele rozpaczliwych napomknięć, aż do czcigodnej tej damy doszła za pośrednictwem matki Moody Spurgeona MacPhersona nowa plotka, że Ania ma teraz w uniwersytecie nowego „adoratora”, który jest zarazem i bogaty, i piękny, i dobry. Po otrzymaniu tej wiadomości pani Małgorzata powściągnęła język, chociaż w duchu pragnęła jeszcze, aby Ania przyjęła oświadczenia Gilberta. Bogactwo było bardzo pożądane, ale nawet praktyczna dusza pani Małgorzaty nie uważała go za rzecz jedynie ważną. Jeżeli piękny nieznajomy „podołał się” Ani bardziej niż Gilbert, nie było o czym mówić. Ale pani Małgorzata obawiała się bardzo, że Ania była na drodze do popełnienia błędu i poślubienia człowieka jedynie ze względu na pieniądze. Maryla знаła Anię zbyt dobrze, aby się tego obawiać. Ale czuła, że w ogólnym planie coś się ponuro zepsuło.

— Co się ma stać, stanie się — rzekła pani Małgorzata pośpnie. — A co się nie powinno stać, także się niekiedy staje. Mam nadzieję, że w sprawie Ani wszystko będzie dobrze, jeżeli Opatrzność nie pomiesza jej szyków.

Pani Małgorzata westchnęła. Obawiała się, że Opatrzność wmiecha się do sprawy, a ona sama bała się to uczynić.

Ania zeszła do Fontanny Driad i usiadła tam między wysokimi paprociami u stóp białej brzozy, gdzie w ubiegłych latach tak jawnie siadywała z Gilbertem. Po zakończeniu roku uniwersyteckiego Gilbert przyjął znowu pracę w gazecie, a w Avonlea było bez niego bardzo nudno. Nie pisywał do niej nigdy, a Ania odczuwała brak jego listów. Roy pisywał dwa razy tygodniowo. Listy jego były wyszukаныmi kompozycjami. Ania, czytając jego listy, czuła się bardziej jeszcze zakochana w nim. Ale serce jej nigdy nie zadrgało na widok tych listów tak, jak pewnego dnia, gdy pani Hiramowa Slone podała jej kopertę zaadresowaną prostym, czarnym piśmem Gilberta. Ania pobiegła do domu do swojej facjatki i szybko otworzyła list. Znalazła w nim pisany na maszynie odpis sprawozdania jakiegoś stowarzyszenia uniwersyteckiego. Tylko to i nic więcej. Ania spokojnie przeszła przez pokój i usiadła przy stole, aby napisać niezmiernie piękny list do Roya.

Ślub Diany miał się odbyć za pięć dni. Szary dom Barrych pełen był wrzawy, gotowania, pieczenia i smażenia, gdyż wesele miało być huczne i staroświeckie. Ania miała być oczywiście drużyną, co było umówione, gdy miały dwanaście lat, a Gilbert miał przyjechać z Kingsportu, aby być drużbą. Ania przeżywała podniecenie przygotowań, ale wśród tego wszystkiego trapił ją mały ból. Pod jednym względem traciła przecież swoją starą, drogą przyjaciółkę; nowy dom Diany będzie oddalony od Zielonego Wzgórza o dwie mile, a dawna, nieustanna zażyłość nie będzie mogła nigdy powrócić. Ania spoglądała na oświetlone okno pokoju Diany, przypominając sobie, jak przez wiele lat służyło im ono za drogę porozumiewania się; niezdługo zgaśnie w nim światło. Dwie wielkie, bolesne łzy wezbrały w jej oczach.

„O — pomyślała — jakie to okrutne, że ludzie muszą podraść, żenić się i *zmieniać!*”

## ROZDZIAŁ XXIX. ŚLUB DIANY

— Ostatecznie prawdziwymi różami są róże różowe — rzekła Ania, obwiązując bukiet Diany białą wstążką w zachodniej facjatce domu Barrych. — Są one kwiatami miłości i wierności.

Diana stała podniecona na środku swego pokoju, przystrojona w ślubną biel; czarne jej loki przyciśnięte były przez gazę białego welonu ślubnego. Ania upięła ten welon, zgodnie z ich umową z przed lat.

— Wszystko jest zupełnie tak piękne, jak sobie wyobrażałam niegdyś, myśląc o twoim nieuniknionym ślubie i naszej koniecznej rozłące — zaśmiała się. — Jesteś oblubienicą moich marzeń w „czarownym, powiewnym welonie”, Diano. A ja jestem twoją druhną. Ale niestety, nie mam bufiastych rękawów, chociaż te krótkie rękawy koronkowe są o wiele ładniejsze. Nie pęka mi też serce, ani nie nienawidzę właściwie Alfreda.

— Właściwie nie rozstajemy się wcale, Aniu — zaprotestowała Diana. — Nie wyjeżdżam daleko. Będziemy się nawzajem tak samo kochały, jak zawsze. Dotrzyśmy sobie owej „przysięgi” przyjaźni z przed lat, prawda, Aniu?

— Tak, dotrzyliśmy jej wiernie, przyjaźń nasza była piękna, Diano. Nigdy jej nie zepsułyśmy jakąś kłótnią, czy sporem, czy nieprzyjaznym słowem. Spodziewam się, że zawsze tak będzie. Ale stosunek nasz nie może pozostać zupełnie bez zmiany. Będziesz miała teraz inne interesy, a ja pozostanę niejako na uboczu. Ale „takie jest życie”, jak powiada pani Linde. Pani Linde dała ci jedną ze swych pięknych haftowanych kołder. Powiada, że i mnie da kołdrę, gdy wyjdę za mąż.

— Najgorsze w *twoim* ślubie będzie to, że nie będę mogła być twoją druhną — uzaliła się Diana.

— W czerwcu będę druhną Fili, gdy wyjdzie za pana Blake, a potem dość. Bo znasz przecież przysłowie: „Trzy razy druha — nigdy panna młoda” — rzekła Ania. — Oto idzie pastor, Diano.

— O Aniu — szepnęła nagle Diana, blednąc i dygocząc. — O Aniu... Jestem tak podniecona... Nie mogę w ten sposób przejść przez salę... Aniu, wiem, że zemdleję...

— Jeżeli to zrobisz, zaniósę cię do cysterny z deszczówką i zanurzę cię w niej — oświadczyła Ania niemilosiernie. — Opanuj się, moja droga. Małżeństwo nie może być rzeczą tak straszną, jeżeli tyle ludzi przeżyło tę ceremonię. Patrz, jak chłodna i opanowana jestem ja — i bierz ze mnie przykład!

— Zaczekaj, aż przyjdzie twoja kolej, moja Aniu. O, Aniu, słyszę, że ojciec wchodzi po schodach. Podaj mi bukiet. Czy welon mój w porządku? Czy jestem bardzo blada?

— Wyglądasz czarująco. Słodka Diano, pocałuj mnie po raz ostatni na pożegnanie. Diana Barry nigdy mnie już nie pocałuje.

— Ale Diana Wright! Mama mnie woła, chodź!

Według starodawnego zwyczaju, zeszła Ania w tłumie pod ramię z Gilbertem do salonu. Spotkali się na górze na schodach po raz pierwszy od opuszczenia Kingsportu, gdyż Gilbert przybył dopiero tego rana. Gilbert grzecznie uściśnął rękę Ani. Wyglądał bardzo dobrze, chociaż Ania zauważyła natychmiast, że był nieco szczupły. Nie był blady. Gdy weszli razem do przepelnionego salonu, wśród obecnych rozległ się lekki szmer podziwu.

— Jakaż to jednak piękna para — szepnęła pani Małgorzata do Maryli.

Alfred wszedł sam, z twarzą bardzo czerwoną, potem Diana wkroczyła u boku ojca. Nie zemdleła i żaden przykry wypadek nie przerwał ceremonii. Nastąpiły powinszowania. Potem, gdy wieczór minął, a Alfred i Diana przy świetle księżycowym pojechali do swego nowego domu, Gilbert odprowadził Anię na Zielone Wzgórze.

Coś z ich dawnego stosunku koleżeńskiego powróciło w czasie tego wesołego wieczora. O, jak miło było chodzić znowu tą znajomą drogą z Gilbertem!

Wieczór był tak cichy, że można było usłyszeć szept róż w pąkach, śmiech stokrotek, szmer trawy i wiele słodkich tonów, tłoczących się dokoła.

— Może się przespacerujemy po Alei Zakochanych, zanim pójdziesz do domu? — zapytał Gilbert, gdy przechodzili przez most nad Jeziorem Lśniących Wód, w którym księżyc odbijał się niby wielki, zatopiony, złoty pąk.

Ania zgodziła się chętnie. Aleja Zakochanych była tego wieczora prawdziwą ścieżką do krainy baśni, lśniącą, tajemniczą drogą pełną czaru pod białą poświatą księżycy. Był czas, gdy taka przechadzka z Gilbertem po Alei Zakochanych byłaby dla Ani ryzykowna. Ale Roy i Krystyna uczynili ją teraz zupełnie bezpieczną. Ania przyłapała się na tym, że gawędząc swobodnie z Gilbertem, myślała wiele o Krystynie. Przed opuszczeniem Kingsportu spotkała się z nią kilka razy i odnosiła się do niej z czarującą słodyczą. Krystyna



była wobec niej także czarująco słodka. W istocie były bardzo serdeczną parą. Ale mimo to znajomość ich nie dojrzała do przyjaźni. Widocznie Krystyna nie była pokrewną duszą.

— Czy zostaniesz przez całe lato w Avonlea? — zapytał Gilbert.

— Nie, w przyszłym tygodniu jadę do Valley Road. Elżunia Haythorne prosiła, żebym ją tam zastąpiła w szkole. Mają tam kurs letni, a Elżunia czuje się niezdrowa. Zastąpię ją więc. Pod jednym względem jest mi to nawet miłe. Zaczynam się teraz czuć w Avonlea trochę obco. Przykre to dla mnie, ale tak jest. Połowa moich dawnych wychowanków to teraz ludzie dorośli. Sprawia to, że czuję się niezmiernie stara na tych miejscach, gdzie ty i ja, i nasi koledzy szkolni, bawiliśmy się dawniej.

Ania roześmiała się i westchnęła. Czuła się bardzo stara i dojrzała, i mądra, co dowodziło, jak była młoda. Powiadała sobie sama, że było jej bardzo tęskno za owymi dawnymi, radosnymi dniami, gdy na życie spoglądało się przez różową mgłę nadziei i złudzeń, gdy posiadało ono coś nieokreślonego, co przeminęło na zawsze. Gdzie były teraz dawne rojenia?

— Tak zmienia się świat — rzekł Gilbert praktycznie i nieco nieprzytomnie.

Ania była ciekawa, czy myślał o Krystynie. O, bardzo teraz będzie samotnie w Avonlea, gdy Diana odeszła!

### ROZDZIAŁ XXX. ROMANS PANI SKINNER

Ania wysiadła z pociągu w Valley Road i rozejrzała się, czy nie przyszedł ktoś po nią. Miała zamieszkać z niejaką panną Janiną Sweet, ale nie widziała nikogo, kto w przybliżeniu choćby odpowiadał opisowi z listu Elżuni. Jedyłą widzialną w pobliżu osobą była starsza pani, siedząca na bryczce, naładowanej workami pocztowymi. Określenie jej wagi na dwieście funtów byłoby jeszcze bardzo wyrozumiałe. Twarz jej była tak okrągła i czerwona, jak księżyc w czerwcu, i prawie tak samo bez rysów. Ubrana była w ciasną, czarną suknię kaszmirową, uszytą według mody z przed dziesięciu lat, mały, zakurzony, czarny kapelusz słomkowy, ozdobiony kokardami z żółtej wstążki i wyblakłymi czarnymi koronkami.

— Hej, panienko! — zawołała, kiwając do Ani batem. — Czy to pani jest nową nauczycielką z Valley Road?

— Tak.

— Od razu sobie pomyślałam. Valley Road słynie z tego, że tutejsze nauczycielki elegancko wyglądają, tak samo jak Millersville słynie z brudasów. Janina Sweet pytała mnie dzisiaj rano, czy bym pani nie przywiozła. Naturalnie, powiadam, jeżeli nie będzie się krzywiła, że ją trochę worki wygniotą. Ta bryczka jest trochę za mała na worki pocztowe, a ja jestem trochę grubsza od Tomasza! Niech panienka zaczeka, aż nieco zsunę te worki i wsadzę panią w jaki kąt. Do domu Janiny są tylko dwie mile. Parobek z sąsiedztwa przyjdzie wieczorem po pani kufer. Nazywam się Skinner, Amelia Skinner.

Ania została jako tako usadowiona, uśmiechając się z ubawieniem do siebie podczas tego procesu.

— Wio, czarna kobyło! — zakomenderowała pani Skinner, chwytając cugle w pulchne ręce. — To moja pierwsza jazda z pocztą. Tomasz musiał dzisiaj okopywać buraki, więc poprosił mnie, żebym pojechała. Więc usiadłam, przekąsiłam coś niecoś na stojąco i ruszyłam w drogę. Podoba mi się to. Trochę to co prawda nudne. Przez część drogi siedzę i myślę, a przez resztę siedzę tylko. Wio, czarna kobyło! Muszę wcześniej wrócić do domu. Tomasz czuje się okropnie samotny, gdy mnie nie ma. Wie pani, jesteśmy dopiero niedawno po ślubie.

— O! — rzekła Ania uprzejmie.

— Akurat miesiąc. Tomasz zalecał się do mnie wcale niedługo. To było rzeczywiście romantyczne.

Ania usiłowała wyobrazić sobie panią Skinner w jakiejś romantycznej sytuacji, ale nie udawało się jej to.

— O! — rzekła znowu.

— Tak, bo widzi pani, jeszcze jeden mężczyzna starał się o mnie. Wio, czarna kobyło! Byłam wdową, a ludzie zrezygnowali już i nie spodziewali się, że wyjdę znowu za mąż. Ale gdy córka moja — jest ona nauczycielką, jak pani — wyjechała do szkoły na Zachód,

poczułam się rzeczywiście bardzo samotna i wcale byłam nie od tego, żeby znowu wyjść za mąż. W tym czasie Tomasz zaczął do mnie przychodzić, tak samo jak i ten drugi, który nazywał się William Obadiah Seaman. Długo się nie mogłam zdecydować, którego wziąć, a oni ciągle chodzili i chodzili, a ja się ciągle traپیłam. Widzi pani, W. O. był bogaty, miał ładny dom i trzymał fason. Był na pewno lepszą partią. Wio, czarna kobyło!

— Więc dlaczego nie wyszła pani za niego? — zapytała Ania.

— Ano, widzi pani, nie kochał mnie — odpowiedziała pani Skinner uroczyście.

Ania szeroko otworzyła oczy i spojrzała na panią Skinner. Ale na twarzy tej damy nie było ani śladu humoru. Widocznie pani Skinner nie widziała w swoim przypadku nic zabawnego.

— Był wdowcem od trzech lat, a siostra prowadziła mu gospodarstwo. Potem wyszła za mąż, a on potrzebował kogoś, kto by się zajął jego domem. Warto się było zresztą zająć nim, niech mi pani wierzy. Ładny to dom. Wio, czarna kobyło! Co do Tomasza, to był ubogi, a jeśli nawet do domu jego nie kapąło w pogodę, to jednak było to wszystko, co można było dobrego o tym domu powiedzieć, chociaż wygląda nieco malowniczo. Ale widzi pani, kochałam Tomasza, a na W. O. ani odrobinę mi nie zależało. Do tego wniosku doszłam sama. „Amelio Crowe”, powiedziałam sobie — mój pierwszy mąż nazywał się Crowe — „możesz wyjść za bogatego, jeżeli chcesz, ale nie będziesz szczęśliwa. Na tym świecie ludzie nie mogą żyć razem bez odrobiny miłości. Lepiej zrobisz, jeżeli weźmiesz Tomasza, bo on ciebie kocha, a ty jego, i nikt inny nie da ci szczęścia”. Wio, czarna kobyło! Więc powiedziałam Tomaszowi, że go wezmę. Przez cały czas do ślubu nie ważyłam się przejeżdżać przez posiadłość W. O., z obawy, aby widok tego pięknego domu nie zachwiał mnie znowu w postanowieniu. Ale teraz w ogóle o tym nie myślę. I czuję się zupełnie dobrze i szczęśliwie z Tomaszem. Wio, czarna kobyło!

— A jak to przyjął William Obadiah? — zapytała Ania.

— O, wściekał się trochę. Ale teraz chodzi do jednej chudej starej panny w Miller-ville, i zdaje mi się, że ona go niedługo weźmie. Będzie dla niego lepszą żoną, niż jego pierwsza. W. O. nie chciał się z nią właściwie żenić. Oświadczył się jej, bo ojciec jego tego chciał, ale spodziewał się z pewnością, że ona powie „nie”. A tymczasem — niech pani uważa — ona powiedziała „tak”! I to było przykre położenie. Wio, czarna kobyło! Była wielką gospodynią, ale okropnie ordynarna. Ten sam kapelusz nosiła osiemnaście lat. Potem sprawiła sobie nowy, a gdy W. O. spotkał ją na gościńcu, nie poznał jej. Wio, czarna kobyło! Czuję, że mi się z tą sprawą udało. Mogłabym wyjść za niego i być bardzo nieszczęśliwą, jak moja biedna kuzynka Joanna. Joanna wyszła za bogatego człowieka, którego jednak nie kochała. I życie ma gorsze niż pies. W zeszłym tygodniu odwiedziła mnie i powiada: „Amelio Skinner, powiada, zazdroścę ci. Wolalabym żyć w małej lepiance przy drodze z mężem, którego bym trochę mogła kochać, niż w moim wielkim domu z tym, którego mam”. Mąż Joanny nie jest taki zły, chociaż taki z niego pedant, że nosi futro w największy nawet upał. Jedyne sposob na niego, gdy się chce, żeby coś zrobił, to namawiać go, żeby zrobił akurat coś przeciwnego. Ale gdy nie ma miłości, która by łagodziła wszystko, kiepskie to małżeństwo. Wio, czarna kobyło! Oto posiadłość Janiny w dolinie — nazywa ją „Zaciszem”. Bardzo malownicza, prawda? Myślę, że będzie pani bardzo rada wydostać się z tego wozu i spomiędzy worków, które uciskają panią ze wszystkich stron.

— Owszem, ale przejażdżka z panią była mi bardzo miła — rzekła Ania szczerze.

— No, no, niech pani nie gada głupstw — odpowiedziała pani Skinner pogłaskana. — Niech pani zaczeka, powiem to Tomaszowi. Strasznie się zawsze cieszy, kiedy dostaje komplement. Wio, czarna kobyło! No, jesteśmy na miejscu. Mam nadzieję, że się pani będzie dobrze powodziło w szkole. Niedaleko do niej na przelaj przez bagno za domem Janiny. Ale jeżeli pani pójdzie tą drogą, musi pani być bardzo ostrożna. Gdyby się pani zatrzymała w tym czarnym błocie, pograżyłaby się pani od razu i nigdy by już pani nie ujrzała świata, aż do dnia sądnego. Wio, czarna kobyło!

## ROZDZIAŁ XXXI. LIST ANI DO FILIPY

„Moja kochana, najwyższy już czas, żebym do Ciebie nareszcie napisała. Jestem znowu nauczycielką wiejską, w Valley Road, mieszkam w «Zaciszu», w domu panny Janiny Swe-

et. Janina jest poczciwą i bardzo łagodną osobką. Jest wysoka, ale nie za wysoka, silna, ale z pewnym umiarem kształtów. Ma piękne, miękkie, wijące się, kasztanowate włosy, przetykane nitkami siwizny, słoneczną twarz o różowych policzkach i wielkie, miłe oczy, błękitne jak niezapominajki. Poza tym jest jedną z owych wspaniałych kucharek, które ani krzty nie troszczą się o to, czy zepsują człowiekowi żołądek, póki mogą mu dawać smakowite, tłuste kąski.

Lubię ją i ona mnie lubi. Prawdopodobnie dlatego, że miała siostrę imieniem Ania, która młodo umarła. «Cieszę się, że panią widzę», powiedziała szorstko, gdy przybyłam do jej domu. «O Boże, nie wygląda pani ani trochę tak, jak się spodziewałam. Byłam pewna, że pani jest brunetką, moja siostra Ania była brunetką. A tymczasem pani jest ruda».

Przez kilka minut zdawało mi się, że Janina nie będzie mi się tak podobała, jak się początkowo spodziewałam, ale potem uświadomiłam sobie, że muszę być bardziej wyrozumiała i nie uprzedzać się do człowieka dlatego tylko, że nazwał moje włosy rudymi. Prawdopodobnie określenie «brunatne» nie istniało w ogóle w słowniku Janiny.

«Zacisz» jest miłą, małą posiadłością. Dom jest mały i biały i leży w przepięknej dolinie, na uboczu od drogi. Między drogą a domem znajduje się ogród owocowo-kwiatowy. Droga do drzwi frontowych przystrojona jest muszlami. Mam miły, niewielki pokój, na wprost saloniku, dostatecznie duży, akurat dla mnie i mego łóżka.

Salonik jest mały i zaciszny. Jedyne jego okno zasłonięte jest przez wielką wierzbę, tak że pokój sprawia wrażenie grotty o szmaragdowym półmroku. Na krzesłach są cudowne pokrowce, na podłodze dywaniki, a na okrągłym stole ułożone są starannie książki i widokówki. Wazon z suchymi trawami stoją na gzymsie kominka.

Na ogół bardzo tu jest miło, i powiedziałam to Janinie. Polubiła mnie za to, podobnie, jak znienawidziła biedną Elżunię, która oświadczyła, że cień był niehigieniczny i nie chciała sypiać pod pierzyną. Ja się doskonale czuję pod pierzyną. Janina powiada, że miło jej patrzeć, jak jem. Obawiała się, że będę taka jak panna Haythorne, która nie chciała nic jeść prócz owoców i herbaty na śniadanie i starała się nakłonić Janinę, aby przestała piec i gotować. Elżunia jest w istocie miłą dziewczyną, ale jest trochę skłonna do kaprysów. Najgorsze jest, że nie posiada dość wyobraźni i cierpi na nieregularne trawienie.

Janina powiedziała mi, że jeśli będą mnie odwiedzali panowie, mogą używać salonu. Nie sądzę, abym miała wielu gości. Nie widziałam jeszcze w Valley Road młodzieńca, prócz parobka z sąsiedztwa, Sama Tollivera, bardzo wysokiego, zgrabnego, płowowłosego chłopaka. Niedawno przyszedł wieczorem i siedział przez godzinę na płocie ogrodowym w pobliżu pokoju frontowego, gdzie Janina i ja zajmowałyśmy się naszymi ulubionymi robótkami. Jedyna uwaga, jaką wypowiedział dobrowolnie przez cały czas, była: «Może panienka chce mięty? To dobre na katar!».

Ale rozgrywa się tu jednak historia miłosna. Zdaje mi się, że przeznaczeniem moim jest bywać mniej lub bardziej czynnie wmięszaną w stare historie miłosne. Państwo Irving powiadają zawsze, że ja doprowadziłam ich małżeństwo do skutku. Ludwik Speed i Teodora Dix także by się pewnie nigdy nie pobrali, gdybym im nie dopomogła.

W obecnej historii jestem tylko biernym widzem. Próbowałam raz dopomóc do rozwoju wypadków, ale sprawiłam wielkie zamieszanie. Więc się już nie będę wtrącała. Opo- wiem ci o tym wszystkim, gdy się znowu zobaczymy».

## ROZDZIAŁ XXXII. KOLACJA U PANI DOUGLAS

Wieczorem pierwszego czwartku po przybyciu Ani do Valley Road Janina poprosiła ją, aby z nią poszła na zebranie religijne. Na zebranie to Janina rozkwitła jak róża. Nosila bładoniebieską suknię muślinową, przystrojoną daleko większą ilością falbanek, niż można się było spodziewać po praktycznej Janinie, wielki, biały kapelusz słomkowy z różowymi różami i trzema strusimi piórami. Ania była oszołomiona. Później zbadała powód, dla którego Janina tak się wystroiła, powód stary jak świat.

Zebrania religijne w Valley Road wydawały się właściwie zupełnie kobiece. Przybyły trzydzieści dwie kobiety, dwóch młodych chłopców i jeden jedyny mężczyzna prócz pastora. Ania przyłapała się na tym, jak obserwowała tego mężczyznę. Nie był przystojny, ani młody, ani piękny. Miał niezmiernie długie nogi, które musiał chować stale pod krzesłem; grzbiet miał zgarbiony. Dłonie jego były wielkie, włosy łaknęły fryzjera, a wąsy były

zwichrzone. Ania miała wrażenie, że twarz ta podobała się jej. Była miła, uczciwa i delikatna. Było w niej zresztą jeszcze coś innego, choć trudno było określić, co właściwie. Doszła ostatecznie do wniosku, że człowiek ten musiał bardzo wiele cierpieć i był silny, i że to wyrażone było na jego twarzy. Pewnego rodzaju cierpliwa wytrwałość świadczyła, że w razie potrzeby poszedłby na śmierć męczeńską.

Gdy skończyło się zebranie religijne, mężczyzna ten podszedł do Janiny i rzekł:

— Czy mogę cię odprowadzić do domu, Janino?

Janina przyjęła jego ramię, tak wdzięcznie i lękliwie, jakby miała zaledwie szesnaście lat i jakby ją po raz pierwszy mężczyzna odprowadzał do domu. Ania opowiadała o tym później dziewczętom w „Ustroniu Patty”.

— Panno Shirley, pozwoli pani, że jej przedstawię pana Douglasa — rzekła sztywno.

Pan Douglas skinął głową i rzekł:

— Obserwowałem panią podczas zebrania i pomyślałem sobie: co to za ładna, miła dziewczynka.

Słowa te w innych ustach uraziłyby Anię, ale sposób, w jaki wypowiedział je pan Douglas, dał jej do zrozumienia, że był to rzeczywiście uprzejmy komplement. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i ruszyła za nimi po oświetlonej przez księżyc drogę.

Więc Janina miała adoratora! Ania była tym zachwycona. Janina byłaby wzorem żony, wesola, gospodarna, wyrozumiała i prawdziwa królowa kuchni. Okrucieństwem ze strony natury byłoby utrzymywać ją w staropanieństwie.

— Jan Douglas prosił mnie, żeby panią zabrać z wizytą do jego matki — rzekła Janina nazajutrz. — Nie opuszcza ona domu, gdyż jest chora, chociaż nie obłożnie. Lubi jednak bardzo towarzystwo i zawsze pragnie widzieć moich pensjonarzy. Czy zechce pani pójść tam dzisiaj wieczorem?

Ania zgodziła się chętnie. Ale później, podczas dnia pan Douglas przyszedł w imieniu matki i zaprosił ją na kolację na sobotę wieczór.

— O, dlaczego nie włożyła pani swojej pięknej muslinowej sukni? — zapytała Ania, gdy opuszczały dom.

Dzień był gorący, a biedna Janina w ciężkiej kaszmirowej sukni wyglądała, jakby się żywcem gotowała.

— Pocziwa pani Douglas uważałaby to za niezmiernie lekkomyślne i nieodpowiednie. Janowi podoba się jednak ta suknia — dodała tęsknie.

Stary dom Douglasów oddalony był o pół mili od „Zacisza” i znajdował się na szczycie wietrznego pagórka. Dom sam był duży i wygodny, dość stary, aby nabrać godności, i otoczony alejami klonowymi i ogrodem owocowym. Stały za nim wielkie, porządne stodoły, a wszystko mówiło o zamożności.

Jan Douglas powitał je w drzwiach i zaprowadził do salonu, gdzie matka jego siedziała w fotelu jak na tronie.

Ania spodziewała się, że pani Douglas będzie wysoka i szczupła, gdyż taki był jej syn. Tymczasem była to maleńka kobietka o miękkich, różowych policzkach, łagodnych, niebieskich oczach i dziecięcych ustach. Nosiła ładną, czarną suknię jedwabną i biały szal na ramionach, a siwe jej włosy pokryte były koronkowym czepkiem. W stroju tym mogła pozować do obrazu babki.

— Jak ci się wiedzie, droga Janino? — zapytała słodko. — Cieszę się, że cię znowu widzę, moja kochana.

Podsunęła jej swoją piękną, starą twarz do połącunku.

— A to nasza nowa nauczycielka! Rada jestem, że panią poznaję. Syn mój tak panią chwalił, że byłam na wpół zazdrosna, a jestem przekonana, że Janina będzie zupełnie zazdrosna.

Biedna Janina zarumieniła się. Ania powiedziała coś uprzejmego i konwencjonalnego, po czym wszyscy usiedli i rozpoczęli pogawędkę. Ciężka to była praca, nawet dla Ani, gdyż nikt nie czuł się dobrze, prócz pani Douglas, której istotnie gawędzenie nie sprawiało trudności. Posadziła Janinę obok siebie i od czasu do czasu głaskała jej rękę. Janina siedziała cicho i uśmiechała się, czując się bardzo nieswojo w tej ohydnej sukni, zaś Jan Douglas nawet się nie uśmiechał.

Przy stole pani Douglas uprzejmie poprosiła Janinę, aby nałala herbatę. Janina zarumieniła się jeszcze bardziej, ale uczyniła to. W liście do Stelli opisała Ania to przyjęcie.

„Dostaliśmy ozór na zimno i kurczę, dalej konfitury z agrestu, pasztet cytrynowy, tort i czekoladowe ciastka, placek z rodzynkami, babkę, ciasto owocowe i jeszcze wiele innych rzeczy. Gdy zjadłam dwa razy tyle, ile powinnam, pani Douglas westchnęła i rzekła, że obawia się, iż nie ma mnie już czym poczęstować.

«Obawiam się, że poczciwa Janina swoją kuchnią zanadto panią rozpieściła», rzekła słodko. «Oczywiście nikt w Valley Road nie może z *nią* rywalizować. Może pozwoli pani jeszcze kawałek pasztetu, panno Shirley? *Nic* pani nie jadła!»

Stello, zjadłam porcję ozora, porcję kurczęcia, trzy biszkopty, olbrzymią porcję konfitur, kawałek pasztetu, torcik i spory kawał ciasta czekoladowego!”

Po kolacji pani Douglas uśmiechnęła się przyjaźnie i rzekła do Jana, żeby zabrał „kochaną Janinę” do ogrodu, aby zerwać kilka róż.

— Panna Shirley dotrzyma mi tymczasem towarzystwa, prawda? — zapytała.

Usiadła z westchnieniem w swoim fotelu.

— Jestem bardzo słabą staruszką, panno Shirley. Od przeszło dwudziestu lat cierpię bardzo. Od dwudziestu długich, bolesnych lat umieram stopniowo.

— Jakie to straszne! — rzekła Ania, starając się być współczującą, a czuła się bardzo głupio.

— Bywały dziesiątki nocy, gdy zdawało się, że nie dożyję rana — ciągnęła pani Douglas uroczyście — Nikt nie wie, co przecierpiałam. Nikt nie może tego wiedzieć, prócz mnie samej. Ale to już długo nie może teraz potrwać. Moja uciążliwa pielgrzymka skończy się niebawem, panno Shirley. Wielka to dla mnie pociecha, że Jan dostanie tak dobrą żonę, która będzie o niego dbała, gdy matka jego odejdzie — wielka pociecha, panno Shirley.

— Janina jest miłą kobietą — rzekła Ania gorąco.

— Miła! Piękny charakter! — potwierdziła pani Douglas. — I doskonała gospodyni — czym ja nigdy nie byłam. Zdrowie nie pozwalało mi na to, panno Shirley. Rada jestem rzeczywiście, że Jan uczynił tak rozsądny wybór. Spodziewam się i wierzę, że będzie szczęśliwy. Jest on moim jedynym synem, panno Shirley, a szczęście jego bardzo mi leży na sercu.

— Naturalnie — rzekła Ania głupkowato. Po raz pierwszy w życiu mówiła głupkowato. Ale nie mogła sobie wyjaśnić, dlaczego. Nie znajdowała po prostu odpowiedzi dla tej słodkiej, uśmiechającej się, aniołkowej staruszki, która tak mile pieściła jej rękę.

— Odwiedź mię znowu niedługo, kochana Janino — rzekła pani Douglas serdecznie, gdy odchodziły. — O wiele za rzadko przychodzisz. Ale za to później Jan sprowadzi cię tutaj na zawsze.

Ania, która przypadkowo spojrzała na Jana Douglasa, gdy matka jego mówiła te słowa, stropiła się: wyglądał jak człowiek na torturach, gdy dręczyciele jego zadają mu ostatnią możliwą katuszę. Uczuła, że doznawał bardzo przykrego uczucia i pragnął przyspieszyć odejście zarumienionej Janiny.

— Czy pani Douglas nie jest słodką staruszką? — zapytała Janina, gdy szły z Anią przez drogę.

— Hm — odpowiedziała Ania nieprzytomnie.

Ciekawa była, dlaczego Jan Douglas miał taki wygląd.

— Cierpiała strasznie — powiedziała Janina z uczuciem. — Przeżywa straszne chwile. Okropna to męka dla Jana. Obawia się opuścić dom, z lęku, by matka jego nie doznała jakiegoś ataku choroby, a nie ma u nich nikogo prócz służącej.

## ROZDZIAŁ XXXIII. „PRZYCHODZIŁ STAŁE I PRZYCHODZIŁ...”

W trzy dni później Ania powróciła ze szkoły do domu i zastała Janinę w łzach. Łzy i Janina tak sobie nie odpowiadały, że Ania zaniepokoiła się poważnie.

— O, co się stało? — zawołała.

— Kończę... kończę dzisiaj czterdzieści lat... — łkała Janina.

— Wczoraj miała pani przecież prawie tyleż, a nic to pani nie szkodziło — pocieszyła ją Ania, wysilając się, aby się nie roześmiać.

— Ale... ale... — ciągnęła Janina, przelknąwszy łzy — Jan Douglas ciągle jeszcze nie oświadczył mi się dotychczas...

— O, oświadczy się napewno — rzekła Ania niepewnie. — Musi mu pani dać czas.

— Czas! — zawołała Janina z nieopisanym szyderstwem. — Miał go dwadzieścia lat! Ileż mu trzeba czasu?

— Czy pani chce przez to powiedzieć, że Jan Douglas odwiedza panią od dwudziestu lat?

— Tak, a nigdy nie wspomniał ani słowem o małżeństwie. Teraz nie wierzę już, aby to kiedykolwiek uczynił. Nigdy do nikogo nie powiedziałam ani słowa o tym, ale zdaje mi się, że ostatecznie muszę o tym komuś powiedzieć, bo inaczej oszaleję. Jan Douglas zaczął do mnie przychodzić przed dwudziestu laty, jeszcze przed śmiercią mojej matki. Przychodził stale i przychodził, a po pewnym czasie zaczęłam szyć i haftować rozmaite rzeczy. Ale on nigdy nie mówił o małżeństwie, tylko ciągle przychodził i przychodził. Nic nie mogłam zrobić. Matka umarła, gdyśmy chodzili ze sobą osiem lat. Myślałam, że teraz może przemówi, widząc, że zostałam sama na świecie. Był rzeczywiście taki poczciwy i współczujący i czynił wszystko, co mógł czynić, ale nigdy nie wspomniał o małżeństwie. I od tego czasu nic się już nie zmieniło. Ludzie ganią o to *mnie*. Powiadają, że nie chcę wyjść za niego, bo jego matka jest tak chora, i że nie chcę sobie zadawać trudu pielęgnowania jej. A ja bym *tak chętnie* pielęgnowała matkę Jana! Ale nie wyprowadzam ich z błędu, wolę, żeby mnie ganili, niż żeby mi współczuli. Takie to strasznie poniżające, że Jan nie chce mi się oświadczyć. A *dlatego* nie chce? Wydaje mi się, że gdybym tylko знаła właściwy powód, nie przejmowałabym się tym tak bardzo.

— Może matka jego nie chce, żeby się ożenił? — wtrąciła Ania.

— O, ona chce. Często mi mówiła, że chętnie by widziała, aby się Jan ożenił, zanim przyjdzie jej ostatnia godzina. Robi zawsze napomknienia — sama pani ostatnio słyszała. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię.

— To ponad moje siły! — oświadczyła Ania bezradnie. Pomyślała o Ludwiku Speedzie. Ale sprawy te nie były analogiczne. Jan Douglas nie był człowiekiem tego typu co Ludwik.

— Musi pani być odważniejsza. Janino — ciągnęła rezolutnie. — Dlaczego nie zerwała z nim pani już dawno?

— Nie mogłam — rzekła biedna Janina patetycznie. — Widzi pani, Aniu, zawsze go bardzo lubiłam. Mógł stale przychodzić albo nie przychodzić, gdyż nigdy nie było nikogo innego, kogo bym chciała. Więc to nie grało roli.

— Ale zmusiłoby go to do wypowiedzenia się, jak przystoi mężczyźnie — nalegała Ania.

Janina potrząsnęła głową.

— Nie, nie przypuszczam. Bałam się próbować, z lęku, iż pomyślałby, że traktuję to poważnie, i odszedłby. Jestem widocznie małodusznym stworzeniem, ale tak czuję. I nie potrafię tego zmienić.

— O, mogła to pani zmienić, Janino. I jeszcze nie jest za późno. Niech pani skupi siły. Niech mu pani da do zrozumienia, że nie ma pani zamiaru znosić dłużej jego kaprysów. Ja pani pomogę.

— Nie wiem — rzekła Janina beznadziejnie. — Nie wiem... gdybym mogła się kiedyś zdobyć na odwagę... Sprawy tak się już długo przewlekły... Ale zastanowię się nad tym.

Ania czuła, że się rozczarowała co do Jana Douglasa. Tak jej się podobał i nie podejrzewała w nim człowieka, któryby potrafił przez dwadzieścia lat bawić się w kotka i myszkę z uczuciami kobiety. Trzeba mu było koniecznie dać nauczkę, a Ania była przekonana, że chętnie przyjrzałaby się temu procesowi. Toteż uradowała się bardzo, gdy Janina oznajmiła jej następnego popołudnia, gdy szły na zebranie religijne, że zdecydowała się zdobyć na odwagę.

— Dam Janowi Douglasowi do zrozumienia, że nie mam zamiaru być dłużej poniewieraną.

— Ma pani najzupełniejszą rację — rzekła Ania z naciskiem.

Po skończonym zebraniu Jan Douglas zbliżył się ze swoją zwykłą propozycją. Janina wyglądała straszliwie, ale zdecydowanie.

— Nie, dziękuję *panu* — odpowiedziała lodowato. — Sama trafię do domu. Nic w tym zresztą dziwnego, gdyż chodzę tą drogą od czterdziestu lat. Nie potrzebuję się pan więc fatygować, *panie Douglas*.

Ania przyglądała się Janowi Douglasowi. W jasnym świetle księżyca ujrzała znowu owo skrzywienie człowieka na ostatnim stopniu tortury. Bez słowa odwrócił się i odszedł.

— Stój, stój! — zawołała za nim Ania dziko, nie robiąc sobie nic z reszty obecnych, którzy oniemieli ze zdumienia. — Niech się pan zatrzyma, *panie Douglas*, niech pan wraca!

Jan Douglas zatrzymał się, ale nie wrócił. Ania podbiegła do niego, chwyciła go za rękę i wolno pociągnęła do Janiny.

— Musi pan wrócić — rzekła błagalnie. — Wszystko to jest błędem, *panie Douglas*, to wszystko moja wina. Ja namówiłam Janinę, żeby tak postąpiła. Nie chciała tego, ale teraz już znowu wszystko dobrze, prawda, Janino?

Bez słowa ujęła go Janina pod ramię i odeszła. Ania szła za nimi osłabiona i wsunęła się do domu przez tylne drzwi. — Pięknie się pani nadaje do pomagania komuś — rzekła Janina ironicznie.

— Nie mogłam inaczej postąpić, Janino — rzekła Ania ze skrucą. — Czułam się tak, jakbym się obojętnie przyglądała morderstwu. *Musiałam* pobiec za nim.

— O, taka jestem zadowolona, że pani to uczyniła! Kiedy ujrzałam, że Jan Douglas odchodzi, doznałam wrażenia, jakby owa reszta radości i szczęścia, która pozostała jeszcze w moim życiu, odchodziła wraz z nim. Okropne to było uczucie.

— Czy pytał panią potem, dlaczego to pani uczyniła? — spytała Ania.

— Nie, nie powiedział o tym ani słowa — rzekła Janina pośpiesznie.

## ROZDZIAŁ XXXIX. JAN DOUGLAS PRZEMAWIA NARESZE- CIE

Ania nie traciła jednak słabej nadziei, że po tym wszystkim coś jednak nastąpi. Ale nic się nie stało. Jan Douglas przychodził i zabierał Anię na przejażdżki, odprowadzał Janinę z zebrań religijnych, jak czynił przez całe ubiegłe dwadzieścia lat i jak zdawało się, że będzie czynił jeszcze przez następne dwadzieścia lat. Lato mijało. Ania pracowała w szkole, pisywała listy i uczyła się nieco. Spacerowała do szkoły i ze szkoły były bardzo miłe. Szła zawsze przez trzęsawisko. Miłe to było miejsce. Bagnisty grunt z porośniętymi pagórkami. Srebrzysty strumień płynął tamtędy, a sosny stały prosto, z szarozielonymi konarami pokrytymi mchem.

Nie bacząc na to, wydawało się Ani życie w Valley Road nieco monotonne. Zdarzył się co prawda jeden zabawny wypadek.

Wysmukłego, płowowłosego Sama z miętą nie widziała od owych wieczornych odwiedzin, poza przypadkowymi spotkaniami na drodze. Ale pewnego gorącego wieczora sierpniowego Sam zjawił się i usiadł uroczyście na ławce przed sienią. Nosił zwykle ubranie robocze, składające się z połatanych spodni, niebieskiej koszuli, podartej na łokciach, i postrzępionego kapelusza słomkowego. Żuł źdźbło słomy, którego nie wypuszczał z ust, spoglądając uroczyście na Anię. Ania z westchnieniem odłożyła książkę i ujęła serwetkę, którą wyszywała. Konwersacja z Samem była rzeczywiście niemożliwa.

Po długim milczeniu Sam odezwał się wreszcie.

— Mieszkam tam obok — rzekł krótko, wskazując źdźbłem słomy w kierunku sąsiedniego domu.

— O, rzeczywiście? — zapytała Ania uprzejmie.

— Tak.

— A dokąd się pan teraz udaje?

— Ano, myślę trochę o tym, żeby założyć własny dom. Podoba mi się jeden w Millersville. Ale gdybym go wynajął, muszę mieć żonę.

— Tak mi się zdaje — rzekła Ania.

— Tak.

Znowu nastąpiło milczenie. Ostatecznie Sam poruszył znowu swoim źdźbłem słomy i rzekł:

— Czy pani mnie chce?

— Cooo? — zawołała Ania ochryple.  
— Czy pani mnie chce?  
— Czy pan ma na myśli, żeby pana *poślubić*? — zapytała biedna Ania słabo.  
— Tak.  
— Nnno... za mało pana znam! — zawołała Ania podniecona.  
— Ale pozna mnie pani, gdy się pobierzemy — rzekł Sam.  
Ania zebrała całą swoją biedną godność.  
— Oczywiście nie chcę pana poślubić — rzekła wyniośle.  
— Ano, może pani żałować — ostrzegł ją Sam. — Jestem dobrym robotnikiem i mam trochę pieniędzy w banku.  
— Niech pan o tym więcej nie mówi! Cóż u licha podsunęło panu ten pomysł? — zapytała Ania, odzyskując znowu humor.

Sytuacja była tak absurdalna!

— Bardzo mi się pani spodobała i chodzi pani tak zgrabnie. Nie lubię leniwych kobiet. Niech się pani namyśli. Ja swojego słowa jeszcze nie zmieniam. Ano, muszę już iść. Trzeba wydoić krowy.

Iluzje Ani co do oświadczyn tak dalece ucierpiały w ostatnich latach, że niewiele z nich pozostało. Mogła się więc tym razem śmiać z całego serca, nie odczuwając tajemnego bólu. Opowiedziała o wszystkim Janinie, przedrzeźniając wymowę Sama, i obie śmiały się niepohamowanie z tego sentymentu.

Pewnego popołudnia, gdy pobyt Ani w Valley Road zbliżał się już ku końcowi, nadjechał galopem służący Douglasów.

— Niech pani pędzi do państwa Douglas, prędko! — zawołał. — Zdaje mi się, że stara pani umiera nareszcie po dwudziestu latach udawania!

Janina chwyciła szybko kapelusz. Ania zapytała, czy pani Douglas czuje się gorzej, niż zwykle.

— Nie jest ani o połowę tak źle — odparł służący uroczyście — i to mi właśnie daje do myślenia. Kiedy indziej krzyczała i rzucała się na fotelu. Tym razem leży cicho i niemo. Gdy pani Douglas leży cicho, założę się, że jest bardzo chora.

— Nie lubi pan starej pani Douglas? — zapytała Ania ciekawie.

— Lubię koty, gdy są kotami, nie lubię kotów, gdy są kobietami — brzmiała tajemnicza odpowiedź służącego.

Janina powróciła do domu o zmroku.

— Pani Douglas nie żyje — rzekła znużonym głosem. — Umarła zaraz po moim przybyciu. Raz jeszcze przemówiła do mnie: „Spodziewam się, że wyjdiesz teraz za Jana”, rzekła. Zraniło mi to serce, Aniu. Pomyśleć, że rodzona matka Jana sądziła, że przez nią nie chciałam wyjść za niego! Nie mogłam jej odpowiedzieć ani słowa, gdyż w pokoju były obce kobiety. Czułam się szczęśliwa, że Jana nie było.

Janina rozplakała się rozpaczliwie. Ania ugotowała jej herbaty imбирowej<sup>75</sup>. Później dopiero odkryła Ania, że zamiast imbiru<sup>76</sup> użyła białego pieprzu, ale Janina nie poczuła różnicy.

Wieczorem po pogrzebie Janina i Ania siedziały na stopniach przed domem, przypatrząc się zachodowi słońca. Janina nosiła swoją brzydką, czarną suknię i wyglądała bardzo źle; oczy i nos miała czerwone od płaczu. Mówiły mało, gdyż Janina brała widocznie Ani za złe wysiłki, aby ją rozweselić. Wołała po prostu odczuwać ból.

Nagle wrota otworzyły się i Jan Douglas wszedł do ogrodu. Szedł prosto ku nim przez zagon geranii<sup>77</sup>. Janina wstała. Ania uczyniła to samo. Ania była zgrabną dziewczyną i nosiła białą suknię, ale Jan Douglas nie widział tego.

— Janino — rzekł — czy chcesz zostać moją żoną?

Słowa te zabrzmiały, jakby potrzebowały dwudziestu lat, by zostać wypowiedziane, a teraz *musiały* być wygłoszone, zanim padnie jakiegokolwiek inne słowo.

Twarz Janiny była tak czerwona od płaczu, że nie mogła bardziej poczerwieniec.

— Dlaczego nie zapytałeś mnie o to dawniej? — rzekła wolno.

<sup>75</sup>imbierowy — dziś: imbirowy. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>imbier — dziś: imbir. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>geranij — dziś powszechniejsza forma D. lm: geranii. [przypis edytorski]



— Nie mogłem. Wymogła na mnie przyrzeczenie, że tego nie uczynię... matka wymogła na mnie to przyrzeczenie. Przed dziewiętnastu laty miała straszny atak choroby. Myśleliśmy, że go nie przeżyje. Błagała mnie wtedy, abym jej przyrzekł, że ci się nie oświadczę, póki ona żyje. Nie chciałem dać takiego przyrzeczenia, chociaż wszyscy myśleliśmy, że nie będzie już długo żyła... lekarz nie obiecywał jej więcej jak sześć miesięcy życia. Ale błagała mnie o to na kolanach, chora i cierpiąca. Musiałem jej przyrzec.

— Cóż matka twoja miała przeciwko mnie? — zawołała Janina.

— Nic, nic! Po prostu nie chciała, aby inna kobieta, *jakakolwiek* inna kobieta była w domu, póki ona żyła. Powiedziała, że jeżeli jej tego nie przyrzeknę, umrze natychmiast, a ja będę jej mordercą. Więc przyrzekłem jej. A ona od tego czasu trzymała mnie za słowo, chociaż błagałem ją na klęczkach, żeby mnie od tego słowa uwolniła.

— Dlaczego pan tego mnie nie powiedział? — zapytała Ania przejęta. — Gdybym ja o tym wiedziała! Dlaczego mi pan tego nie powiedział?

— Zmusiła mnie do przyrzeczenia, że nie powiem tego nikomu — rzekł Jan głosem ochrypłym. — Musiałem jej poprzysiąc na biblię. Janino, nigdy bym tego nie uczynił, gdybym mógł przypuszczać choćby, że to na tak długo! Janino, nigdy się nie dowiesz, ile przez te dziewiętnaście lat wycierpiałem. Wiem, że i ty cierpiałas przeze mnie, ale mimo to zostaniesz moją żoną, prawda, Janino? O, Janino, nie odmówisz mi przecież, prawda? Przyszedłem, jak tylko mogłem najwcześniej, żeby cię o to prosić.

W tej chwili oszołomiona Ania uświadomiła sobie nareszcie, że nie ma tu nic do roboty. Odeszła cicho i aż do następnego ranka nie ujrzała Janiny. Wtedy dopiero dowiedziała się od niej reszty historii.

— Co za okrutna, bezlitosna, faszyna, stara kobieta! — zawołała Ania.

— Cicho, ona nie żyje! — rzekła Janina uroczyście. — Nie wolno nam więc mówić o niej nic złego. Ale nareszcie jestem szczęśliwa, Aniu! I ani odrobinę nie martwiłabym się, że muszę tak długo czekać, gdybym była tylko wiedziała, dlaczego.

— Kiedy się pobierzecie?

— W przyszłym miesiącu. Oczywiście ślub będzie zupełnie cichy. Ludzie będą mnie pewnie okropnie obgadywali. Powiedzą, że pośpieszyłam się, żeby złapać Jana, gdy tylko matka jego zesłała nam z drogi. Jan chciał im wyjawić prawdę, ale ja powiedziałam: „Nie, Janie, mimo wszystko była ona twoją matką! Zachowajmy tę tajemnicę między nami, aby nie rzucić ani cienia na jej wspomnienie! Nic mnie nie obchodzi, co ludzie powiedzą, teraz, gdy sama znam prawdę. To wszystko nic. Niechaj wszystko zostanie wraz ze zmarłą pogrzebane!”, powiedziałam mu. Nalegałam na niego póty, aż się ze mną zgodził.

— Potrafi pani bardziej przebaczać, niż ja zdołałabym kiedykolwiek — rzekła Ania nieco gniewnie.

— Gdy pani będzie w moim wieku, zmieni pani zdanie o niejednej rzeczy — rzekła Janina wyrozumiale. — Jedną z rzeczy, których uczymy się z wiekiem, jest przebaczać. Łatwiej to człowiekowi czynić w czterdziestym roku życia, niż w dwudziestym.

## ROZDZIAŁ XXXV. OSTATNI ROK W REDMONDZIE

— Oto zebrałyśmy się znowu wszystkie, opalone i rozradowane, jak człowiek, który dobiega w wyścigu do mety — rzekła Fila, siadając z westchnieniem radości na kufrze. — Czy to nie miło ujrzyć znowu to stare „Ustronie Patty” i cioteczkę, i koty? Morusek stracił jeszcze kawałek ucha, prawda?

— Morusek byłby najpiękniejszym kotem na świecie, gdyby w ogóle nie miał uszu — oświadczyła Ania ze swego kufra, podczas gdy Morusek kręcił się na jej kolanach w obłądnej radości powitania.

— Czy nie cieszysz się, że nas znowu widzisz, cioteczko? — zapytała Fila.

— Naturalnie, ale wolałabym, żebyście uprzątnęły swoje rzeczy — odparła ciotka Jakubina, wskazując na rozgardiasz kufrow i walizek w pokoju. — Możemy porozmawiać później. Najpierw robota, potem przyjemność: to była moja zasada, gdy byłam dziewczynką.

— O, w naszym pokoleniu zmieniło się to, cioteczko. Nasza zasada brzmi: zabaw się pierw, a potem bierz się do pracy. Lepiej wykonasz robotę, gdy masz za sobą przyzwoitą zabawę.

— Jeżeli chcesz wyjść za mąż za duchownego — rzekła ciotka Jakubina, podnosząc Józka i swoją robotkę — i zadowolnić<sup>78</sup> się skromnym ubóstwem, to musisz się pozbyć takich zasad.

— Dlaczego? — jęknęła Fila. — Dlaczego żąda się, aby żony duchownych wygłaszały tylko pobożne zdania? Ja tego robić nie będę!

— Czy zakomunikowałaś już rodzinie o swoich zaręczynach? — zapytała Priscilla, karmiąc kota Magdy resztkami swego śniadania.

Fila skinęła głową.

— Jak to przyjęli?

— O, matka awanturowała się! Ale ja byłam nieugięta jak skała, ja, Filipa Gordon, która nigdy nie mogłam się zdobyć na stanowczość! Ojciec był spokojniejszy. Jego ojciec też był pastorem, ma więc dla sukienki duchownej sentyment. Gdy mama uspokoiła się trochę, sprowadziłam Jasia do nas, a rodzice bardzo go polubili. Ale mama w każdej rozmowie robiła okropne aluzje do nadziei, jakie co do mnie żywiła. O, droga moich tegorocznych wakacyj<sup>79</sup> nie była usiana różami, moje kochane! Ale zwyciężyłam i zdobyłam swego Jasia. Reszta mnie nie obchodzi!

— Ciebie! — rzekła ciotka Jakubina ponuro.

— Ani Jasia! — odpowiedziała Fila. — Widzę, że mu nadal współczujesz. Może mi powiesz, dlaczego? Ja sądzę, że można mu raczej zazdrościć. Zdobywa *we mnie* rozum, urodę i złote serce!

— Dobrze, że wiemy, jak mamy traktować twoje słowa — rzekła ciotka Jakubina cierpliwie. — Mam nadzieję, że do nieznajomych nie odzywasz się w ten sposób. Co by sobie ludzie pomyśleli?

— O, nic mnie to nie obchodzi! Nie patrzę na siebie tak, jak inni na mnie patrzą. Jestem przekonana, że czułabym się z tym przeważnie bardzo źle.

Ania opowiedziała teraz szczegółowo swoim przyjaciółkom historię Jana i Janiny.

— Musisz nam jeszcze opowiedzieć o tej romantycznej scenie, o której tak niejasno napomykałaś w swoich listach — rzekła Fila.

Ania z najdrobniejszymi szczegółami powtórzyła im oświadczyzny Sama. Dziewczęta zanosily się ze śmiechu, nawet ciotka Jakubina uśmiechała się.

— Nie należy się właściwie wyśmiewać ze swych adoratorów — rzekła surowo — ale — dodała szczerze — ja sama zawsze to czyniłam.

— Opowiedz nam o swoich adoratorach, cioteczko! — zawołała Fila. — Musiałaś ich mieć szalenie dużo.

— Nie należą oni do przeszłości — odpowiedziała ciotka Jakubina. — Mam ich jeszcze teraz. Trzej starzy wdowcy przez pewien czas rzucali na mnie baranie spojrzenia. Nie myślcie, dzieci, że do was należy cały romantyzm świata.

— Wdowcy i baranie spojrzenia — to nie brzmi zbyt romantycznie, cioteczko!

— No, nie, ale wy młodzi też niezawsze jesteście romantyczni. Kilku z moich adoratorów rzeczywiście nie odznaczało się tym. Skandalicznie tych biedaków wyśmiewałam. Był więc Jim Elwood, który stale znajdował się w pewnego rodzaju śnie na jawie, nie zdając sobie nigdy sprawy z tego, co się wokół niego działo. Gdy powiedziałam „nie”, zrozumiał to dopiero w rok później. Kiedy się ożenił, żona jego, powracając z kościoła, wypadła pewnego dnia z sani, a on nie zauważył jej braku. Drugim był Dan Winston. On wiedział za wiele. Znał wszystko na tym świecie i prawie wszystko na tamtym. Na każde pytanie potrafił dać odpowiedź, nawet gdyby go zapytano, kiedy nastąpi dzień Sądu Ostatecznego. Milton Edwards był rzeczywiście miły i podobał mi się, ale nie wyszłam za niego. Po pierwsze trwało tydzień, aż zrozumiał jakiś dowcip, a po drugie, nigdy się o mnie nie starał. Moratio Reeve był najciekawszym z konkurentów, jakich kiedykolwiek miałam. Ale gdy opowiadał jakąś historię, koloryzował ją tak bardzo, że wśród samych ozdóbek nie dostrzegało się treści. Nigdy się nie mogłam zorientować, czy kłamał, czy popuszczał wodzy swojej wyobraźni.

— A inni, cioteczko?

<sup>78</sup>zadowolnić się — dziś popr.: zadowolić się. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>wakacyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: wakacji. [przypis edytorski]

— Rozpakujcie pierw rzeczy — rzekła ciotka Jakubina, wymachując na nie przez niewagę Józkiem zamiast igłą. — Inni byli zbyt mili, żeby z nich żartować. Szanuję ich wspomnienie. W twoim pokoju jest pudełko kwiatów, Aniu, przyniesiono je przed godziną.

Gdy minął pierwszy tydzień, dziewczęta z „Ustronia Patty” zebrały się gorliwie do „kucia”, gdyż był to ostatni ich rok studiów w Redmondzie i trzeba było wytrwale zabiegać o zaszczyt promocji. Ania poświęciła się nauce języka angielskiego. Priscilla siedziała nad klasykami, a Filipa orała matematykę. Niekiedy ogarniało je zmęczenie, chwilami zdawało się im, że nie warto o to walczyć.

W takim nastroju weszła Stella pewnego dżdżystego wieczora do niebieskiego pokoiku Ani. Ania siedziała na podłodze, w małym kręgu światła lampy, stojącej obok niej, otoczona stosem rozsypanych manuskryptów.

— Co ty robisz, na Boga?

— Przeglądam właśnie stare opowiadania z „Klubu Powieściowego”. Potrzeba mi było na rozweselnienie. Uczylałam się, aż mi świat obrzydł. Więc wygrzebałam ze swego kufra te papiery. Takie są pełne łez i tragedij<sup>80</sup>, że można pęknąć ze śmiechu.

— Ja sama jestem w złym humorze — rzekła Stella, siadając na niskim tapczanie. — Nic mi się dzisiaj nie wydaje warte trudu. Wszystkie moje myśli są przestarzałe, wszystko już dawniej myślałam. Ostatecznie, jaką wartość posiada życie, Aniu?

— Wszystkiemu winne to wkuwanie i pogoda, moja droga. Taki dżdżysty wieczór, jak dzisiejszy, po dniu pełnym wytężonego kucia, na każdego musi oddziaływać przygnębiająco. Wiesz przecież, że życie ma swój urok.

— O, i ja tak myślę, ale teraz trudno mi w to uwierzyć!

— Pomyśl więc o tych wszystkich wielkich i szlachetnych duszach, które żyły i pracowały na świecie — rzekła Ania z zadumą. — Czyż to nie szczęście żyć po nich i odziedziczyć ich zdobycze i nauki? Pomyśl o wszystkich wielkich ludziach dzisiejszego świata. Czyż to nie szczęście, że możemy dzielić ich natchnienia? A potem o tych wszystkich wielkich duchach, co przyjdą po nas. Czyż to nie szczęście, że pracujemy, aby im przygotować drogę? Jeden choćby krok na ich drodze uczynić lżejszym?

— O, rozum mój zgadza się zupełnie z tym, co mówisz, Aniu, ale dusza moja pozostaje posępna i zniechęcona. W dżdżyste wieczory jestem zawsze smutna i przygnębiona.

— W niektóre wieczory lubię deszcz. Lubię leżeć w łóżku i przysłuchiwać się, jak pluszcze na dachu i kapie z sosen.

— Ja go lubię, gdy pozostaje na dachu — rzekła Stella. — Nie zawsze się lak dzieje. Ubiegłego lata przeżyłam straszną noc w starym folwarczku wiejskim. Dach miał dziury, a deszcz padał prosto na moje łóżko. Nie było w tym zupełnie poezji. Musiałam wstać o północy, w ciemności usunąć łóżko z obrębu deszczu. A było to jedno z owych solidnych, starych łóżek, ważących mniej więcej z tysiąc kilogramów. A potem to nieustanne trip-trop, trip-trop, przez całą noc nie pozwoliło mi spać, szarpiąc mi nerwy na kawały. Nie możesz sobie wyobrazić, jak okropny hałas sprawia kropla deszczu w nocy, gdy pada na gołą podłogę. Brzmi to jak kroki upióra. Z czego się śmiesz, Aniu?

— Z tych opowiadań. Fila powiedziała, że są zabójcze, ale w podwójnym sensie, gdyż wszyscy w nich umierają. Co za olśniewające, cudowne miałyśmy bohaterki! I jak je stroiłyśmy! W jedwabie, atlasy, aksamity, klejnoty, koronki — nigdy nic innego nie nosiły. Oto opowiadanie Janki Andrews, w którym bohaterka śpi w cudownym atlasowym stroju nocnym, wyszywanym prawdziwymi perłami.

— Czytaj dalej! — rzekła Stella. — Czuję, że życie jest coś warte, póki można się śmiać.

— A tu jest moje opowiadanie. Bohaterka moja bawi na balu, świecąc od stóp do głowy wielkimi diamentami najczystszej wody. Ale na cóż się zda uroda i bogaty strój? Ścieżki przepychu prowadziły tylko do grobu. Wszystkie bohaterki musiały być albo zamordowane, albo umrzeć z tęsknoty. Nie było dla nich ratunku.

— Pozwól mi przeczytać kilka swoim opowiadań.

— Dobrze, oto moje arcydzieło. Zwróć uwagę na wesoły tytuł: *Moje mogiły*. Podczas pisania wylałam kwartę łez, a inne dziewczęta przelewały je przy czytaniu garncami.

<sup>80</sup>tragedyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: tragedii. [przypis edytorski]

Matka Janki Andrews gniewała się, że tyle chusteczek było w tym tygodniu w praniu. Jest to przejmujące opowiadanie o przelgrzymkach żony pastora metodystów. Zrobiłam ją metodystką, ponieważ koniecznym było, aby podróżowała. W każdym miejscu, gdzie mieszkała przez pewien czas, pochowała dziecko. Było ich dziewięć, a mogiły ich oddalone były od siebie bardzo i sięgały od Nowej Fundlandii do Vancouver. Opisałam dzieci, odmalowałam rodzaje ich śmierci i szczegółowo przedstawiłam ich pomniki i nagrobki. Miałam początkowo zamiar pochować wszystkie dziesięć<sup>81</sup>, ale gdy skończyłam z dziewiątym, talent mój zawiódł i pozwoliłam dziesiątemu pozostać przy życiu jako bezradnemu kalece.

Podczas gdy Stella czytała *Moje mogiły*, podkreślając głośnym śmiechem najtragiczniejsze ustępy, a Morusek spał snem sprawiedliwego kota, który przez całą noc hulał gdzieś za domem, teraz zaś skulił się na opowiadaniu Janki Andrews o pięknej piętnastoletniej dziewczycy, która wyruszyła jako siostra miłosiedzia do osady trędowatych i oczywiście uległa ostatecznie tej strasznej chorobie — Ania przerzucała inne manuskrypty, przypominając sobie dni szkolne w Avonlea, gdy członkowie „Klubu Powieściowego” siadywali pod sosnami lub między paprociami nad strumieniem i pisali te straszne opowieści. Ileż z tego jednak miała przyjemności! Jak powracało w trakcie czytania słońce i radość owych dni letnich! Między swymi rękopisami znalazła Ania jeden, pisany na luźnych arkuszach papieru do pakowania. Fala śmiechu napęchła jej oczy, gdy przypomniała sobie chwilę i miejsce powstania tego dzieła. Był to szkic, który napisała owego wieczora, gdy wpadła przez dach do kurnika w Tory Road.

Ania rzuciła na niego okiem, potem zaczęła z zaciekawieniem czytać. Był to mały dialog między astrami i groszkiem, dzikimi kanarkami wśród gałęzi bzu i duchem opiekuńczym ogrodu. Gdy Stella odeszła, Ania wygładziła pomięty manuskrypt dialogu.

— Zdaje się, że to zrobię — powiedziała do siebie.

## ROZDZIAŁ XXXVI. WIZYTA GARDNERÓW

— Przyszedł dla ciebie list z indyjską marką<sup>82</sup>, ciotko Jakubino — rzekła Fila. — A oto trzy listy dla Stelli i dwa dla Prissy, a bardzo gruby dla mnie od Jasia. Dla ciebie, Aniu, nie ma nic prócz tego listu pisanego na maszynie.

Nikt nie spostrzegł rumieńca Ani, gdy ujęła cienki list, który Fila rzuciła jej niedbale. Ale w kilka minut później, gdy Fila podniosła wzrok, ujrzała zmienioną Anię.

— Co za dobra nowina, moja droga?

— „Przyjaciół Młodzieży” przyjął krótkie opowiadanie, które posłałam mu przed dwoma tygodniami — odpowiedziała Ania, starając się mówić swobodnie, jakby była przyzwyczajona do tego, że każda poczta przynosiła jej wiadomość o jakimś przyjętym opowiadaniu. Nie bardzo jej się to jednak udało.

— Aniu! Jak to wspaniale! Co to było za opowiadanie? Kiedy się ukaże? Czy ci za to płacą?

— Owszem, załączyli czek na dziesięć dolarów, a wydawca pisze, że byłby rad, gdybym mu nadsyłała więcej swoich prac. Poczciwy! Dostanie ich dość! Był to stary szkic, który znalazłam w swoim kufrze. Przepisałam go i posłałam. Ale nigdy właściwie nie myślałam, że mógłby być przyjęty, gdyż nie miał zupełnie akcji — rzekła Ania, przypominając sobie gorzkie doświadczenia z *Pokutą Aweryli*.

— Co zrobisz z tymi dziesięcioma dolarami, Aniu? Może pójdziemy wszyscy do miasta i upijemy się? — zaproponowała Fila.

— Przehulałam je! — zawołała Ania wesoło. — W każdym razie nie są to brudne pieniądze, jak ów czek, który dostałam za swoją ohydłą nowelę, reklamującą proszek do pieczenia. Wydałam je użytecznie na rzeczy, których zawsze nienawidziłam i nie mogłam wprost włożyć na siebie.

— Pomyśleć, że mamy w „Ustroniu Patty” prawdziwą, żyjącą autorkę! — rzekła Priscilla.

— Wielka to odpowiedzialność — rzekła ciotka Jakubina uroczyście.

<sup>81</sup>dziesięć — dziś popr. o dzieciach: dziesięcioro. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>marka (tu daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

— To prawda — zgodziła się Priscilla tak samo uroczyście. — Autorzy to kapryśna zgraja. Nigdy nie można przewidzieć, co im wpadnie do głowy. Ania może skopiować którąś z nas.

— Miałam na myśli, że talent pisarski to wielka odpowiedzialność — odpowiedziała ciotka Jakubina surowo. — A mam nadzieję, że Ania rozumie to. Córka moja pisywała nowelki, zanim opuściła kraj. Teraz jednak zwróciła się do wyższych spraw. Mawiała zawsze, że zasadą jej jest: „Nie pisz nigdy ani wiersza, któregobyś nie chciała przeczytać na swoim nagrobku”. Dobrze zrobisz, Aniu, jeżeli się będziesz także trzymała tej zasady, o ile pragniesz się poświęcić literaturze. Chociaż oczywiście — dodała ciotka Jakubina szybko — Elżbieta śmiała się zawsze, mówiąc to. Śmiała się zawsze tak wiele, że nie rozumiem, jak się mogła zdecydować, aby zostać misjonarką. Jestem szczęśliwa, że się tak stało... Modliłam się, aby się na to zdobyła... ale... pragnęłam, aby tego nie uczyniła...

Ciotka Jakubina dziwiła się potem, że wszystkie te trzpiotowate dziewczęta wybuchnęły śmiechem.

Oczy Ani błyszczały przez cały ten dzień. Ambicja literacka wykwitła w jej główce. Wesole myśli towarzyszyły jej przez cały czas spaceru, a nawet na widok Gilberta i Krystyny, którzy szli tuż przed nią, iskry jej nadziei nie zgasły. Mimo wszystko jednak, nie była tak pochłonięta sprawami ziemskimi, aby nie spostrzegła, że chód Krystyny był niezwykle niezgrabny.

— Ale Gilbert patrzy pewnie tylko na jej twarz. Jak wszyscy mężczyźni — powiedziała sobie Ania pogardliwie.

— Czy będziesz w sobotę po południu w domu? — zapytał Roy.

— Tak.

— Matka moja i siostry chciałyby cię odwiedzić — rzekł Roy spokojnie.

Anię przeniknęło coś, co możnaby nazwać dreszczem, ale nie był to dreszcz miły. Nie знаła jeszcze nikogo z rodziny Roya. Rozumiała znaczenie jego oświadczenia. Było w tym coś tak nieuniknionego, że Ania zadrżała.

— Będę bardzo rada — rzekła, a potem zastanowiła się, czy rzeczywiście będzie tak rada. Powinna by właściwie. Ale czy to nie będzie czymś w rodzaju próby? Plotka doniosła już Ani, w jakim świetle widzieli Gardnerowie zakochanie ich syna i brata. Roy musiał w związku z tą wizytą wiele wycierpieć. Ania wiedziała, że będzie skrupulatnie badana. Z faktu, że panie zgodziły się na wizytę, wnioskowała, że chętnie czy niechętnie widziały w niej prawdopodobną członkinię rodziny.

„Będę zupełnie sobą, nie będę starała się wyrzucić dobrego wrażenia”, myślała Ania dumnie. Ale zastanowiła się, jaką suknię włożyć w sobotę po południu i czy ładniej jest w obecnej wysokiej fryzurze, niż w dawnej. W spacerze coś było dla niej zepsute. Wieczorem zdecydowała się, że włoży w sobotę brązową suknię szyfonową, ale włosy uczesze nisko.

W piątek po południu żadna z dziewcząt nie miała wykładów w Redmondzie. Stella skorzystała ze sposobności, aby napisać referat dla towarzystwa filomackiego, i siedziała przy stole w kącie bawialni, otoczona arkusikami papieru z notatkami i rozrzuconymi na podłodze kartkami rękopisu. Stella przysięgała zawsze, że nie potrafiła nic napisać, nie zrzucając zapisanych kartek na podłogę. Ania, we flanelowej bluzce i wełnianej spódnicy, z włosami zwichrzonymi nieco w drodze powrotnej do domu, siedziała na środku podłogi i drażniła kota Magdy kostką. Józek i Morusek skuleni byli na jej kolanach. Gorące opary śliwek wypełniały cały dom, gdyż Priscilla piekła w kuchni. W tej chwili weszła do pokoju, odziana w olbrzymi fartuch roboczy, z umączonym nosem, aby pokazać ciotce Jakubinie placek czekoladowy, który właśnie połała lukrem.

W tej szczęśliwej chwili zabrzmiał dzwonek. Nikt nie zwrócił na to uwagi, z wyjątkiem Fili, która zerwała się i otworzyła, oczekując chłopca z kapeluszem, który kupiła rano. Na progu stały pani Gardner i jej córki.

Ania podniosła się z trudnością, strząsając z kolan dwa rozgniewane koty i automatycznie przekładając kość z prawej ręki do lewej. Priscilla, która musiała przejść przez pokój, aby się dostać do kuchni, straciła głowę, schowała nieprzytomnie placek czekoladowy pod poduszkę na kanapie przy kominku i wbiegła na górę. Stella poczęła gorączkowo zbierać swój manuskrypt. Tylko ciotka Jakubina i Fila pozostały normalne. Im należało

Zazdrość

zawdzięczać, że wszyscy ostatecznie odzyskali równowagę, nawet Ania. Priscilla zeszła na dół bez fartucha i bez mąki na nosie, Stella doprowadziła swój kącik do porządku, a Fila uratowała sytuację potokiem zręcznej gadatliwości.

Pani Gardner była wysoka, szczupła i ładna, wytwornie ubrana, serdeczna w sposób nieco sztuczny. Alina Gardner była młodszym wydaniem matki, ale brak jej było właśnie owej serdeczności. Wysiłała się, żeby być miłą, ale udawało się jej tylko okazywać się wyniosłą. Dorota Gardner była wysmukła i wesoła, nieco trzpiotowata. Ania wiedziała, że była to ulubiona siostra Roya, toteż odnosiła się do niej serdecznie. Byłaby bardzo podobna do Roya, gdyby miała ciemne, marzycielskie oczy zamiast figlarnych piwnych. Dzięki niej i Fili wizyta minęła bardzo dobrze, z wyjątkiem lekkiego uczucia naprężonej atmosfery i dwóch niemiłych wypadków. Morusek i Józek, pozostawieni sobie samym, rozpoczęli gonitwę, skoczyli dziko na jedwabne łono pani Gardner i zeskoczyli znowu w nieposkromionym galopie. Pani Gardner podniosła lorgnon i spojrzała za nimi, jakby nigdy jeszcze nie widziała kotów, Ania zaś stłumiła nerwowy uśmiech i jak mogła najuprzejmiej przeprosiła panią Gardner.

— Lubi pani koty — rzekła pani Gardner z lekką intonacją pobłażliwego zdumienia.

Ania, mimo całej sympatii, jaką miała dla Moruska, nieszczególnie lubiła koty, ale ton pani Gardner rozdrażnił ją. Przypomniała sobie w tej chwili, że pani Blythe bardzo lubiła koty i trzymała ich tyle, ile tylko pozwalał jej mąż.

— To bardzo miłe zwierzątko, prawda? — rzekła figlarnie.

— Nigdy nie lubiłam kotów — oznajmiła pani Gardner niedbale.

— Ja je lubię — rzekła Dorota. — Takie są ładne i egoistyczne. Psy są za dobre i za mało samolubne. Czuję się przy nich nieswojo. Koty zaś są niezwykle ludzkie.

— Ma pani tam dwa cudowne porcelanowe pieski. Czy mogę je obejrzeć z bliska? — zapytała Alina, zbliżając się do kominka i stając się przy tym nieświadomie powodem drugiego przypadku. Podnosząc Magoga, usiadła na poduszkę, pod którą Priscilla schowała placek czekoladowy. Priscilla i Ania wymieniła zatrwożone spojrzenia, ale nic nie mogły poradzić. Alina siedziała nadal na poduszce, rozprawiając o psach porcelanowych aż do chwili odejścia.

Dorota pozostała jeszcze chwilę w pokoju, aby uścisnąć Ani rękę i szepnąć jej impulsywnie:

— Wiem, że będziemy przyjaciółkami. O, Roy opowiadał mi wszystko o pani. Jestem jedyną w rodzinie, której ten biedny chłopiec coś opowiada. Na mamie i Alinie nikt nie mógłby polegać. Jak wspaniale musicie tutaj spędzać czas. Czy pozwolicie mi przychodzić tutaj i brać udział w waszym życiu?

— Niech pani przychodzi, jak często będzie pani chciała — odpowiedziała Ania serdecznie, szczęśliwa, że jedną z siostrz Royów można było lubić. Nigdy by nie polubiła Aliny, to było pewne, a Alina nigdy by jej nie polubiła, chociaż panią Gardner można było sobie zjednać.

Ostatecznie jednak wydała Ania westchnienie ulgi, gdy ciężka próba minęła.

— Co za tragiczne wydarzenie! — zawołała Priscilla drwiąco, podnosząc poduszkę. — Placek ma teraz prawdziwy zakalec! A poduszczyk jest także do niczego. Niech mi nikt nie mówi, że piątek nie jest dniem feralnym!

— Ludzie, którzy się zamawiają na sobotę, nie powinni przychodzić w piątek — oświadczyła Jakubina.

— Domyślam się, że to była omyłka Roya — rzekła Fila. — Ten chłopiec jest rzeczywiście nieodpowiedzialny za to, co mówi, kiedy rozmawia z Anią. Gdzie Ania?

Ania weszła na górę. Czuli się bliska płaczu, ale zmuszała się do śmiechu. Morusek i Józek byli zbyt okropni, a Dorota była tak miła!

## ROZDZIAŁ XXXVII. KONIEC STUDIÓW

— Chciałabym nie żyć, albo żeby już był jutrzejszy wieczór — westchnęła Fila.

— Gdy będziesz żyła dość długo, oba życzenia się spełnią — odpowiedziała Ania spokojnie.

— Tobie łatwo być wesołą. W filozofii czujesz się jak w domu. Ale ja nie, a na myśl o okropnym ćwiczeniu jutrzejszym ogrania mnie drzenie. Co powie Jaś, jeżeli się zetnę<sup>83</sup>?

— Nie zetniesz się. Jak sobie dzisiaj poradziłaś z greką?

— Nie wiem. Może napisałam dobre ćwiczenie, a może dostatecznie złe, aby się Homer przewrócił w grobie. Uczylałam się i zakuwałam, aż już zupełnie straciłam głowę. Jak szczęśliwa będzie mała Fila, gdy już będzie po tej całej egzaminacji.

— Egzaminacji? Nigdy nie słyszałam o takim słowie!

— To co? Czy mnie nie wolno tworzyć nowych słów, jak każdemu innemu? — zapytała Fila.

— Słów się nie tworzy, powstają one same — odpowiedziała Ania.

— Nic nie szkodzi. Dziewczeta, czy możecie to zrozumieć, że nasze życie redmondzkie jest prawie skończone?

— Ja nie — rzekła Ania zakłopotana. — Mam wrażenie, że to wczoraj dopiero było, gdy tak samotnie stałam z Priscillą w tłumie „nowicjuszków”. A oto jesteśmy na ostatnim roku, przed egzaminami końcowymi.

— Potężne, mądre i czcigodne! — zakończyła Fila. — Czy sądzisz, że rzeczywiście jesteśmy trochę mądrzejsze, niż wtedy, gdy przyjechałyśmy do Redmondu?

— Nie postępujecie tak, jakbyście były mądre — rzekła ciotka Jakubina surowo.

— O, cioteczko Jakubino, czyż nie byłyśmy grzecznymi dziewczynkami przez całe te trzy zimy, gdy nam matkowałeś? — broniła się Fila.

— Byłyście czwórką najśodszych, najlepszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek razem chodziły na uniwersytet — zapewniła ciotka Jakubina, która nigdy nie wypowiadała na próżno komplementu, przez źle stosowaną oszczędność. — Ale nie przypisuję wam zbyt wiele rozumu. Oczywiście trudno tego wymagać. Doświadczenie daje rozum. Na uniwersytecie nie możecie się tego nauczyć. Wy byłyście przez cztery lata na uniwersytecie, a ja nigdy, a jednak wiem o wiele więcej, niż wy, moje młode damulki. Czy nauczyłyście się w Redmondzie czegoś, prócz języków martwych i geometrii, i innych bzdur? — zapytała.

— O tak. Sądzę, że tak, cioteczko — zaprotestowała Ania.

— Nauczyłyśmy się prawdy, o której profesor Woodleigh mówił na ostatnim zebraniu w towarzystwie filomackim. Powiedział on: „Humor jest najwspanialszą zaprawą życia. Śmieć się ze swoich błędów, ale czerp z nich naukę, kpj ze swoich trosk, ale zdobywaj z nich siłę. Obracaj swoje trudności w żart, ale przemagaj je”. Czy nie warto się tego nauczyć, ciotko Jakubino?

— Owszem, moja droga. Jeżeli nauczyłyście się śmiać z rzeczy, z których należy się śmiać, a nie z tych, z których się śmiać nie wolno, to zdobyłyście mądrość i rozsądek.

— Co ty skorzystałaś podczas swoich studjów w Redmondzie, Aniu? — zapytała Priscilla na boku.

— Sądzę — rzekła Ania wolno — że rzeczywiście nauczyłam się patrzeć na każdą małą przeszkodę jak na drobiazg, a na każdą większą jak na zapowiedź zwycięstwa. Na ogół mam wrażenie, że to jest właśnie to, co mi dał Redmond.

— Ja przypomnę inną cytate<sup>84</sup> profesora Woodleigha, aby wyrazić to, co mi dał uniwersytet — rzekła Priscilla. — Pamiętasz przecież, co powiedział w swoim przemówieniu: „Tak wiele jest na świecie dla nas wszystkich, jeżeli tylko mamy oczy otwarte, by to widzieć, i serce, by to kochać, i dłoń, aby to zbierać. Tak wiele mężczyzn i kobiet, tak wiele w sztuce i literaturze, tak wiele wszędzie rzeczy, które nas mogą podnosić na duchu i za które możemy być wdzięczni”. Sądzę, że Redmond nauczył mnie tego w pewnej mierze, Aniu.

— Sądząc z tego, coście powiedziały — zauważyła ciotka Jakubina — ostatecznym rezultatem jest, że macie z natury dość rozumu, aby się w ciągu czterech lat uniwersyteckich nauczyć tego, na co potrzeba innym dwudziestu lat życia. To usprawiedliwia w moich oczach wyższe wykształcenie. Jest to kwestia, w której dawniej miałam zawsze wątpliwości.

— A co ma być z ludźmi, którzy z natury nie mają dość rozumu, cioteczko Jakubino?

<sup>83</sup>zciąć się (daw. pot.) — nie zdać egzaminu; skompromitować się. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>cytata (daw.) — dziś r.m.: cytat. [przypis edytorski]

— Ludzie, którzy nie mają wrodzonego rozumu, nigdy się niczego nie nauczą — odpowiedziała ciotka Jakubina — ani na uniwersytecie, ani w życiu. Choćby żyli sto lat, nie umieją umierając więcej, niż umieli rodząc się. To ich nieszczęście, nie ich wina. Ale ci z nas, którzy posiadają trochę rozumu, powinni dziękować za to Bogu.

Dni miały szybko i egzaminy skończyły się. Ania otrzymała najwyższe odznaczenie w angielskim, Priscilla odznaczyła się w przedmiotach klasycznych, a Fila w matematyce. Stella otrzymała zwykle dobre świadectwo. Potem nastąpiła promocja.

— Tę chwilę uważałam kiedyś za epokową w swoim życiu — rzekła Ania, wyjmując z pudełka fiołki od Roya i obserwując je w zamyśleniu. Oczywiście miała zamiar przypiąć je, ale oczy jej skierowały się ku drugiemu pudełku na stole. Były to konwalie, tak świeże i pachnące, jak te, które kwitły na Zielonym Wzgórzu, gdy czerwiec zawitał do Avonlea. Obok nich leżała wizytówka Gilberta Blytha.

Ania dziwiła się, że Gilbert przysłał jej kwiaty na promocję. Podczas ostatniej zimy mało go widywała. Od świąt Bożego Narodzenia jednego tylko wieczora piątkowego przyszedł do „Ustronia Patty”, a gdzie indziej rzadko się spotykali. Wiedziała, że uczył się bardzo wytrwale, zmierzając do najwyższego odznaczenia i nagrody Coopera. Mało też brał udziału w życiu towarzyskim Redmondu. Ani zima minęła w wesołym nastroju towarzyskim. Obcowała wiele z Gardnerami, z Dorotą zaprzyjaźniła się blisko, a sfery uniwersyteckie lada dzień spodziewały się opublikowania jej zaręczyn z Royem. Ania sama spodziewała się tego. Ale zanim opuściła „Ustronie Patty”, idąc na promocję, odłożyła fiołki Roya i zastąpiła je konwalia Gilberta. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego to uczyniła. Dawne dni i radości avonlejskie wydały się nagle bardzo bliskie, gdy osiągnęła swoje długo piastowane ambicje. Ona i Gilbert wyobrażali sobie niegdyś radośnie ów dzień, gdy będą się promowali. Cudowny ten dzień nadszedł, a na fiołki Roya nie było w nim miejsca. Tylko kwiaty jej dawnego przyjaciela wydawały się odpowiednie do tej uroczystości.

Przez lata całe dzień ten był jej marzeniem; ale gdy nadszedł, najsilniejszym wrażeniem, jakie pozostało po nim w pamięci, nie była chwila, gdy rektor wręczył jej beret i dyplom; ani widok rozradowanej twarzy Gilberta, gdy dostrzegł swoje konwalie u jej gorsu; ani bolesna mina Roya, kiedy ujrzał ją schodzącą z podium; ani wyniosłe powinszowania Aliny Gardner, ani serdeczne życzenia Doroty. Tym najsilniejszym wspomnieniem był jakiś dziwny, niezrozumiały ból, który zepsuł jej nastrój tego tak dawno oczekiwanego dnia, pozostawiając jej jakiś słaby posmak goryczy.

Tego wieczora promujący się wydali zabawę taneczną. Gdy Ania ubrana już była na zabawę, odłożyła perły, które nosiła zwykle, i wyjęła z walizy małe pudełeczko, które przybyło pewnego dnia podczas Bożego Narodzenia na Zielone Wzgórze. Znajdował się w nim wąski łańcuszek złoty, z małym różowym serduszkim z emalii jako wisiorkiem. Na dołączonej wizytówce było napisane: „Z życzeniami wesołych świąt od Twego dawnego przyjaciela Gilberta”. Ania musiała się roześmiać, gdy to emaliowe serduszko przypomniało jej ów fatalny dzień, gdy Gilbert nazwał ją „Marchewką”<sup>85</sup> i daremnie potem próbował przebłagać ją różowym serduszkim z cukierka. Ale wisiorka tego nigdy nie nosiła. Dzisiejszego wieczora włożyła go na białą szyję z uśmiechem rozmarzenia.

Poszła do Redmondu razem z Filą. Ania szła w milczeniu; Fila gawędziła o najrozmaitszych rzeczach. Nagle rzekła:

— Słyszałam dzisiaj, że zaręczyny Gilberta Blythe z Krystyną Stuart mają być ogłoszone zaraz po promocji. Czy słyszałaś też o tym?

— Nie — rzekła Ania.

— Myślę, że to prawda — rzekła Fila swobodnie. Ania nie odpowiedziała. W ciemności czuła, jak twarz jej płonęła. Wsunęła rękę za kołnierz i dotknęła złotego łańcuszka. Jedno szarpnięcie i łańcuszek ustąpił. Ania ukryła wisiorek w kieszeni. Ręce jej drżały, a oczy zaiskrzyły się.

Ale była tego wieczora najweselszą ze wszystkich dziewcząt, a gdy Gilbert podszedł do niej, prosząc ją o taniec, odpowiedziała mu bez skrępowania, że karnecik jej jest pełen. Potem, gdy siedziała z przyjaciółkami przed dogasającym ogniem przy kominku w „Ustroniu Patty”, nikt weselej od niej nie gawędził o wydarzeniach wieczora.

<sup>85</sup>fatalny dzień, gdy Gilbert nazwał ją „Marchewką” — patrz: *Ania z Zielonego Wzgórza*. [przypis tłumacza]



— Moody Spurgeon MacPherson był tu dzisiaj wieczorem po twoim odejściu — rzekła ciotka Jakubina, która nie kładła się spać, aby podsycać ogień. — Nie wiedział o zabawie. Młodzieniec ten powinien sobie przewiązywać na noc głowę chustką, żeby sobie przypłaszczyć uszy. Miałam kiedyś zalotnika, który to robił i pomogło mu to bardzo. Ja mu to zaproponowałam, a on usłuchał mojej rady, ale nigdy mi tego nie przebaczył.

— Moody Spurgeon jest bardzo poważnym młodzieńcem — ziewnęła Priscilla. — Zajęty jest ważniejszymi sprawami, niż uszy. Jak wiesz, ma zostać duchownym.

— Sądzę, że Bóg nie ogląda uszu człowieka — odpowiedziała ciotka Jakubina poważnie, przerywając dalszą krytykę Moody Spurgeona. Ciotka Jakubina miała szczególnie szacunek dla szat duchownych, nawet jeżeli chodziło o niewyświęconego jeszcze kapłana.

## ROZDZIAŁ XXXVIII. ROZWIANE ZŁUDZENIA

— Pomyśleć, że od dzisiaj za tydzień będę w Avonlea! Co za rozkoszna myśl! — rzekła Ania, pochylając się nad walizką, do której pakowała haftowane kapy pani Małgorzaty. — I od dzisiaj za tydzień opuszczę „Ustronie Patty” na zawsze! Co za straszna myśl!

— Ciekawam, czy duch naszej wesołości znajdzie echo w marzeniach dziewczęcych panny Patty i panny Marii — zastanawiała się Fila.

Panna Patty i panna Maria, zwiedziwszy prawie całą zamieszkałą kulę ziemską, powracały do domu.

„Wracamy w drugim tygodniu maja”, pisała panna Patty. „Spodziewam się, że «Ustronie Patty» wyda nam się nieco małe po komnatach królów Karnaku<sup>86</sup>, ale nigdy bym nie chciała mieszkać w wielkich pałacach. Rada będę znaleźć się znowu w domu. Gdy się w późnym wieku zaczyna podróżować, chce się jak najbardziej wykorzystać czas, gdyż wie się, że się go ma niewiele. Obawiam się, że Maria nigdy już nie będzie zadowolona”.

— Pozostawię tutaj swoje marzenia i rojenia, aby pobłogosławić następnego mieszkańca — rzekła Ania, rozglądając się po niebieskim pokoiku, po swoim pięknym, niebieskim pokoiku, gdzie spędziła trzy tak szczęśliwe lata. Klęczała przy tym oknie, modląc się, i wychylała się z niego, obserwując zachód słońca za sosnami. Słuchała, jak jesienne krople deszczu uderzały o szyby i witała na parapecie okna pliszki wiosenne. Zastanawiała się, czy dawne marzenia mogą pozostawać w pokoju, a gdy się opuszcza na zawsze pokój, gdzie się cierpiało i odczuwało radość, śmiało i płakało, czy nie pozostaje w nim coś nienazwanego i niewidzialnego, a jednak uchwytne, niby wymowne wspomnienie.

— Ja myślę — rzekła Fila — że pokój, w którym się marzyło i cierpiało, i radowało się, i żyło, nierozłącznie stapia się z tymi przeżyciami i przyjmuje indywidualność człowieka. Jestem przekonana, że gdy po pięćdziesięciu latach wejdę do tego pokoju, powie on do mnie: Ania, Ania... Jakiż piękny okres przeżyliśmy tutaj! Jakie pogawędki i żarty, i rozrywki koleżeńskie! O, Boże drogi, w czerwcu mam wyjść za Jasia, i wiem, że będę bezgranicznie szczęśliwa. Ale w tej chwili mam wrażenie, jakbym pragnęła zawsze wieść to radosne życie redmondzkie.

— Jestem dość nierozsądna, aby sobie w tej chwili życzyć tego samego — wyznała Ania. — Bez względu na to, jakie głębsze radości mogłyby się jeszcze stać naszym udziałem, nigdy już nie będziemy wiodły tak wspaniałego, nieodpowiedzialnego życia, jakie miałyśmy tutaj. To minęło na zawsze.

— Co zrobimy z Moruskiem? — zapytała Fila, gdy ten uprzywilejowany kotek wpadł do pokoju.

— Zabiorę go do domu razem z Józkiem i kotem Magdy — oznajmiła ciotka Jakubina. — Hańbą by było rozdzielać te koty, gdy nauczyły się współżyć ze sobą zgodnie. Zarówno kotom, jak i ludziom trudno się jest tego nauczyć.

— Przykro mi rozstać się z Moruskiem — rzekła Ania z ubolewaniem — ale nie miałyby sensu zabierać go na Zielone Wzgórze. Maryla brzydzi się kotami, a Tadzio zdręczyłby go na śmierć. Zresztą nie sądzą, żebym pozostała w domu. Zaproponowano mi kierownictwo wyższej szkoły dla dziewcząt w Summerside.

— Przyjmiesz to stanowisko? — zapytała Fila.

<sup>86</sup>Karnak — miasto w Górny Egipt, położone na prawym brzegu Nilu, w pobliżu starożytnych Teb i Luksoru. [przypis edytorski]

— Jeszcze... jeszcze się nie zdecydowałam — odpowiedziała Ania, rumieniąc się ze zmieszania.

Fila ze zrozumieniem skinęła głową. Oczywiście plany Ani nie mogły być ustalone, aż Roy nie przemówi. Nie ulegało wątpliwości, że uczyni to niedługo. I nie ulegało też wątpliwości, że Ania odpowie na jego pytanie „tak”. Ania sama obserwowała stan rzeczy z dziwnie pomieszaniem zadowoleniem. Głęboko kochała Roya, co prawda nie było to zupełnie tym, co wyobrażała sobie jako miłość, ale czyż w ogóle było w życiu coś, co by odpowiadało marzeniom? — pytała siebie. Iluzje dzieciństwa rozwiewały się zawsze. Ale Roy był poczciwym chłopcem i z pewnością będą z sobą szczęśliwi, nawet gdyby zabrakło owej wymarzonej a nieokreślonej przyprawy życia.

Gdy Roy przyszedł tego dnia, proponując Ani spacer po parku, wszyscy w „Ustroniu Patty” rozumieli, jaki był jego cel. I wszyscy wiedzieli, lub sądzili, że wiedzą, jaka będzie odpowiedź Ani.

— Ania jest bardzo szczęśliwą dziewczyną — rzekła ciotka Jakubina.

— I ja tak sądzę — rzekła Stella, wzruszając ramionami. — Roy jest sympatycznym chłopcem i tak dalej. Ale właściwie nie ma w nim nic szczególnego.

— Brzmi to prawie jak zazdrosna uwaga, Stello — rzekła ciotka Jakubina karcąco.

— Brzmi tak może, ale ja nie jestem zazdrosna — rzekła Stella spokojnie. — Kocham Anię i lubię Roya. Wszyscy powiadają, że robi ona wspaniałą partię, a nawet pani Gardner uważa ją teraz za uroczą. Wszystko to wygląda, jakby było postanowione w niebie, ale ja mam co do tego pewne wątpliwości.

W małym pawilonie na wybrzeżu portowym, gdzie rozmawiali po raz pierwszy w ów dżdżysty dzień, poprosił Roy Anię, aby została jego żoną. Ania uznała za bardzo romantyczne, że obrał to właśnie miejsce. A oświadczyły jego przybrane były w tak piękne słowa, jakby je skopiował z *Poradnika dla zakochanych*, jak to uczynił jeden z adoratorów Ruby Gillis. Efekt był bez zarzutu. I były to też szczerze oświadczenia. Nie ulegało wątpliwości, że Roy czuł to, co mówił. Żadna fałszywa nuta nie wprowadzała dysonansu do tej symfonii. Ania czuła, że właściwie powinna zadrzeć od stóp do głowy. Ale nie zadrżała, była nawet niezwykle chłodna. Gdy Roy skończył, czekając na jej odpowiedź, rozchyliła wargi, aby powiedzieć doniosłe w skutki „tak”.

I w tej chwili odczuła, że drży, jakby stała nad skrajem przepaści. W życiu jej nastąpiła jedna z owych chwil, gdy przy nagłym przebłysku jaskrawego światła rozumiemy więcej, niż nauczyły nas wszystkie poprzednie lata. Cofnęła dłoń z ręki Roya.

— O, nie mogę... cię poślubić... nie mogę... nie mogę... — krzyknęła dziko.

Roy zbłądł. Czuł się bardzo pewny siebie, za co nie można go właściwie ganić.

— Co przez to rozumiesz? — wybełkotał.

— Myślę przez to, że nie mogę cię poślubić — odpowiedziała Ania już opanowana.

— Sądziłam, że będę mogła... ale nie mogę!

— Dlaczego nie możesz?

Głos Roya brzmiał już nieco spokojniej.

— Ponieważ... nie dość cię kocham...

Purpura oblała twarz Roya.

— Więc igrałaś tylko ze mną przez te dwa lata? — rzekł wolno.

— Nie, nie! To nieprawda! — zawołała biedna Ania. O, jakże mu to mogła wytłumaczyć? *Nie mogła* tego wytłumaczyć. Bywają rzeczy, których niepodobna wytłumaczyć. — Myślałam, że cię kocham... rzeczywiście wierzyłam w to... ale teraz wiem, że tak nie jest...

— Złamałaś mi życie — rzekł Roy z goryczą.

— Przebac mi — błagała Ania skruszona, z palającymi policzkami i gorączkowym wzrokiem.

Roy odwrócił się i przez kilka minut stał bez ruchu, spoglądając na morze. Gdy odwrócił się wreszcie do Ani, był znowu bardzo blady.

— Czy nie możesz mi dać nadziei? — zapytał.

Ania niemo potrząsnęła głową.

— W takim razie... bywaj zdrowa... — rzekł Roy. — Nie rozumiem tego... nie mogę uwierzyć, że nie jesteś kobietą, za jaką cię uważałem. Ale wyrzuty byłyby między

nami daremne. Jesteś jedyną kobietą, którą potrafię kochać. Dziękuję ci za twą przyjaźń przynajmniej... Bywaj zdrowa, Aniu!

— Bywaj zdrow — wyjąkała Ania.

Gdy Roy odszedł, siedziała jeszcze długo w pawilonie, przyglądając się białej mgłę, wznoszącej się z przystani i sunącej łagodnie ku lądowi. Była to w jej życiu chwila poniżenia, pogardy dla siebie i wstydu. Fale życia zalały ją. A jednak przez wszystko to przebijało radosne wrażenie, że odzyskała wolność.

O zmroku wróciła cicho do „Ustronia Patty” i udała się do swego pokoju. Ale Fila znajdowała się tam i siedziała na parapecie okna.

— Zaczekaj — rzekła Ania, rumieniąc się, aby uprzedzić scenę. — Zaczekaj, aż usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. — Filo, Roy oświadczył mi się, a ja... ja mu odmówiłam.

— Odmówiłaś... odmówiłaś mu...? — zawołała Fila bez tchu.

— Tak.

— Aniu Shirley! Czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

— Tak mi się zdaje — rzekła Ania z udręką. — O, Filo, nie łaj mnie! Nie rozumiesz nic.

— Rzeczywiście nic nie rozumiem. W każdym razie zachęcałaś bardzo Roya Gardnera podczas tych dwóch lat, a teraz powiadasz mi, że mu odmówiłaś. W takim razie flirtowałaś z nim tylko skandalicznie! Aniu, *po tobie* nigdy bym się tego nie spodziewała!

— Nie flirtowałam z nim... Aż do ostatniej chwili wierzyłam uczciwie, że go kocham... A potem... tak, potem zrozumiałam nagle, że *nigdy* nie mogłabym zostać jego żoną.

— Mam wrażenie — oświadczyła Fila — że zamierzałaś wyjść za niego dla pieniędzy, ale zbudziła się lepsza cząstka twojej duszy i przeszkodziła ci w tym!

— Tak *nie było!* O pieniądzach jego nigdy nie myślałam. O, nie potrafię ci tego wytłumaczyć, tak samo, jak nie potrafiłam tego wytłumaczyć jemu.

— Uważam, że postąpiłaś z Royem haniebnie — rzekła Fila z rozpaczą. — Jest on piękny i mądry, i bogaty, i dobry — czego chcesz więcej?

— Pragnę czegoś, co *konieczne* mi jest do życia. On mi tego nie da. Od początku utraciłam panowanie nad sobą przez jego piękny wygląd i przez zdolność prawienia mi romantycznych komplementów. A poza tym, sądzę, *musiałam* się w nim zakochać, gdyż był moim ciemnookim ideałem.

— Wielką moją wadą jest, że nie potrafię się nigdy zdecydować, ale ty jesteś gorsza — rzekła Fila.

— Ja wiem, czego chcę — zaprotestowała Ania. — Najgorsze tylko, że rozum mój zmienia się, a wtedy muszę się z nim na nowo zapoznawać.

— Sądzę, że nie ma celu mówić z tobą o tym.

— To zbyteczne, Filo. Moja przeszłość jest zbrukana. Nigdy nie będę mogła wspomnieć Redmondu, nie myśląc o poniżeniu tego wieczora. Roy gardzi mną... i ty mną gardzisz... i ja sama gardzę sobą.

— Biedna, kochana... — rzekła Fila współczująco. — Pójdź, niech cię pocieszę. Nie mam prawa cię łajać. Gdybym nie spotkała Jasia, poślubiłabym Olesia lub Alfonsa. O, Aniu, sprawy rzeczywistego życia są tak zawikłane! Nie są tak jasne i przejrzyste, jak w powieściach.

— Mam nadzieję, że już nikt nigdy nie oświadczy mi się, póki będę żyła — łkała biedna Ania, wierząc szczerze w to, co mówiła.

## ROZDZIAŁ XXXIX. ROZMOWY O ŚLUBACH

Ania czuła w pierwszych tygodniach po powrocie na Zielone Wzgórze, że życie brało udział w przełomie, jaki zaszedł dla niej. Czuła brak wesołego nastroju koleżeńskiego „Ustronia Patty”. Podczas ostatniej zimy snuła wiele wspaniałych marzeń, a teraz rozprysły się one wszystkie. W obecnym nastroju samowzgardy nie chciała rozpoczynać znowu marzeń. I odkryła, że podczas gdy samotność z marzeniami jest wspaniała, samotność bez nich mało posiada uroku.

Po bolesnym rozstaniu w pawilonie parkowym nie widziała więcej Roya, ale Dorota odwiedzała ją często przed wyjazdem z Kingsportu.

— Strasznie mi przykro, że nie chcesz poślubić Roya — mówiła. — Bardzo bym chciała mieć w tobie siostrę. Ale masz najzupełniejszą rację. Zanudziłby cię na śmierć. Kocham go, bo jest poczciwym, słodkim chłopcem, ale rzeczywiście jest nieco niezajmujący. Wygląda, jakby musiał być zajmujący, ale nie jest.

— Nie wpłynie to przecież na naszą przyjaźń, prawda, Doroto? — rzekła Ania tęsknie.

— Na pewno nie, jesteś zbyt dobra, abym cię chciała stracić. Jeżeli nie mogę mieć w tobie siostry, chcę cię jednak zachować jako koleżankę. I nie trap się o Roya. Czuje się teraz okropnie — codziennie muszę wysłuchiwać jego wynurzeń — ale przewycięży to. Zawsze się tak dzieje.

— O, *zawsze*? — zawołała Ania z lekką zmianą tonu. — Więc już i dawniej „przewyciężał” to?

— Miły Boże, oczywiście! — odpowiedziała Dorota szczerze. — Już dwa razy. I oby dwa razy dręczył mnie zupełnie tak samo. Tamte właściwie nie dały mu kosza — po prostu ogłosiły swoje zaręczyny z innymi. Oczywiście kiedy spotkał się z tobą po raz pierwszy, przysięgał mi, że dotychczas nigdy prawdziwie nie kochał, że to, co było przedtem, polegało tylko na chłopięcych złudzeniach. Ale nie sądzę, żebyś się musiała tym trapić.

Ania postanowiła nie martwić się. Uczucia jej były mieszaniną ulgi i ubolewania. Roy powiedział jej rzeczywiście, że była jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał. Bez wątplenia wierzył w to, ale pociechą było jednak zdawać sobie sprawę, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zburzyła jego życia. Bywały i inne boginie, a ze słów Doroty wynikało, że Roy musiał stale uwielbiać jakiś ołtarz. Nie bacząc na to, życie pozbawione zostało przez ten wypadek jeszcze kilku iluzji<sup>87</sup>, a Ania skonstatowała ze smutkiem, że wydawało się jej teraz dość nagie.

W wieczór powrotu zeszła z zatroskaną twarzą z facjatki.

— Co się stało z Królową Śniegu, Marylo?

— O, wiedziałam, że będziesz tym zmartwiona — rzekła Maryla. — I ja się zmartwiłam. Drzewko to rosło tu, gdy byłam jeszcze młodą dziewczyną. Wielka zawierucha, jaką mieliśmy w marcu, wyrwała je z korzeniem. Rdzeń jego był już zgniły.

— Tak mi go będzie brak! — zawołała Ania ze smutkiem. — Facjatka wydaje mi się bez tej jablonki nie tym samym pokoikiem. Nigdy już nie będę mogła wyglądać stamtąd przez okno bez uczucia straty. O, i zawsze, gdy przybywałam na Zielone Wzgórze, była tu Diana, aby mnie powitać.

— Diana musi teraz myśleć o czymś zupełnie innym — rzekła pani Linde znacząco.

— Opowiedz mi wszystkie nowiny z Avonlea — rzekła Ania, siadając na schodkach, gdzie słońce zachodnie padało na jej włosy niby delikatny złoty deszcz.

— Niewiele mamy nowin, prócz tych, o których ci już pisałyśmy — rzekła pani Linde. — Nie słyszałaś pewnie jeszcze, że Szymon Fletcher złamał w zeszłym tygodniu nogę. Wielkie to wydarzenie dla jego rodziny. Postanowili wykonać teraz wiele rzeczy, które dawno zamierzali zrobić, a nie mogli, póki ten stary przeszkadzał im w tym.

— Pochodzi on z niewesołej rodziny.

— Niewesołej?

— No tak. Matka jego miała zwyczaj wstawać podczas zebrań religijnych i oświadczać, że wszystkie jej dzieci są niedorajdami, prosząc, aby się za nie modlono. Naturalnie doprowadzało ich to do wściekłości.

— Nie opowiedziałas Ani ostatniej nowiny o Jance — odpowiedziała Maryla.

— O, Janka! — rzekła pani Linde. — No — dodała zawistnie — Janka Andrews wróciła znowu w zeszłym tygodniu do domu i ma wyjść za jakiegoś milionera z Winnipeg. Możesz być pewna, że matka jej nie traciła czasu, aby o tym wszystkim opowiedzieć.

— Poczciwa, kochana Janka! Tak się z tego cieszę — rzekła Ania serdecznie. — Zasługuje ona na najlepsze w życiu.

— O, nic przeciwko temu nie mogę powiedzieć. Janka jest bardzo miłą dziewczyna. Ale nie nadaje się ona do klasy milionerów, a przekonasz się, że człowiek ten niewiele ma zalet prócz swoich pieniędzy. O to właśnie idzie! Pani Andrews powiada, że jest Anglikiem, który zrobił moc pieniędzy w kopalniach. Ja sądzę jednak, iż okaże się, że jest

<sup>87</sup>iluzyj — dziś powszechniejsza forma D. Im: iluzji. [przypis edytorski]

Jankesem. Oczywiście musi mieć pieniądze, gdyż zasypał Jankę klejnotami. Jej pierścionek zaręczynowy to kupa brylantów tak wielka, że wygląda jak plaster na tłustej łapce Janki.

Pani Linde nie mogła się wyzbyć goryczy w głosie. Oto Janka Andrews, głupia gąska, zaręczyła się z milionerem, gdy Ania, jak się zdawało, nie miała jeszcze na widoku nikogo, bogatego czy ubogiego. A pani Andrews pyszniła się niemożliwie.

— Co się stało Gilbertowi w uniwersytecie? — zapytała Maryla. — Widziałam go w zeszłym tygodniu: jest taki blady i chudy, że ledwo go poznałam.

— Pracował przez ostatnią zimę z wielkim wysiłkiem — rzekła Ania. — Wiesz przecież, że zdobył pierwsze odznaczenie w przedmiotach klasycznych i nagrodę Coopera. Nagrody tej od pięciu lat nikt nie otrzymał. Łatwo więc zrozumieć, że jest trochę wyczerpany. Wszyscyśmy<sup>88</sup> trochę zmęczeni.

— Ale ty w każdym razie skończyłaś uniwersytet, a Janka Andrews nie skończyła go i nigdy nie skończy — rzekła pani Linde z ponurym zadowoleniem.

Gdy minęło kilka wieczorów, Ania poszła z wizytą do Janki, która znajdowała się jednak w Charlottetown<sup>89</sup>, aby „sobie posprawić trochę garderoby”, jak oznajmiła z dumą jej matka. „Oczywiście krawcowe avonlejskie nie wystarczają Jance w obecnych warunkach”.

— Słyszałam o Jance coś bardzo miłego — rzekła Ania.

— Tak, Janka poradziła sobie bardzo dobrze — chociaż nawet nie skończyła uniwersytetu — rzekła pani Andrews, unosząc dumnie głowę. — Pan Inglis ma miliony, a w podróż poślubną wybierają się do Europy. Kiedy powrócą, zamieszkają we wspaniałym pałacu marmurowym w Winnipeg. Janka ma jedno tylko zmartwienie: umie tak doskonale gotować, a mąż nie pozwoli jej przecież tego robić. Jest tak bogaty, że stać go na dostateczną ilość służby. Będą mieli kucharza i dwie pokojówki, poza tym woźnicę i człowieka do posług. Ale co u *ciebie* słyhać, Aniu? Po tym całym uniwersytecie nie słyszałam nic o twoim zamążpójściu.

— O — zaśmiała się Ania — zostanę starą panną. Nie mogę rzeczywiście znaleźć nikogo, kto by mi odpowiadał.

Było to trochę złośliwe z jej strony. Miało to przypomnieć matce Janki, że gdyby została starą panną, to jednak nie dlatego, aby nie miała niejednej nawet sposobności do małżeństwa. Ale pani Andrews zemściła się szybko.

— No, zbyt wybredne dziewczęta zostają zwykle na lodzie — zauważyła. — A czy to prawda, co słyszałam o Gilbertcie Blythe, że zaręczył się z panną Stuart? Karol Slone opowiadał mi, że jest ona skończenie piękna. Czy to prawda?

— Nie wiem, czy to prawda, że Gilbert zaręczył się z panną Stuart — odpowiedziała Ania z pełnym opanowaniem — ale rzeczywiście prawdą jest, że panna Stuart jest bardzo ładna.

— Zdawało mi się dawniej, że ty i Gilbert pobierzecie się kiedyś — rzekła pani Andrews. — Jeżeli nie będziesz się miała na bacności, wszyscy twoi adoratorzy wymkną ci się z rąk.

Ania postanowiła nie walczyć dalej z panią Andrews. Trudno walczyć z przeciwnikiem, który na uderzenia rapieru odpowiada ciosami topora.

— Ponieważ Janki nie ma — rzekła, wstając z godnością — nie zostanę tu dłużej. — Przyjdę znowu, kiedy Janka będzie.

— Przyjdź, przyjdź — rzekła pani Andrews serdecznie. — Janka nie jest ani odrobinę dumna. Ma zamiar obcować nadal z dawnymi przyjaciółkami. Będzie się rzeczywiście cieszyła z twoich odwiedzin.

Milioner Janki przyjechał ostatniego dnia w maju i zasypał ją znowu klejnotami. Pani Linde była niezmiernie uradowana, że pan Inglis przekroczył już czterdziestkę, był przysadzisty i siwawy. Pani Linde nie kępowała się w wyliczaniu jego wad, tego można było być pewnym.

— Do ozłocenia takiej pigułki jak on, trzeba rzeczywiście mieć wszystkie jego pieniądze — oznajmiła uroczyście.

<sup>88</sup>wszycyśmy — dziś raczej: wszyscy jesteście. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Charlottetown — stolica Wyspy Księcia Edwarda. [przypis edytorski]

— Zdaje się, że jest uprzejmy i ma dobre serce — wtrąciła Ania lojalnie. — I jestem przekonana, że ma jak najlepsze zamiary wobec Janki.

— Hm — odpowiedziała pani Małgorzata.

Fila Gordon wyszła za mąż w następnym tygodniu, a Ania pojechała do Bolingbroke, aby być jej druhną. Fila wyglądała w swym stroju ślubnym jak bajka z koronek. Wielebny Janusz promieniał ze szczęścia.

— Będziemy kroczyli jak para kochanków przez krainę ewangelii — rzekła Fila — a potem osiadziemy na ulicy Patersona. Matce wydaje się to okropne — uważa, że Jaś powinien przynajmniej postarać się o kościół w jakimś przyzwoitym miejscu. Ale uboga dzielnica, w której zamieszkamy, będzie dla mnie jak usłana różami, gdy będę tam z Jasiem. O, Aniu, jestem tak szczęśliwa, że serce boli mnie z tego.

Ania cieszyła się zawsze ze szczęścia przyjaciółek. Ale niekiedy czuje się człowiek nieco samotny, gdy otacza go ze wszystkich stron szczęście, które nie jest jego własnym. Tak samo czuła się Ania, powróciwszy znowu do Avonlea. Tym razem Diana kąpała się w niezwykłym szczęściu, które jest udziałem kobiety, gdy nowo narodzone dziecko leży obok niej. Ania spoglądała na białą, młodą matkę z niejaką czcią, której nigdy dotąd nie zaznała w stosunku do Diany. Czyż ta blada kobieta z zachwytem w oczach mogła być ową małą, czarnowłosą, rumianą Dianą, z którą bawiła się Ania w minionych dniach szkolnych? Doznawała dziwnego uczucia osamotnienia, że ona sama należała jeszcze tylko do minionych czasów i nie miała nic wspólnego z terażniejszością.

— Czy on nie jest piękny? — zapytała Diana z dumą. Mały tłusciosek podobny był zupełnie do Alfreda, tak samo był okrągłutki i tak samo czerwony. Ania nie mogła rzeczywiście powiedzieć uczciwie, że wydaje się jej piękny, ale przyznała szczerze, że był słodki, aż się go chciało całować, a na ogół — zachwycający.

— Zanim się urodził, pragnęłam dziewczynki, żebym ją mogła nazwać Anią — rzekła Diana. — Ale teraz, gdy mam tego małego Alfreda, nie zamieniłabym go na milion dziewczynek.

— Każde małe dziecko jest najśodsze i najpiękniejsze — rzekła pani Allan wesoło. — Gdyby się urodziła mała Ania, czułabyś do niej zupełnie to samo.

Pani Allan przybyła do Avonlea po raz pierwszy od czasu, jak je opuściła. Była tak samo wesoła, słodka i sympatyczna jak dawniej. Dziewczęta powitały ją z zachwytem. Żona obecnego pastora była czcigodną panią, ale nie była duchem pokrewnym.

— Trudno mi się wprost doczekać, aż zacznie mówić! — westchnęła Diana. — Tęsknię już za tym, aby usłyszeć z jego ust słowo „mama”. O, i postanowiłam, że pierwsze jego wspomnienie o mnie musi być piękne. Pierwsze wspomnienie, jakie mam o swojej matce, jest, że mnie zbiła za coś, co zrobiłam. Jestem pewna, że zasłużyłam na to, a mama była zawsze dobrą matką i kocham ją bardzo. Ale wolałabym, aby pierwsze moje wspomnienie o niej było przyjemniejsze.

— Ja mam tylko jedno wspomnienie o swojej matce, a jest ono najśodsze ze wszystkich — rzekła pani Allan. — Miałam pięć lat i pozwolono mi pewnego dnia pójść z dwiema starszymi siostrami do szkoły. Gdy lekcje skończyły się, siostry moje poszły do domu w różnych grupach koleżanek, przy czym każda sądziła, że ja idę z drugą. Tymczasem ja uciekłam z jakąś małą dziewczynką, z którą się bawiłam w ukryciu. Poszłyśmy do jej domu, położonego w pobliżu szkoły, i zaczęłyśmy robić babki z piasku. Bawiłyśmy się doskonale, aż starsza moja siostra nadbiegła bez tchu i rozgniewana.

„Ty wstrętna dziewczynko!” — zawołała, chwytając mnie za rękę i ciągnąc mnie z sobą. „Natychniaś chodź do domu! Czekaj, czekaj, oberwiesz już! Mama jest strasznie zła. Stłucze cię porządnie”.

Nigdy mnie nie bito. Przerazenie i lęk wypełniły moje biedne serce. Nigdy w życiu nie czułam się tak okropnie, jak podczas tego powrotu do domu. Nie miałam zamiaru być niegrzeczną. Dziewczyna ta prosiła mnie po prostu, żebym z nią poszła do niej do domu, a ja nie wiedziałam, że postępuję źle. A teraz miałam być za to zbita! Gdyśmy przyszły do domu, siostra zaciągnęła mnie do kuchni, gdzie matka siedziała o zmroku przy ogniu. Moje biedne, słabe kolanka drżały tak, że ledwo się na nich mogłam utrzymać. A matka, matka chwyciła mię w ramiona, bez słowa nagany lub gniewu, ucałowała mnie i przycisnęła do serca.

„Tak się bałam, że zablądziłaś, kochanie!” — zawołała czule.

Widziałam blask miłości w jej oczach, kiedy spoglądała na mnie. Nie lajała mnie za to, co zrobiłam, ani nie gniewała się, powiedziała tylko, że nigdy nie powinnam chodzić nigdzie, nie pytając jej o pozwolenie. Wkrótce potem umarła. To jest jedyne wspomnienie, jakie mam o niej. Czy nie jest piękne?

Ania czuła się samotniejsza niż kiedykolwiek, gdy powracając do domu szła przez Ścieżkę Brzóz i Szum Wierzb. Od wielu miesięcy nie przechodziła przez tę drogę. Czuła, że byłaby rada, gdyby lato minęło już i gdyby mogła zacząć pracować. Może życie nie wydawałoby się jej już tak puste.

## ROZDZIAŁ XL. KSIĘGA OBJAWIENIA

Państwo Irving powrócili na lato do Chatki Ech i Ania spędziła tam w lipcu szczęśliwie trzy tygodnie. Panna Lawenda nie zmieniła się. Karolina Czwarta wyrosła na rozgarniętą młodą damę, ale szczerze uwielbiała jeszcze Anię.

— Ostatecznie, panno Shirley, muszę przyznać, że nie widziałam w Bostonie panienki, któraby była podobna do pani — rzekła otwarcie.

Jaś podrośł także. Miał szesnaste lat, a kasztanowe jego loki ustąpiły miejsca ciemnobrunatnym. Interesował się teraz bardziej piłką nożną, niż bajkami. Ale węzeł między nim a jego byłą nauczycielką trwał jeszcze. Pokrewne dusze nie zmieniają się przy zmieniających się latach.

Był dżdżysty, pośepny wieczór lipcowy, gdy Ania powróciła na Zielone Wzgórze.

— Czy to Jasio odprowadził cię do domu? — zapytała Maryla. — Dlaczego nie zatrzymałaś go na noc? Znosi się na straszłą niepogodę.

— Zdąży do Chatki Ech, zanim się rozpada. Chciał koniecznie wracać. Miałam tam wspaniałą wizytę, ale cieszę się, że znowu was widzę. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Tadzio, znowu widzę urosłeś?

— O cały cal! — odpowiedział Tadzio dumnie. — Jestem teraz akurat tego wzrostu, co Emilek Boulter. Jakże się z tego cieszę! Teraz nie będzie się już mógł przechwalać, że jest wyższy! Ale co to chciałem powiedzieć! Aniu, czy wiesz, że Gilbert Blythe umiera?

Ania stała spokojnie i nieruchomo, spoglądając na Tadzia. Twarz jej pobladła tak, że Maryla pomyślała, iż Ania zemdleje.

— Tadzio, nie gadaj głupstw! — rzekła pani Małgorzata gniewnie. — Aniu, nie przejmuj się tak — *nie przejmuj się tak!* Nie mieliśmy zamiaru powiedzieć ci tego tak nagle.

— Czy... to... prawda? — zapytała Ania nieswoim głosem.

— Gilbert jest bardzo chory — rzekła pani Linde poważnie. — Zaraz po twoim wyjeździe do Chatki Ech zachorował na tyfus. Czy nic o tym nie słyszałaś?

— Nie — odpowiedział ów obcy głos.

— Stan był od razu groźny. Lekarz powiedział, że Gilbert był szalenie wyczerpany. Mają doświadczoną pielęgniarkę i robią wszystko, co można. Nie przejmuj się tak, Aniu. Gdzie jest jeszcze życie — jest i nadzieja.

— Pan Harrison był tu dzisiaj i powiedział, że nie ma już nadziei — wtrącił znowu Tadzio.

Maryla, która wyglądała przygnębiona i postarzała, wstała i gniewnie wyprowadziła Tadzia z kuchni.

— O, nie przejmuj się tak, moja kochana — rzekła pani Małgorzata, obejmując bladą dziewczynę ramionami. — Ja nie tracę nadziei, rzeczywiście nie tracę. Ma on bardzo silny organizm.

Ania łagodnie odsunęła ramiona pani Linde, przeszła nieprzytomnie przez kuchnię i przedsiónek i weszła po schodach do swego pokoju. Przy oknie uklękła i utkwiała wzrok w dal, nie widząc nic. Było bardzo ciemno. Deszcz padał ulewnie.

W każdym życiu istnieje Księga Objawienia, jak istnieje w biblii. Tej strasznej nocy Ania czytała swoją podczas dręczących godzin czuwania. Kochała Gilberta, kochała go zawsze, teraz to wiedziała. Wiedziała, że nie może usunąć go ze swego życia bez bólu, jak nie mogłaby odrzucić swojej prawej ręki. Ale świadomość ta przyszła za późno... za późno, nawet, aby jej zgotować gorzką pociechę, że mogłaby z nim być teraz razem. Gdybyż nie była tak ślepa... tak szalona... miałyby prawo pobiec teraz prosto do niego.

Ale Gilbert nie dowie się nigdy, że ona go kochała... odejdzie z tego życia, sądząc, że jej na nim nie zależało. O, jakże czarne lata pustki rozciągały się przed nią! Nie będzie ich mogła przeżyć, nie będzie mogła! Po raz pierwszy w życiu zapragnęła, aby i ona mogła umrzeć. Gdyby Gilbert odszedł od niej bez słowa lub znaku, lub wieści, nie mogłaby żyć dalej. Bez niego nic nie miało dla niej wartości. Ona należała do niego, a on należał do niej. W godzinie największego bólu nie miała co do tego wątpliwości. Gilbert nie kochał Krystyny Stuart... nigdy jej nie kochał. O, jakże była głupia, nie rozumiejąc, jakie węzły łączyły ją z Gilbertem!... I pomyśleć, że mogła uważać za miłość to złudne uczucie, jakie miała dla Roya Gardnera! A teraz miała zapłacić za tę omyłkę, jak za zbrodnię.

Pani Linde i Maryla zakradły się przed pójściem spać pod jej drzwi, powątpiewająco kiwając głowami, gdyż w pokoiku panowała cisza — i odeszły.

Burza szalała przez całą noc, ale gdy zaświtał ranek, minęła.

Ania wstała z kolan i zesłała po schodach. Świeży wiaterek poranny orzeźwił ją. Wyszła na dziedziniec i zwilżyła suche, płonące oczy.

Wtem rozległo się wesołe gwizdanie, a w chwilę później ukazał się parobek sąsiada Blythów.

Siły fizyczne odmówiły Ani nagle posłuszeństwa. Gdyby nie oparła się o niską gałąź wierzby, upadłaby. Parobek musiałby przecież wiedzieć, gdyby... gdyby... musiałby wiedzieć, gdyby było co wiedzieć.

Chłopiec szedł spokojnie po czerwonym gościńcu, pogwizdując. Nie widział Ani. Trzy razy daremnie próbowała zawołać go. Minął ją już niemal, gdy się jej nareszcie udało wydobyć głos z drżących warg.

Parobek odwrócił się na jej wołanie z uśmiechem, witając ją wesoło.

— Czy idziesz z domu? — zapytała Ania słabo.

— Naturalnie — odparł chłopak uprzejmie. — Dostałem wczoraj wiadomość, że ojciec mój jest chory. Burza była taka, że nie mogłem pójść, więc idę dzisiaj z samego rana. Idę na przelaj lasem, żeby sobie skrócić drogę.

— Czy słyszałeś, jak czuje się dzisiaj Gilbert Blythe?

Rozpacz zmusiła Anię do tego pytania. Wolalaby najgorszą wiadomość, niż tę straszną niepewność.

— Lepiej — odpowiedział parobek. — Wczoraj wieczór był kryzys. Lekarz powiada, że teraz wyzdrowieje na pewno. Ledwo uszedł śmierci. To dopiero chłopak, sam się tak umęczył na uniwersytecie. Ale muszę już pędzić. Mój poczciwy stary pewnie mnie chce pilnie zobaczyć.

Parobek ruszył dalej, gwizdząc znowu. Ania spoglądała za nim oczyma, w których radość rozwiała trwogę całej nocy.

Wesołe gwizdanie chłopca umilkło dawno w oddali, a Ania ciągle jeszcze stała pod wierzbą, odczuwając niezwykłą rozkosz życia, gdy zabrana jej została wielka trwoga. Przypominało jej się zdanie z bardzo mądrej i bardzo starej Księgi:

„Płacz może trwać przez noc, ale ranek przynosi radość”.

## ROZDZIAŁ XLI. TRIUMF MIŁOŚCI

— Przeszedłem cię poprosić, abyśmy się dziś po południu przespacerowali, jak za dawnych lat, po lesie i pagórkach, gdzie snują się wonie wrzesniowe — rzekł Gilbert, ukazując się nagle przed domem Ani. — Może pójdziemy do ogrodu Heleny Gray?<sup>90</sup>

Ania, która siedziała na kamiennych schodkach ze stosem lekkiej, zielonej tkaniny na kolanach, spojrzała na niego nieco błada.

— O, chciałabym bardzo — rzekła wolno — ale rzeczywiście nie mogę, Gilberte. Idę dzisiaj wieczorem na ślub Alicji Penhallow. Muszę jeszcze wykończyć sobie tę suknię, a gdy będzie gotowa, będę już musiała pójść. Bardzo mi przykro. Chętnie bym się z tobą przespacerowała.

— Więc może pójdziemy jutro po południu? — zapytał Gilbert, widocznie niezbyt rozczarowany.

— Owszem, chętnie.

<sup>90</sup>do ogrodu Heleny Gray — patrz: *Ania z Avonlea*. [przypis tłumacza]



— W takim razie pójdę teraz do domu, żeby zrobić to, co inaczej zrobiłbym jutro. Więc dzisiaj jest ślub Alicji Penhallow? Trzy śluby jednego lata, Aniu — Fili, Alicji i Janki... Nigdy nie wybaczę Jance, że mnie nie zaprosiła na swój ślub.

— Nie możesz jej właściwie ganić, jeżeli sobie uświadomisz, jak okropne ilości krewnych musiała pospraszać. Dom ledwo ich wszystkich mógł pomieścić. Mnie zaproszono jedynie dzięki temu, że miałam szczęście być szkolną koleżanką Janki — takie były przynajmniej pobudki Janki. Co do pani Andrews, to sądzę, że kierowała się, zapraszając mnie, jedynie pragnieniem zaimponowania mi przepychem Janki.

— Czy to prawda, że nosiła tyle brylantów, iż nie można było powiedzieć, gdzie się kończą brylanty a zaczyna Janka?

Ania roześmiała się.

— Rzeczywiście nosiła bardzo wiele klejnotów. Dzięki tym wszystkim brylantom, białemu jedwabowi, tiułom, koronkom, różom i kwiatom pomarańczowym ładna mała Janka była prawie niewidoczna. Ale była bardzo szczęśliwa, podobnie jak pan Inglis i podobnie jak pani Andrews.

— Czy to tę suknię będziesz nosiła dzisiaj wieczorem? — zapytał Gilbert, wskazując na falbanki i wstawki na kolanach Ani.

— Tak. Czy nie jest ładna? A we włosach będę miała astry. Pełno ich tego lata w Lesie Duchów.

Gilbert ujrzał nagle w duchu Anię, w zielonej sukni z mnóstwem falbanek, jak stała z dziewiczym pochYLENIEM ramion i szyi i z białymi gwiazdami astrów, przeświecającymi przez jej rudawe loki. Wizja ta na chwilę pozbawiła go tchu. Ale odwrócił się szybko.

— Wstąpię po ciebie jutro. Wesolej zabawy dzisiaj wieczorem.

Ania spoglądała za nim, gdy odchodził, i westchnęła. Gilbert był uprzejmy — bardzo uprzejmy — o wiele za uprzejmy. Po powrocie do zdrowia przychodził na Zielone Wzgórze bardzo często, a z dawnego ich koleżeństwa powróciło wiele. Ale Ani już to nie wystarczało. Róża miłości zaćmiewała blask pąków przyjaźni i tłumiała ich woń. A przy tym Ania poczęła teraz wątpić, czy Gilbert czuł jeszcze dla niej coś prócz przyjaźni. W zwykłym świetle powszedniego dnia blakło jej promienne wspomnienie owego czarującego poranka. Nawiedziła ją trwoga, że nigdy już nie zdoła naprawić swego błędu. Ostatecznie było przecież bardzo prawdopodobne, że Gilbert kochał Krystynę. Może nawet był z nią już zaręczony. Ania usiłowała usunąć ze swego serca wszystkie te wątpliwości i zadowolnić się przeszłością, w której praca i ambicja musiałyby zastąpić miłość. Mogła spełniać dobrą, jeśli nie wręcz szlachetną pracę jako nauczycielka. A powodzenie, jakie spotykało teraz jej małe szkice w pewnym wydawnictwie, rokowało jej pomyślne nadzieje w kierunku spełnienia jej marzeń literackich. Ale... ale... Ania podniosła zieloną suknię i westchnęła znowu.

Gdy Gilbert przyszedł następnego popołudnia, Ania czekała na niego, świeża jak jutrzienka i piękna jak gwiazda po wszystkich radościach ubiegłego wieczora. Nosiła zieloną suknię, nie tę, którą włożyła na ślub, lecz starą, którą Gilbert lubił szczególnie, o czym jej kiedyś powiedział w Redmondzie. Zielony ton podnosił bogatą barwę jej włosów, blask szarych oczu i liliową biel skóry. Gilbert, który przyglądał się jej z boku, gdy szli cieniutką ścieżką leśną, pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak czarująco. Ania, która od czasu do czasu zerknęła także na Gilberta z ukosa, myślała, jak on się po chorobie postarzał. Miało się wrażenie, jakby chłopięcość pozostawił na zawsze za sobą.

Dzień był piękny i droga była piękna. Ania żałowała niemal, gdy przybyli do ogrodu Heleny Gray i usiedli na starej ławeczce. Ale i tutaj było pięknie, tak pięknie, jak owego minionego dnia czarownej majówki, gdy Diana, Janka i Priscilla odkryły to miejsce.

— Myślę — rzekła Ania miękko — że „kraj, w którym spełniają się marzenia”, znajduje się tam w dole, wśród tych błękitnych oparów nad małą dolinką.

— Czy masz jakieś niespełnione marzenia, Aniu? — zapytał Gilbert.

Coś w jego głosie — coś, czego nie słyszała od owego straszego wieczora w ogrodzie „Ustronia Patty”, wprawiło serce Ani w gwałtowne drżenie. Ale odpowiedziała swobodnie.

— Naturalnie, każdy je ma. Nie zadowolilibyśmy<sup>91</sup> się nawet tym, gdyby wszystkie nasze marzenia były spełnione. Bylibyśmy niejako martwi, gdybyśmy już nie mieli o czym marzyć.

Ale Gilbert nie dał się w ten sposób zbić z tropu.

— Ja mam jedno marzenie — rzekł wolno. — Marzę je nieustannie, chociaż wydaje mi się często, że nie może się ono nigdy spełnić. Marzę o domu z kominkiem, kotem i psem, o krokach przyjaciół i o *tobie*.

Ania chciała mówić, ale nie znajdowała słów. Szczęście spłynęło na nią jak fala. Przeraziło ją niemal.

— Przed dwoma laty zadałem ci pewne pytanie, Aniu. Gdybym je dzisiaj powtórzył, czy dałabyś mi inną odpowiedź?

Ania ciągle jeszcze nie mogła mówić. Ale podniosła wzrok, w którym połyskiwał zachwyty miłosny, i przez chwilę spoglądała w jego oczy. Gilbertowi nie trzeba było innej odpowiedzi.

Aż do zmroku waleśali się po starym ogrodzie. Tak wiele mieli do mówienia i wspomnienia — o rzeczach mówionych, słyszanych i myślanych, odczuwanych i źle rozumianych.

— Myślałam, że kochasz Krystynę Stuart — rzekła Ania z wyrzutem, jakby nie dała Gilbertowi najmniejszego powodu do przypuszczenia, że ona kochała Roya Gardnera.

Gilbert roześmiał się.

— Krystyna była zaręczona z kimś w swoim mieście rodzinnym. Wiedziałem o tym, a ona wiedziała, że ja o tym wiem. Gdy brat jej został promowany, powiedział mi, że siostra jego przyjedzie następnej zimy do Kingsportu studiować muzykę, i prosił mnie, żebym się nią zaopiekował, ponieważ nie znała nikogo i będzie się czuła bardzo samotna. Spełniłem więc jego życzenie. A potem polubiłem Krystynę. Wiedziałem, że plotki uniwersyteckie uważały nas za zakochanych, ale nie obchodziło mnie to. Kiedy mi powiedziałaś, że nigdy mnie nie zdołasz pokochać, Aniu, nic mnie już więcej nie obchodziło. Nie istniała dla mnie, nie mogła dla mnie istnieć żadna inna kobieta prócz ciebie. Kochałem cię od owego dnia, gdy rzuciłaś mi w szkole tabliczkę na głowę.

— Nie rozumiem, jak mogłeś mnie kochać nadal, gdy byłam takim głuptasem — rzekła Ania.

— Próbowałem przestać cię kochać — rzekł Gilbert szczerze — nie dlatego, że uważałem cię, jak powiadasz, za głuptasa, ale że byłem pewien, iż nie mam już nadziei, odkąd Gardner zjawił się na placu. Ale nie mogłem i nie potrafię ci powiedzieć, czym była dla mnie przez te dwa lata myśl, że go poślubisz. Co tydzień opowiadał mi ktoś, że zaręczyny twoje mają być lada chwila ogłoszone. Wierzyłem w to aż do owego błogosławionego dnia, gdy po gorączce podniosłem się znowu. Dostałem list od Fili Gordon, a raczej Fili Blake, która pisała mi, że między tobą a Royem istotnie nic nie było i radziła mi „spróbować znowu”. Lekarz był zdumiony, jak szybko później powracałem do zdrowia.

Ania roześmiała się, potem przeszedł ją dreszcz.

— Nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy myślałam, że umrzesz, kochanie. O, wiedziałam... wtedy *wiedziałam* i myślałam, że jest za późno.

— Ale nie było za późno, moje serce. O, Aniu, teraz wszystko jest znowu dobre, prawda? Postanówmy uważać ten dzień za świętą rocznicę miłości i być mu zawsze wdzięcznymi za dar, który nam przyniósł.

— Jest to dzień narodzin naszego szczęścia — rzekła Ania tkliwie. — Zawsze kochałam ten ogród Heleny Gray, a teraz będzie mi on droższy, niż kiedykolwiek.

— Ale muszę cię prosić, abyś długo jeszcze czekała na mnie, Aniu — rzekł Gilbert ze smutkiem. — Trzy lata potrwa jeszcze, aż skończę medycynę. A i potem jeszcze nie będziemy mieli brylantów ani marmurowych pałaców.

Ania roześmiała się.

— Nie potrzeba mi brylantów ani marmurowych pałaców. Potrzeba mi tylko ciebie. Widzisz, że jestem pod tym względem tak samo bezwstydną jak Fila. Brylanty i marmury mogą być bardzo piękne, ale bez nich wyobraźnia ma większe pole. A co do czekania, to

<sup>91</sup>zadowolnić się — dziś popr.: zadowolić się. [przypis edytorski]

nic nie szkodzi. Będziemy szczęśliwi, czekając i pracując dla siebie wzajem — i marząc. O, marzenia będą teraz dla nas bardzo słodkie!

Gilbert przyciągnął ją do siebie i ucałował. Potem poszli razem w zmierzchu do domu, ukoronowani na króla i królową w królestwie miłości; szli po ścieżkach, wijących się wśród najpiękniejszych kwiatów, jakie kwitły kiedykolwiek na ziemi, poprzez łąki, na których igrał wiatr nadziei i wspomnień.

---

*Dalsze dzieje Ani opowiedziane są w powieści*  
Dom marzeń Ani,

*która ukaże się niebawem.*

---

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/montgomery-ania-z-wyspy/>

Tekst opracowany na podstawie: Ludy M. Montgomery, *Ania z Wyspy*, tłum. Andrzej Magórski, Księgarnia I. FRANCUZ, Łódź, ca. 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Anna Krzak, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5292-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).